

Motto:

"Tyle czasu upłynęło

Mój Ty miły Boże

Pług zorał ludzkie kości

A serca nie może".

ROZDZIAŁY

1	-	Chciałem iść do szkoły	-	1
2	-	Droga na Sybir	-	11
3	-	Na "nie ludzkiej ziemi"	-	17
4	-	Walka o przetrwanie	-	27
5	-	Cierpienia traktorzysty	-	38
6	-	Nadzieja	-	43
7	-	Sarmyk	-	56
8	-	U wrót armii Andersa	-	62
9	-	Szpital grozy w Czok - Pak	-	68
10	-	Ostatnia deska ratunku	-	77
11	-	Inny świat	-	82
12	-	Khanakin	-	88
13	-	W ochronie szybów naftowych	-	95
14	-	Na "Ziemi Świętej"	-	103
15	-	W cieniu piramid	-	111
16	-	Witaj Europo	-	117
17	-	Moje Monte Cassino	-	122
18	-	Kierunek Ankona	-	132
19	-	Marsz na Bolonię	-	140
20	-	Bohaterowie są zmęczeni	-	149
21	-	Niegościnną wyspą	-	156
22	-	"Gościnnie kraj"	-	162

- 1 -

CHCIAŁEM IŚĆ DO SZKOŁY

Przed wojną mieszkałem w Wasilkowie, małym pięcioletnim miasteczku, leżącym na trasie Białystok - Sokółka, oddalonym zaledwie o 5 km od dawnej siedziby Branickich. Ojciec mój od 1920 roku pracował w policji. Był zastępcą komendanta posterunku. Na rok przed wybuchem wojny zacząłem uczęszczać do prywatnego Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Zeligmana w Białymstoku.

Od pierwszego września 1939 roku, z chwilą przekroczenia granic Polski przez wojska niemieckie, wszystko zaczęło się skupiać na sprawach wojny i armii. Radio i prasa przekazywały wciąż komunikaty informujące o szybkim posuwaniu się armii niemieckiej w głąb kraju.

Brat mój - Henryk Brzostowski - zamieszkujący w Białaszewie koło Grajewa, został powołany do wojska jako saper, w jednostce wojskowej stacjonującej w niedalekim Grodnie. Ojciec też wiedział, że pójdzie na wojnę. Tylko ja, jako piętnastoletni podrostek i mój trzynastoletni brat - Fabian, niewyobrażaliśmy sobie następstw wojny. Nie rozumieliśmy w pełni, co się dzieje i jaki los nas czeka. Nie docenialiśmy niepokoju dorosłych, którzy przecież pamiętali jeszcze pierwszą wojnę światową. A przecież upłynęło od jej zakończenia dopiero dwadzieścia lat.

Dni wrześniowe były piękne, ciepłe i słoneczne, niczym nie przypominające jesieni. Już w pierwszych dniach wojny zaobserwowałem jej skutki. Widziałem walkę powietrzną dwóch samolotów myśliwskich prowadzoną na niskiej wysokości blisko miasteczka. Jeden z nich stanął w płomieniach i runął na ziemię dwa kilometry od naszego domu. Gdy dobiegliśmy do miejsca tragedii samolot stał w płomieniach porozrywany i podziurawiony. W środku znajdował się pilot, którego ciała w żaden sposób nie można było wydostać. Samolot spłonął a ciało pilota

ta było zwę -

glone i skurczone do tego stopnia, że wyglądało jak zwłoki małego dziecka. Ludzie, którzy tam przybiegli, płakali. Ja razem z nimi. Widok był przykry, bo wszyscy widzieli jak Niemiec zaatakował z tyłu samolot z biało-czerwoną szachownicą i zestrzelił go serią pocisków.

Większość komunikatów nadawanych przez radio była niepomyslna, ale bywały też i radosne. Podano raz, że polska kawaleria przekroczyła granicę Prus Wschodnich i podeszła do miasteczka Lik/Ełk/. Radość nie trwała długo. Niemcy przełamali obronę fortyfikacyjną pod Łomżą i nie stakując twierdzy w Osowcu podeszli pod Białystok. Działo się to w połowie września. Ojciec wrócił ze służby i oznajmił, że zostanie sformowana jednostka piechoty składająca się z policji białostockiej i okolic. Wiadomo było, że pójdzie walczyć, ale wierzyliśmy, iż wróci cały i zdrowy. Zdawało się nam, że na wojnie to jak na ćwiczeniach, które nieraz oglądałem. Imponowała mi ta wspaniała kawaleria z szbelkami u boku i brzęczącymi ostrogami. A tu stało się inaczej.

Przyszła dzień pożegnania z ojcem. Usłyszałem nawet z jego ust propozycję, abym razem z nim poszedł walczyć. Miałem otrzymać pistolet, bo karabinu bym jeszcze nie udźwignął. I chociaż nigdy nie trzymałem broni w ręku chciałem pójść do takiego wojska. Byłem zadowolony i dumny. Brat mnie podziwiał a syn sąsiadów Romek Bogucki o mało nie wylazł ze skóry z zazdrości.

Jednak po naraździe z mamą doszliśmy do wniosku, że nie można ja samej z młodszym bratem zostawić na pastwę losu. Zostałem w domu jako pełniący funkcję opiekuna rodziny i zastępca ojca do czasu jego powrotu. Rano ojciec pożegnał się z nami i wyruszył z oddziałem policyjnym na front. Oddział ten był wyposażony w zarekwirowane rowery i broń ma-

łokalibrową. Mama bardzo rozpacziała a my, nie rozumiejąc sytuacji, płakaliśmy razem z nią. Żegnaliśmy ojca nie przeczuwając, że nigdy się już nie zobaczymy. Ich oddział nie udał się, jak początkowo planowano, w kierunku na Czarną Wieś-Sokółkę-Grodno lecz boczną drogą w lasy supraskie. Wtedy nikt jeszcze nie przypuszczał, że Grodno zaatakują wojska Armii Czerwonej.

Tymczasem dotarła wiadomość, że Niemcy wkroczyli już do Białegostoku i w najbliższym czasie ujrzymy ich w Wasilkowie. To też się stało. W piękny, słoneczny dzień, w godzinach popołudniowych, od strony wsi Jurówce w kierunku naszego miasteczka pędziła w popłochu polska kawaleria w sile szwadronu a za nią było słychać terkot broni maszynowej. Pędziła w rozsypce. W tym czasie uciekających [konie] [biegły] bez jeźdźców w siodłach, a z tyłu żołnierze, którzy nie zdążyli dosiąść swych rumaków. Niemców nie było widać. Słyszeliśmy jedynie wystrzały. Kawalerzyści przejechali galopem przez ulice i podążyli w kierunku, gdzie pojechał oddział policji. Biegnącym pieszo żołnierzom oddawali rowery. Dowódcą tego szwadronu kawalerii był młody chorąży, który powiadano, że odebrał sobie życie, gdy do Polski wkroczyli czerwonoarmiści. Podobno nie wytrzymał nerwowo i załamany psychicznie targnął się na swoje młode życie, które w okresie późniejszym byłoby tak potrzebne.

Następnego dnia w godzinach rannych do Wasilkowa wkroczyły zmotoryzowane patrole wojsk niemieckich. Wraz z bratem i synem sąsiadów skryliśmy się początkowo na strychu. Jednak ciekawość zobaczenia Niemców była silniejsza. Najpierw odsunęliśmy kilka dachówek i przez szpary obserwowaliśmy co się dzieje. Widzieliśmy, jak niemieckie oddziały wjeżdżały na motocyklach i samochodach zajmując miasto, które nie stawiało żadnego oporu. Na skrzyżowaniach ulic rozstawiono patrole, które zabezpieczały przed ewentualnym uderzeniem wojsk polskich. Trasą tą przejechały wóznicy siły główne kierowane na Grodno.

Po pewnym czasie wyszliśmy z kryjówki i udaliśmy się do miasta, żeby z bliska przyjrzeć się tym nieznanym nam Niemcom - zniechędzonym, najeźdźcom, którzy zaatakowali nasz kraj. Z ciągnącej kolumny część jednostek niemieckich zatrzymała się w Wasilkowie na odpoczynek. Żołnierze pobierali prowiant, myli się i golili. Widać było dyscyplinę, ład i porządek. Droga na Grodno ciągnęły uzbrojone oddziały wroga. Jechały samochody pancerne, czołgi oraz jednostki zmotoryzowane w pojazdach i motocyklach uzbrojonych dodatkowo w karabiny maszynowe. Ciągniki taszczyły za sobą działa artyleryjskie.

Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego widoku a żaskot i szum silników potęgował rosnące przerażenie. Zaczynaliśmy już rozumieć, że ten uciekający szwadron polskiej kawalerii nie mógł stawić czoła oddziałom przeciwnika. Mógł jedynie opóźnić marsz na Grodno i zadanie to spełnił, bo Niemcy weszli dopiero rano i bali się kontynuować pościgu w nocy.

Na jednym ze skrzyżowań ulic stał żołnierz niemiecki pilnujący ruchu wojsk. Jakaś kobiecina wyniosła mu mleko w dzbanie, aby ugasił pragnienie. Ten kazał jej samej wpierw spróbować a dopiero potem napił się sam. Widać z tego, że Niemcy nie dowierzali Polakom, którzy nie powitali ich kwiatami. Czuli nieprzyjazne spojrzenia i zdawali chyba sobie sprawę, że najchętniej poczęstowano by ich tutaj trucizną.

Do Grodna Niemcy nie weszli, gdyż wcześniej uczynił to ich sojusznik i przyjaciel wschodni - Armia Czerwona. Szybko się ze sobą dogadali i oddali nawet te tereny, które wcześniej zajęli. Dzielili się sprawiedliwie - pół Polski dla siebie, pół dla przyjaciela ze Wschodu. Przykładowo, Łomża i tereny starej granicy Prus Wschodnich, nigdy nie były terenami zamieszkałymi przez Białorusinów czy Ukraińców. Teraz trafiły w ręce rosyjskie.

Przypadkowo widziałem jak wojska niemieckie przekazywały Białystok w ręce Armii Czerwonej. Znalazłem się na ulicy Warszawskiej, gdzie mieściła się komenda miasta. Na samochodach ci żarowych siedzieli żołnierze niemieccy, a ulicą przedmieścia jechała kawaleria rosyjska. Za tym oddziałem kawalerii biegł tłum Żydów wiwatujących i skandujących na ich cześć. Ludność polska stała zaskoczona tym widokiem. Nikt nie witał zwycięskiej armii niemieckiej, a tu Żydzi urządzili taką fetę na cześć Rosjan. Przecież witali naszego wroga, który zdradziecko zadał nam nożem cios w plecy. Ośmielony i zuchwały motłoch żydowski nie tylko wiwatował, ale również wznosił okrzyki przeciw nam Polakom - "Wasze ulice - nasze kamiennice!". A trzeba wiedzieć, że w Białymstoku, te kamiennice w większości były w ich rękach a nie w rękach Polaków, którzy stali zaciśkając pięści i w duchu przyrzekali, że pomszczą tę hańbę.

Sam widok żołnierzy rosyjskich był dla nas zaskoczeniem. Wyglądali brudno i niechlujnie. Długie płaszcze, obszarpane u dołu, nie obramowane maszynowo. Karabiny i plecaki w postaci woreczków na ramionach, zamiast pasków sznurki. Żołnierze niemieccy śmieli się i pokazywali palcami, jakiego to mają sojusznika. Wyjeżdżając z miasta Niemcy byli chyba zadowoleni z widoku rosyjskiego żołnierza. Nas pozostawili w opiece przyjaciół ze Wschodu, z dzikiej Azji, przeklętej przez chrześcijan.

Sprzymierzeńcy wyciągali tytoń z badyli liści tytoniowych który obowiązkowo kręcili w gazecie, jako skręty. Pałacy takie papierosy smierdział dziegciem i rybim tranem, którym smarował buty/podobno to najlepszy środek konserwacyjny do skóry/. Do tego miał drewnianą łyżkę za cholewą tego cuchnącego buta. Jednym słowem wyglądał odrażająco.

W październiku, gdy władza radziecka już się umocniła i przekazała nas, że przyszła tu po to, aby uwolnić z rąk pol-

skich panów i "pomieszczyków", oznajmiono iż w szkołach rozpoczyna się nauka. Udałem się więc do swojego gimnazjum. Okazało się, że dyrektor a jednocześnie właściciel szkoły, wraz z żoną uczącą języka niemieckiego, zostali aresztowani przez nowe władze. Co prawda byli to Żydzi, ale nie tacy, co tak gorąco i entuzjastycznie witali czerwonarmistów. Być może dlatego zostali usunięci. Miejsce dyrektora zajął umundurowany oficer rosyjski z pistoletem u boku. Z kadry nauczycielskiej nie pozostał nikt. Niektórzy zginęli jako żołnierze z karabinem w ręku. Innych losy rozrzuciły po kraju. Tylko uczniowie pozostali ci sami.

Nauka nie trzymała się kupy. Wprowadzano nowe metody nauczania i nowe porządki. Wyglądało to tak, jak byśmy zaczęli uczyć się wszystkiego od tyłu. Najgorzej mi szło z nauką tych wszystkich "świętych" rosyjskich. W związku z tym nie zamierzałem dalej uczęszczać do tej szkoły, bo spoczywały na mnie obowiązki głowy rodziny.

Po jakimś czasie dotarła do nas wiadomość, że oddział policji, w którym był ojciec trafił do niewoli rosyjskiej. Wszyscy zostali internowani i wywiezieni w głąb Rosji. Dalsze zamieszkiwanie w Wasilkowie było ryzykiem. Postanowiliśmy szukać schronienia u rodziny w pobliżu Grajewa. Wiedzieliśmy, że syn mamy z pierwszego małżeństwa - Henryk Brzostowski, wrócił szczęśliwie z wojny i mieszka w Białaszewie. Ojciec przed pięciu laty był tam posterunkowym i cieszył się wśród miejscowych dobrą opinią. Brat prowadził tam prywatny zakład masarski. Musiał utrzymać żonę i kilkumiesięczną córeczkę - Sabinę. Był dla nas deską ratunku. -

W listopadzie bracia ojca przyjechali po nas furmankami i przewieźli nasz rodzinny dobytek. Jeszcze przed wyjazdem otrzymaliśmy list od ojca, że przebywa on w Ostaszkowie na terenie ŻSR. Jest krawcem obozowym i też radził nam wyjazd

do Białszewa. Mama zaczęła u miejscowych władz ubiegać się o uwolnienie ojca. Poradzili, aby sporządzić listę z podpisami robotników pracujących w wasilkowskich fabrykach, że ojciec był porządnym człowiekiem i nikomu nie wyrządził krzywdy. Taką listę z podpisami wielu pracowników trzech fabryk - tartaku garbarni i wodociągów oraz kilkunastu zakładów tkackich przedstawiono władzom rosyjskim. Sprawa była zawiła. Okazało się, że o negatywnym losie matczynej inicjatywy zdecydowała opinia Żyda o nazwisku Kac, który przed wojną siedział jako polityczny w Berezie Kartuskiej za przekonania rewolucyjne, a teraz zasiadał w najwyższych władzach miejscowych. Co prawda, to nie nasz ojciec prowadził jego sprawę, tylko posterunkowy Brożek, w którym kochała się jedna Żydóweczka - córka właściciela kilku zakładów tkackich, ale to ona zadenuncjonowała pana Kaca na policję. ^{Jednak} Ale on swoją krzywdę kojarzył tylko z posterunkiem tamtejszej policji i musiał się zemścić. Jego negatywne opinie na wniosku przekreśliła szansa ojca na przeżycie. Ostaszkowa. My ~~jednak~~ cały czas mieliśmy nadzieję...

Podróż do Białszewa nie była łatwa. Dokuczały już chłody jesienne, a odległość 100 km furmanką to było bardzo dużo. Wyjechaliśmy nocą, aby łatwiej przejechać Białystok. Po całonocnej podróży dobrnęliśmy do Osowca. Twierdzy strzegli żołnierze Armii Czerwonej. Na punkcie kontrolnym przetrzymali nas całą noc i dopiero rano pozwolili przejechać przez twierdzę. Dobrze, że chociaż pozwolili rozpalić ognisko, przy którym sami też się ogrzewali. A do celu podróży brakowało zaledwie 14 km.

Dom brata był dopiero w trakcie budowy, którą zaczął jeszcze przed wojną. Budynek stał niewykończony z częściowym przystosowaniem do warunków mieszkalnych. Brat ze swoją żoną i córeczką mieszkał w kuchni, a nam odstąpił pokój na trzy osoby. Byliśmy zadowoleni, że otrzymaliśmy schronienie i opiekę.

Na wsi szkoły dla mnie nie było. Pracy również. Na kilka dni wyjeżdżałem do stryja mieszkającego w Boczkach koło Grajewa gdzie w trójkę młóciiliśmy cepami zboże. Pracował z nami także jego brat, który przed wojną prowadził restaurację w Grajewie a teraz z całą rodziną - z żoną i trzema córkami - przeniósł się do Boczek. To była też jego ojcowizna. Ludzi do wyżywienia było duży i pracy nie mało. Młóćąc zboże cepem starałem się dorównywać stryjom i tłukłem kijem wahadłowym o kłepisko jak mogłem, ale nie zawsze wychodziło to dobrze. Bywało, że któryś ze stryjów obrywał niechcąc po głowie. Bolało, lecz wybaczałem moim poczynaniom.

Z ojcem korespondowaliśmy nadal. Zachęcał mnie do jakiegokolwiek nauki i udzielał listownie wielu cennych rad, do których sumiennie się stosowałem. Prosił też o paczki żywnościowe i ciepłą bieliznę, które wysyłaaliśmy. Zawsze potwierdzał ich odbiór, żeby było wiadomo, iż je otrzymuje. Często pisał o swojej tęsknocie za nami, za rodziną, za Polską.

Wieloletnie
~~Często~~ odwiedzaliśmy Świderskich mieszkających w Brzozowie /5 km od Białaszewa/. Rodzina ta wspomagała nas artykułami żywnościowymi. Pewnego razu w ich mieszkaniu zastaliśmy mężczyznę, który oświadczył, że przyjdzie taki czas, iż wszyscy pójdziemy odbić ojca i innych więźniów z rąk rosyjskiej. Wówczas nie wiele rozumiałem. Teraz wiem, że był ^{to} nie kto inny, jak organizator podziemnej partyzantki, przyszłej Armii Krajowej. Jak się później okazało mój brat - Henryk, należał również do partyzantki, choć nigdy z nami na te tematy nie rozmawiał. Miał swoje sprawy i nigdy nie pytaliśmy go ^o szczegóły. W dzień starał się kupić prosiaka, zabić po kryjomu i rozprzedać zaufanym ludziom. Nocą mało kiedy sypiał w domu. Pomimo ostrej zimy często spał w stodołę, co czyniło wielu mężczyzn w tym czasie. My młodzi prowadziliśmy życie beztrudnie i wesołe.

~~My, młodzi, prowadziliśmy życie bezstreskie i wesole~~

Nasi "6swobodziciele" organizowali zebrania Uświadamiające jak należy żyć, aby być tak szczęśliwym narodem, jakim są ich obywatele - towarzysze żyjący w kolchozach i sowchozach. Tutaj w Białoszewie miał powstać kolchoz na byłej ziemi właściciela majątku Świderskiego. Tłumaczyli nam jak "haraszo" będzie się żyło tym kolchoźnikom i cały majątek będzie ich własnością. Na ten lep propagandy dali się nabrać ludzie pracujący przed wojną w tym majątku, których miejscowa ludność nazywała "dworusami". Wyświetlali ^{nam} filmy z okresu rewolucji październikowej w stylu "Człowiek z karabinem", który to najbardziej utkwiał mi w pamięci. Były też filmy o utrwalaniu władzy ludowej w ZSRR oraz obrazy o wspaniałym życiu we wspomnianych kolchozach i sowchozach.

Aby nie narazić się miejscowemu komisarzowi, który nazywał się Gawryło, chadzano na te filmy, gdzie starsi ludzie, zmęczeni życiem i urokami radzieckiej okupacji spali sobie spokojnie, a nieraz nawet głośno chrapali. Młodzież patrzyła na to jak wół na malowane wrota. Najbardziej był zadowolony sam komisarz, w końcu odpowiedzialny przed swoją władzą za umilanie nam życia i upowszechnianie nowej kultury. Od czasu do czasu organizował ~~nam~~ zabawy taneczne, gdzie sam tańczył "kozaka" z przytupami i przysiadami. Patrzyliśmy na niego jak na wariata, gdyż nam odpowiadały nasze polskie tańce, ^{takie} jak polki, walczyki, oberki. Komisarz tego nie lubił i mówił, że to tańce burżuazyjne, pozostałość polskich "panów". Jednak jego zdanie nie bardzo się liczyło w tym względzie, bo orkiestra była polska składająca się z akor-

deonu i skrzypiec. Grała tylko to, co umiała i lubiła najbardziej, mając na uwadze głównie upodobania naszej młodzieży.

Zabawy te organizowano w pomieszczeniach organisty, którego przesiedlono do plebanii, a ten budynek przeznaczono na dom kultury. Wkrótce też przystąpiono do organizacji kolchozu na rozparcelowanej terenie ~~rozprzedanym~~ sprzedanym przed wojną, który został

"Pierwszego Maja" a Gawryło zorganizował dla młodzieży szkołę języka białoruskiego. Zaczął również rusyfikować teren, na którym języki rosyjski i białoruski, były zupełnie obce i nieznane. Mieszkała tu ludność mazurska nie mająca nic wspólnego z Rosją. Nie chodziłem do tej szkoły, bo mi nie odpowiadała. Ale później zaczęto zmuszać nawet dorosłych, zwłaszcza tych, którzy pracowali

w kółchozie. Efekty tego nauczania były bardzo mizerne, czego Gawryło nigdy nie mógł zrozumieć.

Nie wszyscy Rosjanie byli jednak tacy jak on. Pamiętam, że u byłego sołtysa przez pewien czas zamieszkiwał na kwaterze "lejt-
tnant" ze służby liniowej, który mówił, że politruk Gawryło kłamie i wcale w Rosji nie jest tak "haraszo", jak to on przedstawia. Opowiadał nam, jak ludzie ^{w Rosji} są sponiewierani, głodni i żyjący w nędzy, a te kółchozy i sowchozy są obrazem rozpacz, gdzie naród rosyjski pragnie wolności i pracy na własnej ziemi. Ufał nam że go nie zdradzimy. Byłem częstym słuchaczem lejtnanta, gdyż syn sołtysa Antoś Sakowski był moim przyjacielem szkolnym i przez kilka lat siedzieliśmy w jednej ławce.

Gdy lejtnant wyczerpał swój temat prosił, abyśmy opowiedzieli o swoim życiu, jak wyglądało w Polsce wszystko przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Wszystko co słyszałem było dla niego nowe i obce. Wierzył nam i dobrze nas rozumiał, dlatego nie chcemy ich obecności na naszych terenach. Zapewniał też, że w Rosji wielu jest ludzi, którzy myślą tak jak on i podzielają nasze poglądy. Przekonałem się o tym później.

W styczniu 1940 roku w jednym z większych pokoi parafii księdza Kowalewskiego założono szkołę dziesięcioletnią. Skorzystałem z tego i poszedłem do klasy

szóstej, chociaż powinienem do ósmej. Szósta była najstarszą klasą w szkole. Chodziła do niej młodzież w różnym wieku o zróżnicowanym poziomie wykształcenia. Przykładowo matematyka obejmowała akurat algebrę, z której byłem obkuty. Jednak wielu miało z nią trudności, nawet sam nauczyciel. Przypominam sobie

jedną taką zabawną historią, gdy "profesor" nie mógł w żaden

sposób wyprowadzić wzoru. Widząc to zgłosiłem się i wyprowadziłem tę "łamigłówkę". Nauczyciel nie obraził się a ja miałem u niego zawsze piatki i musiałem pomagać innym kolegom.. Do tej grupy należeli Jasia i Hania oraz Antoś i Broniek. Te dodatkowe lekcje odbywały się w mieszkaniach u Hani lub Antosia.

DROGA NA SYBIR

12 kwietnia 1940 roku w godzinach popołudniowych przybył z Grajewa jakiś nowy oddział wojska rosyjskiego i zatrzymał się w tej gminie. Poszła pogłoska, że będą wywozić dziewczyny które zadawają się z czerwonarmiejcami. Przyniosłem tę wiadomość do domu. Brat Heniek w związku z tym, nie przeczuwając nic złego, postanowił spać w domu. Ta noc okazała się krytyczna dla naszej rodziny. Około trzeciej nad ranem zastukano do drzwi i okien naszego domu, aby otworzyć dla żołnierzy "krasnej armii". Brat przekonany był, że wojsko przyszło po niego. Nie przepuszczał, ~~xxx~~ że chodzi o 47-letnią matkę i dwoje synów (16 i 14 lat). W mgnieniu oka podjął ucieczkę. Nie bacząc na leżący jeszcze śnieg, który spadł tej nocy, w koszuli i kalesonach wybiegł z kuchni do nie zamieszkałej części budynku i wyskoczył przez okno na ulicę. Następnie zaczął szybko uciekać ~~każ~~ w kierunku wiejskich zabudowań gospodarczych. Na podwórzu stał jeden tylko żołnierz, gdyż reszta weszła do środka. Tenże skośnooki przedstawiciel armii "wyzwolicielki" zauważył uciekającego mężczyznę i oddał, nie wiedząc czemu, śmiertelny strzał. Brat padł trafiony w tył głowy w odległości ok. 200 metrów od swojego domu.

W pierwszej chwili nie wiedzieliśmy co się stało, lecz na odgłos wystrzału kilku żołnierzy wybiegło z mieszkania i gdy wrócili oznajmili, że ktoś uciekał i leży zabity na polu. Szybko też zorientowali się, że ta osoba wcale ich nie interesowała, a jedynie rodzina policjanta Świderskiego, to jest matka - Anna synowie Stanisław i Fabian. Rodzina Brzostowskich nie figurowała

Nam kazano się szybko i ciepło ubrać, gdyż mamy być zawiezieni do ojca na jego żądanie. Wiedzieliśmy, że jest to tylko pretekst, a kierunek tylko jeden - Syberia. Powstało duże zamieszanie. Z jednej strony lament przed wywózką na Syberię, z drugiej strony brat leży martwy na polu, a żołnierze nie pozwalają dojsć do niego. Sami chyba się pogubili w swoich poczynaniach bo akcja wywiezienia nas miała odbyć się w nocy i po cichu,

żeby nikt nie zauważył. Godziny płyną. My płaczemy. Rozpacz

matki i żony bezgraniczna. Nie wzywają lekarza, ale za to gdzieś około godziny 10 - tej przyjeżdża NKWD z Grajewa.

Sam naczelnik był ogłupiały i tłumaczył, że Brzostowski niepotrzebnie uciekał, bo nie był na liście, ale rozumiał płacz matki i żony. W drodze wyjątku zezwala zabrać ze sobą po 20 kg na osobę i nakazuje odjazd. Zabieramy to co najbardziej wartościowe, co może się przydać, a nam może uratuje życie, którego bratu nikt już nie wróci. Podstawiają dwie furmanki, na które ładujemy kufer i skrzynię z różnymi rzeczami, m.in. żywność, bo przypuszczaliśmy, że jedzeniem rozpieszczą nas nie będą. Żegnamy się z żoną brata. Rozumiemy jej rozpacz, ale od decyzji NKWD nie ma odwołania. Ciężkie było rozstanie z tymi co żyli, lecz patrząc na tego, który leżał na polu, oraz fakt, że matce nie pozwalają

pożegnać zwłok syna, ogarniała nas złość i nienawiść. Czego możemy spodziewać się tam na Syberii?

W lutym wywozili rodziny gajowych i ludzi związanych z lasem/widocznie byli im potrzebni w ich lasach/, a taraz wzięli się za element niebezpieczny dla władzy ludowej. + ~~rodziny policjantów~~. Mało im było, że policjantów trzymali w swoich obozach, to musieli jeszcze zaopiekować się ich dziećmi.)

↳ W towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy przejeżdżamy obok plebanii, w której mieści się szkoła. W oknach widzimy przeczesujące koleżanki i kolegów. Na ten widok i nam polały się

Dojechaliśmy do Crajewa. Na bocznicy przy dworcu kolejowym były już podstawione wagony towarowe, ^{obstawione wojskiem} widzimy bałagan i lament ludzi żegnających się z rodzinami, bo nie chcą ich dopuścić do wagonów. Machają tylko do siebie z daleka.

Do jednego wagonu ładują po ok. 60-70 osób. Zapada kłamka. Drzwi zostają zamknięte i zaryglowane. W środku przeważnie same matki z dziećmi w różnym wieku, nawet z niemowlętami. W jaki sposób zagrażały one władzy ludowej nie wiadomo. Trzeba zniszczyć polskich panów i koniec. Nie ma tłumaczenia.

Wagony wewnątrz dostosowano do transportu ludzi poprzez usytuowanie dwupiętrowych pryczy po obu stronach drzwi a środek wagonu przeznaczono na bagaże. Dla luksusu wycięty był otwór w podłodze do zaskatwiania potrzeb fizjologicznych, które z konieczności czyniono na oczach wszystkich. A nie takie proste. Nie zawsze trafiało się do tego otworu i w efekcie jechało się jak w szczelnie zamkniętej ubikacji.

Pociąg ruszył nocą, gdy rozszedł się tłum żegnający swych bliskich. Jechaliśmy w stronę Białegostoku. Gdy ^{tylko} pociąg zatrzymwał się ^{się} zaczynaliśmy śpiewać pieśni patriotyczne, żeby wszyscy wiedzieli kto jedzie w takich warunkach. Starsi ludzie modlili się odmawiając różaniec i śpiewając "Pod twą obronę". My śpiewaliśmy "Boże coś Polskę", "Jeszcze Polska nie zginęła", i "Legiony". A najczęściej tęskną liryczną pieśń z okresu okupacji carskiej "Kibitka".

Wiatr wionął szumnie po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbilł
Tam biały tuman rwie się i trzepie
Jak huraganu rześisty pył.

Wśród tego stepu wiatrami gnana
Pędzi kibitka w bezkresną dal
A ze nią leci pieśń urwana
Lecz i ta kwrótce już zgnać ma

Na przedzie siedzi Moskał zbrukany
Kajda. rzęczą u więźn. nóg
Więzien. był młody z Polski porwany
Za co i po co wie tylko Bóg.

Spiwane przez nas piosenki nie podobały się uzbrojonej ochronie. W odwecie tłukli kolbami karabinów w drzwi i ściany wagonów, abyśmy przestali śpiewać. Wiadomo, że chcieli nas przewieźć przez Polskę jak najciszej.

Trasę z Grajewa do Białegostoku /ok. 100 km/ przejechaliśmy w dwa dni. W czasie podróży odbiliśmy górne okienka, które służyły nam jako wentylatory. Zapewniały też możliwość obserwacji. Znałem dobrze Białystok i wiedziałem, że linia kolejowa na wschód przecina drogę prowadzącą do Wasilkowa i Supraśla. W związku z tym wysypaliśmy dużo kartek z nazwiskami i adresami wywożonych. Wykrzykiwalismy też różne patriotyczne okrzyki, żeby dać znać, że to transport z ludźmi na Syberię.

W Białymstoku po raz pierwszy pozwolono nam nabrać wody do zaspokojenia pragnienia - w żadnym wypadku do mycia. Jedną w typowaną osobę miała prawo przynieść jedno wiadro wody na wspomniane ok. 60-70 osób. O wyżywienie ~~xxx~~ wcale się nie martwili, gdyż wiedzieli, że każdy z domu wziął żywność. Pobierając wodę z ~~fontenu~~ zauważyłem, że transport bardzo się wydłużył. Na każdej stacji doczepiali kolejne wagony.

Tym wydłużonym transportem dojechaliśmy do Wołkowyska, gdzie podano gorącą wodę /kapatok/ a następnie do Baranowicz. Cały czas przy drzwiach zamkniętych i pod eskortą. Przez te kilka dni ludzie poznali się i zaprzyjaźnili. Mało kto wierzył, że kiedykolwiek wróci do Ojczyzny.

Za Baranowiczami przedziałka na szerokie tory. Naokoło jak sięgnąć okiem bagne i karłowate drzewa. Na licznych wysepkach małe osady ludzkie. W pewnym miejscu przed względem na stację kolejową pociąg zatrzymał się. Podbiegła do nas ^{bosa} dzieciarnia pięcio-sześcioletnia ubrana w zgrzebne i brudne koszuliny. Było to ok. 20 kwietnia. Przez te małe okienka, mimo że sami mieliśmy mało jedzenia, rzucaliśmy chleb, ciasto i słodczyce. Widok tych dzieci był przerażający, gdy tymi brudnymi rączkami

prosiły chleba. W pewnym momencie wyskoczyli żołdacy z ochrony i starali się odpędzić szturmującą dzieciarnię. A że to nie skutkowało, bo widocznie głód silniejszy był od strachu, zaczęli tych dzieciaków rozpędzać karabinami. Jedno dziecko upadło na twarz, a ten "żołnierz wolności" kopał je butem. Na ten widok podnieśliśmy krzyk i dalej wyzywać go od barbarzyńców i bandytów. Wówczas przypomniały mi się lejtnant z Białaszewa. Zrozumiałem jego słowa przedstawiające obraz "raju na ziemi", do którego nas wiodą. Co by na to powiedział politruk Gawryło? Myślę, że odwróciłby kota ogonem i stwierdził, że tak "haraszo".

Po kilku dniach podróży terenem Rosji uznali, że wywieźli ludzi tak daleko, iż nikt nie odważy się na ucieczkę i otworzyli drzwi wagonów. Nareszcie można było złapać trochę powietrza, co prawda radzieckiego, ale zimniejszego niż w Polsce. Nie orientowaliśmy się, gdzie jesteśmy. Na pewno minęliśmy Minsk i widzieliśmy światła Moskwy. Teraz już tempo jazdy było szybsze i jechaliśmy nie tylko nocą, lecz cały czas, bez przerwy. W dali było już widać zarysy gór. To Ural.

Gdy dojechaliśmy do Swierdłowska ujrzeliśmy tablicę z napisem: "Praszczaj Rosja-Zdrastwuj Sybir". Pierwszego maja dotarliśmy do stacji Pawłodar. Ni to miasto, ni to wieś. Tyle, że województwo. Z wagonów przeładowali nas na barki rzeczne upychając tak ciasno, że czuliśmy się jak śledzie w beczce. Z okazji robotniczego święta nad brzeg rzeki Irtysz przybyło mnóstwo ludzi, aby obejrzieć sobie zesłańców z Polski. Między nimi byli też Polacy- zesłańcy z czasów carskich, którzy wołali do nas po polsku pytając o rodaków ze swych stron. Troskliwi ziomkowie zorganizowali nam transport żywności, którą kilkunastoletni chłopcy przynosili za pazuchą wdrapując się na barki po linach. Trwało to tak długo dopóki władza nie przerwała tej "komedyjki" organizując łapankę.

Następnego dnia popłynęliśmy w kierunku Omska. Płynąc barką spotkaliśmy naszych znajomych - rodzinę Kubalów z Wasilkowa. Jaki ten świat mały. Pan Kubala był kierownikiem szkoły w Wasilkowie i miał swój własny dom. W czasie wojny został zmobilizowany i w stopniu porucznika dostał się do niewoli rosyjskiej. Był internowany i osadzony w obozie w Kozielsku. Pani Kubalowa była z trójką dzieci - 14-letnim Stanisławem, 12-letnim Jerzym i 10-letnią Czesią. Pomimo, że czekały nas ciężkie chwile czuliśmy się jakoś rażniej. Postanowiliśmy trzymać się razem. Była też rodzina Falkowskich z Wasilkowa/ matka i dwie córki w moim wieku/. Mąż pracował w fabryce i tam naraził się władzy radzieckiej, za co wcześniej dostał się do więzienia w głębi Rosji. Była też kobieta z czwórką dzieci, której mąż był brukarzem i bił kamienie na szosach, ale nazwiska ich nie pamiętam.

Na barce płynęły różne rodziny, wywodzące się z różnych klas i narodowości. Oprócz Polaków byli też Żydzi, Białorusini i Ukraińcy. Wszyscy byli wrogami nowego ustroju, zwłaszcza małe dzieci. Tego nie potrafiłem zrozumieć.

Po przepłynięciu ok. 200 km w połowie drogi do Omska barka dobiła do brzegu małej wsi, która podobnie jak rzeka nazywała się Irtysz. Była to siedziba powiatu. Z barek według odczytanych list wraz z rodziną Kubalów przesiedliśmy się na samochody. Jechaliśmy stepem, bez dróg. Jedyne ślady kół wskazywały kierunek. Wokół pusty step porośnięty wysokimi trawami i dziko rosnącą roślinnością przeplatana czasem kwiatami. Tak przejechaliśmy kolejne 200 km i późnym wieczorem ujrzelśmy światła małej osady, która okazała się siedzibą Suworowskiego Ziarnosowchoza. Tu dokonano kolejnego rozdziału ludzi. My trafiliśmy do "otdielenia" nr 3, do którego było jeszcze 20 km.

3. NA "NIELUDZKIEJ
ZIEMI!"

Na miejscu przeznaczenia nikt nas nie witał i na nas nie czekał. Kazano z samochodu wyładować bagaże i wskazano "dom" oraz pomieszczenie przeznaczone dla Polaków. Osada nie była zelektryfikowana, nie mogliśmy więc nawet zobaczyć miejsca swego zamieszkania. Na potrzeby jednej rodziny przekazano jedno pomieszczenie. W ciemnościach nocnych nic nie było widać, ale gdy wnosiliśmy bagaże/kufer, skrzynia, podręczne walizki/czuć było zapach obornika i coś miękkiego pod nogami. Zrozumieliliśmy, że wprowadzono nas do obory, w której uprzednio stał ~~bydło~~ ^{Zwiczna domowa}. Widocznie uważali, że bydło z Polski przywieźli.

Zmęczenie wielodniową podróżą i poniewierką nie pozwalało rozczulać się nad własnym losem. Wiedzieliśmy, że nie wiozą ^{nas} na wczasy, lecz na powolne wyniszczenie bez rozlewu krwi. Na dworze padał deszcz, więc nie było wyboru. Trzeba było zrobić spanie w oborze. Na skrzyni i kufrze rozłożyliśmy posłanie i ułożyliśmy się do snu, który przyszedł bardzo szybko.

Przebudzenie przyszło wraz ze świtem. Naszym oczom ukazał się "apartament" jak zmora. Nie tynkowane i nie bielone pomieszczenie o powierzchni ok. 10 metrów kwadratowych. To coś miękkiego pod nogami okazało się zwykłym gnojem. Mieszkańcy tej osady nawet nie uprzątnęli nawozu przed naszym przyjazdem. Wyprowadzili tylko poprzednich mieszkańców, czyli bydło, do innego pomieszczenia.

Mama na ten widok rozplakała się. My nie rozumiejąc o co chodzi poszliśmy odwiedzić swoich sąsiadów. Rodzina Kubalów otrzymała swój "pokój" obok nas. Dalej zamieszkała rodzina Konopków z Grajewa. Matka ich chora, nie zdolna do żadnej pracy i trzy córki - Kazia 14 lat, Pełka 12 lat i 9-letnia Wandzia. Dalej mieszkało małżeństwo bezdzietne i trzy rodziny Ukraińców gdzieś spod Kołomyj. Była to matka z synem Aleksiejem, w moim wieku, matka z córką Tatianą, starszą ode mnie, natomiast trzecią rodziną był "diakon" z żoną, który w cerkwi był

Tak wyglądała
stawała się

nowa siła robocza przywieziona na Syberię.

Ci, którzy mieszkali tu wcześniej, również pochodzili z wywózki. Przewodniczącym był skośnooki Kirgiz, którego żona nie pracowała. Następny Kirgiz był woźniwą, gdyż na miejscu nie było źródła wody pitnej i trzeba było przywozić ją z sąsiedniego sowchozu. Dalej dwie rodziny rosyjskie wywiezione z Ukrainy zaraz po Rewolucji Październikowej. Jedną z nich stanowiła rodzina Gromowów. Crisza był traktorzystą, miał żonę i 12-letnią córkę. Nazwiska drugiej rodziny nie pamiętam, ale przyjaźnił się z ich synem ^{Pietką} Pietką, który był sklepowym i grał na rosyjskiej harmoszce.

Początkowo ci mieszkańcy byli do nas nastawieni wrogo. A wynikało to z tego, że przed naszym przyjazdem zabroniono im kontaktować się z nami, gdyż określono nas "polskimi panami", którzy z za węgla strzelali w plecy żołnierzy Armii Czerwonej, w swojej oswobodzicielki i wyzwolicielki. Mówiono im, że zatruliśmy wodę żołnierzom, którzy przecież chcieli wyzwolić nas z nędzy i niedostatku. Ten nawóz w pomieszczeniach i kilkunastu obojętność, a nawet wrogość, dowodziła, że uwierzyli oni podrzuconej propagandzie. Później lody zaczęły kruszeć.

Jak się okazało cała osada składała się z dwóch budynków, w których wszyscy wymienieni zamieszkiwali. Nasz pokój posiadał małe okienko pół metra nad ziemią, bez możliwości gotowania w nim. Do tego celu służyła prowizoryczna kuchnia na zewnątrz nie zadana i ^{nie} zabezpieczona przed warunkami atmosferycznymi. Rozpacz na każdym kroku. Tylko wiara w przetrwanie dodawała nam sił. A mówili, że wiozą nas do ojca...

Upriawiajuszczy Kirgiz słabo mówił po rosyjsku, ale nakazał nam przygotować sobie warunki do zamieszkania we wskazanej obórcie. W związku z tym, że nie było narzędzi, cały gnój musieliśmy wynosić ~~xxxxxx~~ rękami. Mama potem umyła glinianą

Nikt nie protestował, bo zarówno wodowóz, jak i sam kierownik byli Kirgizami.

Z drugiej strony budynku kierownictwa mieszkał wspomniany Pietia z rodzicami. W jednym pokoiku ^{znajdowało się} ~~było~~ biuro gospodarstwa a w drugim sklepik, który zawsze był pusty, bo wszystko co przywoził Pietia ~~było~~ natychmiast wykupowane. Artykuły ~~były~~ skromne - sól, chleb, ^{normowany} rzadko landrynki czy pierniczki. Cukier nie był potrzebny, gdyż kawę przyrządzaliśmy z palonego ziarna pszenicy, a słodziliśmy ją w sposób osobliwy. Cukier sprzedawano ~~był~~ xx w bryłkach, tak jak sól-lizawkę dla bydła. Taką bryłkę cukru wiązano na sznurku i wieszano nad stołem. Pijący herbatę lub kawę zbożową po łyknięciu napoju polizywał wiszącą słodycz, która uciekała od atakującego języka. Gdyby nie to cukier ~~ten~~ nikłby w gnieniu oka. Sam patent zapożyczony został od mieszkańców tego regionu, być może stosowany był tu powszechnie.

Pietia oprócz prac w sklepiku i związanym w nim zaopatrzeniem zajmował się również rozliczaniem robotników i naliczaniem zarobków branych najczęściej z sufitu. Korzystając z tej przyjaźni mogłem częściej niż inni zakupić cukier, słodycze i pierniczki. Polaków często oszukiwano w najróżniejszy sposób, a próby zażaleń były bezsensowne.

W trzecim budynku tej osady stały krowy miejscowych. Obok znajdowała się jeszcze szopa, w której ^{stały} ~~znajdowały się~~ "maszyny i narzędzia rolnicze". Technika w naszym sowchozie była strasznie zacofana. Zajmował on 21 tys. hektarów ziemi. Składał się z trzech gospodarstw po 7 tys. hektarów i jednego gospodarstwa hodowlanego. W gospodarstwach, takich jak nasze, pola były podzielone na "kletki", to jest poletka 2x2 km, których na stanie gospodarstwa znajdowało się około dwudziestu. Często do tych poletek było nawet po 40 km. Każde z nich posiadało 5 metrowy pas przeciwpożarowy. ^{Wysiewano} ~~Siano~~ na nich wyłącz-

nie pszenicę, jara, to jest tylko wiosenną, gdyż zimą roślinna wymarzała. Siewu dokonywano bez nawożenia, a pomimo to ziemi rodziła pszenicę wysokości ok. 30-40 cm. Kłosa były mizerne i wydajność z hektara wynosiła przeciętnie 10 q. z ha. Nikt się tym nie martwił, gdyż i tak zebranej masy zboża nie można było wywieźć przed nastaniem zimy. Ziarno usypywano w kopce, a słomę po żniwach palono.

Także i technika budownictwa była tu prymitywna. W stepie z darniny cięto wymiarowe płyty, które układano jedną na drugą tworząc ścianę budynku. Układano ją jak cegłę, tyle że bez zaprawy. Następnie ściany oklepywano gliną wymieszaną z krótko pociętą słomą/była to nieczysta zaprawa murarska/. Również dach drewniany obkładano płytami darniowymi. Podłogi lepiono z gliny. Okienka były małe z powodu silnych mrozów i braku szyb.

Wróćmy jednak do naszych początków w tej osadzie. Po dwóch dniach pobytu otrzymaliśmy pracę, nie według posiadanych kwalifikacji, lecz wedle sugestii miejscowej władzy. Ja otrzymałem zadanie mieszania gliny i przygotowania jej do celów budowniczych. A więc do okrągłego dołu o średnicy 6-10 metrów i głębokości ok. pół metra musiałem naładować gliny, zalać ją wodą, a następnie po jej rozmieszczeniu wsypywałem krótko pociętą słomę i mieszałem to przy pomocy dwóch wołów: oprowadzanych wewnątrz. W trakcie tej pracy ~~niejeźdźcą~~ prowadzałem te byki trzymając je, na lince. Popędzałem je batem i nie pozwalałem im wyjść z tego dołu. Nie była to ciężka praca, ale musiałem się z nimi dobrze naszarpać, a przede wszystkim poganiać je twardszym językiem - serwując komendę "cob - cebe". Nie wiedziałem co to oznacza, ale te bestie nie reagowały na nic innego i wyczuwając moje niedoświadczenie starały się za wszelką cenę wyłazić z dołu. Byki miały

linkę na rogach i ^{nie}reagowały na moje pociągnięcia, tak jak robi to koń, gdy ciągnie się go za uzdę. W gospodarstwie był tylko jeden koń, ale używany ~~był~~ wyłącznie pod siodło przez kierownika.

Ta przekięta praca trwała kilka dni. Najbardziej nad moim położeniem rozpaczała mama, która wraz z młodszym bratem zatrudnieni byli do lżejszej pracy. Czy była to praca potrzebna? Nie ważne. Chodziło tylko o to, aby tych "polskich panów" nauczyć "rabotać". Nie pozwalano nam siedzieć bezczynnie i wspominać kochanego kraju.

Któregoś dnia "wódz" oznajmił, że potrzebuje chętnych na wyjazd do pracy w stepie przy wytyczaniu nowego pola pod uprawę. Oczywiście skorzystałem z tego i byłem szczęśliwy, że pożegnałem się z tymi przekletymi bydlakami. Przy okazji dowiedziałem się, że tę ~~ziemię przeznaczoną była~~ ^{prerabiałem} dla naszych nowych kwater adaptowanych z budynku, gdzie obecnie stało by było gospodarcze. Mieliśmy się tam przenieść wraz z rodziną Kubalów i Konopków. Praca w stepie oznaczała rozłąkę z mamą i bratem oraz konieczność mieszkania w namiotach. Ale tego nie obawiałem się. W załatwieniu wyjazdu pomógł mi Pietia, który odpowiednio szepnął kierownikowi, aby właśnie mnie do tej inżynierskiej pracy skierował.

Wyjechaliśmy w step, odległy od naszego miejsca zamieszkania ok. 50 km. W skład grupy wchodziło 10 osób. Byli to sami Polacy z innych gospodarstw i samego sowchozu - młodzi chłopcy i dziewczęta. Inżynierami ~~byli~~ ^{okazało się} prowadzącymi pomiary ~~było~~ / młode rosyjskie małżeństwo. Jak już wspominałem spaliśmy w stepie w namiotach i mieliśmy zapewnione posiłki z ogólnego kołtła, gotowane przez polskie "kucharki". Wyżywienie otrzymywane tutaj w stosunku do naszego w miejscu stałego zamieszkania było luksusem. Na obiady otrzymywaliśmy

zupę z wkładką mięsną. Trowiant dowożono nam raz w tygodniu. Ponadto mieliśmy koce do spania, urządzenia pomiarowe, tyczki - wicchy, słupki graniczne, szpadle, dwa konie pod siodło do wyjazdu z wiechą w step.

Tutaj poznałem prawdziwy urok stepu. Równina bezkresna, a na niej wysoko rosnąca dzika trawa. Jak okiem sięgnąć nie widać nic tylko trawę na równinie. Żadnych dróg, zabudowań czy drzew. Od czasu do czasu wyskakujące spod nóg małe zwierzątka, zwane tutaj "suśliki" - podobne do naszych świstaków. Kryły się w norkach i tylko dniem wychodziły na żerowanie. Wygrzewały się na słońcu i czuły się swobodnie przez nikogo nie zagrożone. Tylko my byliśmy intruzami. Smykały przed nogami kryły się do nor. W nocy słychać było watahy wyjących wilków które nie podchodziły w pobliże obozu, gdyż nasz inżynier witał ich je palbą swej dubeltówki.

Zostałem przydzielony do brygady zajmującej się pomiarami. Zadanie moje polegało na tym, że konno wyjeżdżałem w step na odległość 2-3 km i musiałem być w kontakcie wzrokowym z tymi, co pozostawali przy aparacie pomiarowym. Posiadałem kilka tych wiech i na odpowiedni znak wbijałem je w ziemię. Gdy była dobrze ustawiona pomiarowcy swoją wiechę unieśli do góry, a ja jechałem z następną dalej. Pozostali dochodzili z aparatem, robili kopiec i wkopywali słup graniczny. I tak dalej.

Ja hasałem konno po stepie jak wolny ptak, starając się wykonywać swe obowiązki jak najlepiej, abym nie utracił swego intratnego zajęcia. Wszyscy byliśmy zadowoleni ze swej pracy, nikomu nigdzie się nie śpieszyło, a tym bardziej naszym inżynierom. Był już czerwiec 1940 roku i mogliśmy pracując opalać się oraz oddychać świeżym, stepowym, pachnącym powietrzem. Wieczorem wszyscy razem śpiewaliśmy nasze polskie

Pieśni o co prosiło nas inżynierstwo. Z przyjemnością słuchali też naszych opowiadań, jak w tej Polsce żyliśmy przed wojną, czym się zajmowaliśmy, dlaczego znaleźliśmy się tak daleko od swej Ojczyzny. A że byliśmy młodzieżą uczącą się więc najczęściej mówiliśmy o szkole, o pracy naszych rodziców, o obfite zaopatrzonych sklepach, itp. Oni słuchali i stale prosili o nowe wiadomości. Nie raz przesiadaliśmy tak do późnych godzin nocnych, aby nasycić ich ciekawość i powspominać o czasach przeżytych w dalekim kraju. Opowiadaliśmy bez żadnych bajek "z tysiąca i jednej nocy", bez żadnych czarowań i politycznych poglądów, gdyż jako młodzi ludzie nie wiedzieliśmy jeszcze o to jest polityka. Mówiliśmy, że Ojczyzna została rozszarpana dlatego, że nie podpisała paktu przyjaźni z Niemcami, a ich naród, jako przyjaciel Niemiec, pomógł rozszarpać nasz kraj zadając mu skrycie cios "nożem w plecy za to, iż nie chciał uznać perfidnych pretensji władz hitlerowskich. Tłumaczyliśmy im, że wspólnymi siłami zduszono nasz zapal bojowy a obecnie pragnie się wyzuć z nas polskość na bezkresach Syberii.

Oni pomimo swego młodego wieku i wychowani według wytycznych leninowsko-stalinowskich, bardzo nam współczuli i chętnie z nami rozmawiali. W ten sposób kwitła nasza przyjaźń i stawali się niemal rodziną. Chcąc nam unieść życie, a może nawet zaimponować, śpiewali z żoną rosyjskie pieśni, ale nie te ^{polityczno-} patriotyczne, lecz ludowe i narddowe. To siel^sk^{ie} życie stopowe trwało do połowy sierpnia, kiedy zakończyliśmy pomiary dla nowego sowchozu. Przypuszczaliśmy, że będzie obsadzony przez dalszych przymusowych emigrantów z Polski, Litwy, Łotwy i Estonii.

Step wygląda spokojnie i monotennie, ale inżynierowie opowiadali nam, że ten pozornie spokojny teren w razie pożaru potrafi zmienić się w szalejący żywioł siejący strachem i grozą. Człowiek nawet konno nie potrafi zbiec przed palącym

się stepem. Wówczas te niewinnie wyglądające trawy stają się morzem ognia, błyskawicznie posuwającym się z wiatrem i nie ma siły, by tę ścianę pędzącego ognia zatrzymać. Widzieliśmy raz z oddali taki płonący step. Widoczna była łuna czerwonego ognia, a traktory na kilkadziesiąt kilometrów przed posuwającą się falą ognia orały szerokim pasem strefę bezpieczeństwa. Tylko w ten sposób można było go zatrzymać i na szczęście nie dotarł do naszej osady.

Wypoczęty i opalony wróciłem do miejsca czasowego zamieszkania. Mama z bratem nadal byli zatrudnieni przy różnych pracach gospodarczych przygotowując się do żniw. Z obory wyszykowano trzeci "budynek" mieszkalny. Otrzymaliśmy pokój nie większy jak poprzednio, ale za to z kuchnią wewnątrz. Byliśmy ^{zadowoleni} ~~szczęśliwi~~, gdyż na płycie kuchennej z blachy bez otworów na garnki można było piec placki zwane "lepioszki". Pieczono je z mąki ~~maki~~ pozyskiwanej z wymiany towarowej - głównie za przedmioty przywiezione z Polski. W pierwszej kolejności poszły rzeczy pościelowe, kapy, obrusy, a następnie materiały ubraniowe. Uważaliśmy je za zbędne i nieprzydatne w tych warunkach. Bardziej wartościowe przedmioty zostały przeznaczone na czarną godzinę, a więc mam ~~ła~~ złoty zegarek, srebrne sztucce i materiały bielskie. Jednak nasi współmieszkańcy nie byli też zbyt zasobni w artykuły żywnościowe i z czasem trzeba było udać się do najbliższego kołchozu. Doradzili to nam sami Rosjanie, którzy kiedy poznali nas lepiej, okazali szczerą i bezinteresowność.

Do najbliższego kołchozu było jednak ok. 20 km, a my jako zesłańcy nie mogliśmy się poruszać bez specjalnego zezwolenia. Mama w związku z tym otrzymała ^{odpowiedni} ~~xxxxxx~~ "propusk" i na pieszo udała się do tego kołchozu. Wraz z nią wybrało się kilka innych kobiet z naszego gospodarstwa. Nasze polskie

zapasy dawno się już wyczerpały i za zarobione ruble można było jedynie wykupić terminową normę chleba/600 gram dla pracujących i 200 gram dla niepracujących/ czarnego i gliniastego. W założeniu władzy wszyscy powinni pracować, także dzieci. A że jedzenia było wciąż mało zmuszeni byliśmy do handlu wymiennego. Z owego kołchozu mama przyniosła trochę mąki, ziemniaków i słoniny, gdyż jako pięćdziesięcioletnia kobieta nie była w stanie więcej udźwignąć niosąc to na trasie 40 km. Stałym łącznikiem do tej wymiany ^{została właśnie} była mama, gdyż ja nie mogłem otrzymać zezwolenia, bo byłem uważany za pełną siłę roboczą. Przy niedoborze rąk do pracy nawet dobre serce "uprawiajuszczego" nie pozwalało zwolnić mnie od "trudu dnia".

Pracowaliśmy pięć dni w tygodniu, a szósty - wolny dzień przypadał w różne dni tygodnia. Ale nie było zasady, wszystko zależało od nawału pracy. Orki, siewy i zbiory zboża wykonywano za pomocą traktorów i maszyn, ale inne prace spadały na ludzką siłę roboczą.

W międzyczasie napisałem list do ojca na adres, który pamiętaliśmy jeszcze z Polski. Jednak po kilkakrotnym ~~braku~~ braku odpowiedzi na moją korespondencję postanowieniem napisać na adres NKWD w Ostaszkanie - tam gdzie ojciec przebywał. Po jakimś czasie otrzymaliśmy zwrot listu z adnotacją "miejsce adresata nieznane". Był to lipiec 1940 roku i wówczas już zrozumieliśmy, że wszelkie poszukiwania są bezskuteczne, i że ojca już nie odnajdziemy. List ten, gdy wędrowaliśmy później po Rosji, został mi skradziony. Być może złodziej myślał, że w kopercie znajdzie ruble, a trafił tylko na list NKWD.

artykuły żywnościowe przynoszone z pobliskiego sowchozu uzupełniały nasze menu, gdyż sam chleb, sól i kawa z kradzionej pelonej pszenicy i zastępujące cukier landrynki, nie były wystarczającym pożywieniem naszego młodego, lecz wyczerpanego organizmu. Mama nas rozumiała i robiła wszystko, abyśmy mogli

przetrwac i wrócić do kraju. Nikt nie myślał o tym, iż możemy nie wrócić na "ojczyzny łono", jak pisał Mickiewicz, który również był zesłańcem i tęsknił, podobnie jak my, za swą ojczyzną. Rozumiałem teraz sens jego słów zawartych w "Panu Tadeuszu" - "...tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...", ale tutaj nie było też nic do czego tęsknił wielki wieszcz narodowy. Mieliśmy za to ze sobą jego grube dzieło, które często czytaliśmy i płacząc wspominaliśmy tych, wszystkich pozostawionych daleko. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że wówczas i te dzieło sprzedaliśmy za artykuły żywnościowe.

WALKA O PRZETRWANIE.

Koniec lipca i początek sierpnia był okresem przygotowania do żniw. Nas Polaków zatrudniono przy wycinaniu trawy w wyznaczonym terenie. Były to miejsca przeznaczone na klepiska do magazynowania zboża. Żon "tubylców" nie wysyłano do pracy, my pracowaliśmy wszyscy, z dziećmi włącznie. Cały czas wpajano nam ich podstawową socjalistyczną dewizę - "kto nie rabotajet, ten nie kuszajet". I tak za zarobione ruble nie można było nic kupić do jedzenia. Dlatego wciąż musieliśmy kombinować. Zresztą ta dewiza odnosiła się wyłącznie do Polaków. Kto nie wykonał normy roboczej zamiast 600 otrzymywał 400 gramów chleba. I prawdę powiedziawszy większość Polaków dostawała te 400 g, bo mało kto, przy tak nędznym pożywieniu, nałożoną normę pracy wyrobił. Każdy chciał pracować za chleb, gdyż jak wspomniałem pieniądze w tamtych warunkach nie przedstawiał żadnej wartości.

Podczas ciężkiej ^{harówki} ~~pracy~~ bez rękawic ochronnych dostałem pęcherzy wodnych na rękach wielkości dłoni i zostałem czasowo wyeliminowany z pracy, gdyż nie mogłem utrzymać żadnego narzędzia. Mama widząc moje ręce płakała. Po jakimś czasie otrzymałem przydział do brygady woziwody, który pełnił stanowisko "kierownika" ~~bezkowozu~~, a ja stanowiskiem jego siłę roboczą.

Byłem zadowolony z tej zmiany zatrudnienia. Fizycznie nie pracowałem, a dodatkowo miałem pełen przydział chleba. Było to dla nas bardzo istotne, gdyż mama z bratem nie wyrabiając normy otrzymywali tylko po 400 gram. Kto nie zna głodu i niedostatku żywnościowego ten nie zrozumie tego, iż owe 400 gramów chleba zjadało się jednorazowo. Dziś ta porcja pieczywa wraz z dodatkami starcza mi na dwa dni, wówczas była to racja głodowa.

Wożąc wodę z "kierownikiem" często zostawałem sam w miejscu brygady traktorowej i z nudów rwałem się do pracy na traktorach gąsiennicowych typu "Staliniec". Było ich około piętnastu. Po rozwiezieniu wody na pole dla pracujących traktorzystów siedałem do któregoś z nich i jeździłem po polu wykonując różne prace. Gdy trochę się poduczyłem i otrząsałem z tą robotą, poznałem technikę jazdy przy pomocy drążków hamulcowych, nauczyłem regulować obroty silnika, dopuszczono mnie do prac przy bronowaniu pola. Część ziemi była obsiana pszenicą i przygotowywano się do zbioru tych mizernych plonów, natomiast część była przeznaczona do orki i uprawy pod wiosenne siewy. Podczas żniw wszystkie ciągniki i cała siła ludzka pracowały przy zbiorach. Kilku traktorzystów polubiło mnie, gdyż chętnie pomagałem przy różnych czynnościach. Obserwując moje poczynania za kierownicą mawiali "haroszyj paryń". Cieszyłem się z tego i to dodawało mi sił w dalszym rozwoju. Awansowałem na "zaprawszczyka", to jest pomocnika magazyniera paliwowego. Otrzymałem parę wołów zwanych tu bykami, które zaprzęgałem do wozu przewożącego w beczkach materiały pędne. Na wozie stały dwie beczki z olejem napędowym typu "karasin", beczką z benzyną "binzyn" i beczką z towotem "masło". Do osprzętu należało wiadro, pompa paliwowa, ^{duża} towotnica dźwigniowa i łopata do towotu. Do tego "cepeenu" na kółkach zaprzęgałem byki i jechałem w pole do pracujących traktorów. Traktorzyści uzupełniali paliwo w miejscu pracy a tak.

że smarowali towotem gąsiennice. A ja jeździłem od traktora do traktora. Robiłem to dwa razy dziennie, gdyż traktorzyści pracowali na dwie zmiany po 12 godzin, czyli przez całą dobę. Kto upomniałby się o ośmiogodzinny dzień pracy i powiedział że nie pójdzie do roboty, bo dziś przypada "wychadnoj"? Nikt. To jest naród socjalistyczny, zdyscyplinowany, rozumiejący potrzeby "ku chwale ojczyzny".

W brygadzie zadomowiłem się na stałe i zamieszkałem w stepie wraz z brygadą traktorową. Składała się ona z około trzydziestu traktorów, rachmistrza zwanego "buchter", mierniczego i naliczającego zarobki "uczotczyk", dwu kucharek, kierownika i sklepowego. Kucharkami były dwie Ukrainki przywiezione razem z nami, tak więc przy wydawaniu posiłków miałem u nich względy i byłem należycie traktowany. Poza tym z synem szefowej kuchni - Aleksiejem - przyjaźniłem się i miało to wpływ na mój stan żołądka.

Zamieszkiwaliśmy w barakowozach i w miarę posuwania się prac polowych, barakowozy przeciągano na nowe miejsce pracy brygadę traktorowej. Przebywałem więc wciąż w pobliżu traktorzystów, lecz daleko od miejsca naszego zamieszkania.

W kuchni, jak na obecne nasze warunki, posiłki były dobre i nie można mieć ~~było~~ zastrzeżeń. Ukrainki potrafiły dobrze gotować, a do tego nie kradły, gdyż obawiały się utraty korzyści z tego zajęcia. Wyżywienia przecież im nie brakowało. Natomiast traktorzyści mogli zamówić większą porcję mięsa na własne żądanie, za co oddzielnie płacili. W sklepiku można też było kupić cały dwukilogramowy bochenek chleba, słoninę, konfitury, cukierniki, pierniki a nawet wódkę. Korzystałem z tego i najczęściej kupowałem chleb dla mamy i dla brata, z którymi co jakiś czas widywałem się. Wówczas pod pozorem zmiany bielizny jechałem wieczorem do gospodarstwa konno i zawoziłem zakupy. Na rano

wracałem i byłem gotów do pracy. Nie mogłem sobie pozwolić na opóźnienia, gdyż na moje miejsce byłoby wielu chętnych. Gdy moim chleba nie brakowało kupowałem dla ^{innych} rodzin polskich, które przecież także go potrzebowały. Była to ^{pozytywna} ~~nie~~ świetna praca. Tyle że cały czas byłem uświechtany towotem i cuchnącym ropą na odległość.

Przed rozpoczęciem ~~pracy~~ ~~żniwnych~~ myślano już o nadchodzącej ostrej, syberyjskiej zimie. O tutejszych zimach słyszeliśmy jedynie z opowiadań, gdy powiadano - zima jak na Syberii. Byliśmy więc w tych sprawach absolutnymi laikami. Mieszkańcy mówili nam, że ^{lata} ~~zima~~ jest srogi mróz i nazywali ją "prakłata zima". Nie mieliśmy pojęcia jak się do niej przygotować. Aby ustrzec się przed jej następstwami zorganizowano kilkusobową brygadę, której przydzielono parę byków i kosiarkę do trawy. Ludzie ci wyjeżdżali w step nieuprawiany kosząc suchą trawę i chwasty, głównie "łopuch", który my nazywaliśmy bylicą i łopianem. Trawa ta wraz z chwastami tworzyły materiał opałowy na zimę, ~~które przynosiła~~ ^{energetyczne} ~~50% wartości~~ (tego paliwa były znikome. Gdy trawa ta podeschła brygada rozwoziła je po domach ograniczając jej ilość każdej rodzinie. Zauważyliśmy, że miejscowi na pastwiskach zbierali krowie łajno, mieszało to z krótko ciętą słomą i formowali na kształt placków. Susząc je uzyskiwali coś w rodzaju koksu. Poradzili nam abyśmy czynili to samo, gdyż trawa dużo ciepła nie da. Niestety ~~wa~~ łajno było wielu chętnych. O wiele więcej niż mogły naprodukować tutejsze krowy. Urządzano więc prawdziwe polowania na "placki", a niektórzy nawet proponowali zakładanie krowom specjalnych torebek, żeby nic się nie marnowało. W naszej rodzinie polowaniem na ten opał zajmowała się mama z bratem. Czynili to w godzinach pracy lub brali na ten cel "wychadki".

Do kołchozu mama przestała chodzić po żywność z różnych

powodów. Po pierwsze sytuacja żywnościowa naszej rodziny dzięki mojej pracy i inicjatywie polepszyła się, po drugie asortyment przeznaczony do wymiany wyczerpał się. Pozostał jedynie towar przeznaczony na czarną godzinę. O tym nie zapominaliśmy i wciąż wierzyliśmy, że pewnego dnia wypędzą nas stąd i powiedzą "damoj".

Krowiego opału niewiele się udało nam zdobyć. Nie mieliśmy w tym praktyki a poza tym swoich krów. W razie wpadki byliśmy traktowani jak złodzieje łajna krowiego. Zresztą w czasie żniw nie udzielano dni wolnych od pracy. Brygady traktorowe pracowały całą dobę, a że ludzi wożono do pracy wołami, które strasznie się wlekły, trzeba było wstawać bardzo wcześnie, Dzień pracy razem z dojazdem trwał średnio od czternastu do szesnastu godzin na dobę. Zależało to od odległości do miejsca pracy.

W drugiej połowie sierpnia przybyły z sowchozu kombajny zbożowe do sprzętu tej mizernej pszenicy. Nie były to kombajny samobieżne, więc zorganizowano kilka zestawów ciągnionych przez traktory gąsienicowe "Staliniec". Do każdego ciągnika zaczepiano dwa kombajny idące obok siebie. Obsługa kombajnu składała się z dwóch osób - kombajnisty i pomocnika. Przydzielono mnie na pomocnika i straciłem dobry etat "zaprawszczyka". Jako "skoczek" musiałem być wszędzie i widzieć wszystko, co dzieje się wokół kombajnu, a przede wszystkim jak kosi. Kombajnista musiał uważać, żeby nie zostawiać pasów zboża nieskoszonego a ja wyrzucałem słomę za pomocą linki ze słomoplewnika, rozgarniałem zboże w zbiorniku i obserwowałem, czy kombajn pracuje prawidłowo, pilnowałem aby nie uległ awarii młocarnia lub słomoplewnik. Słomę wyrzucało się w dużych kupach i nie wolno było jej rozwłóczyć po polu, gdyż potem była palona. Czynił to pracownik na koniu, który jechał z po-

chodnią w rękę i kolejno podpalał stogi. Nocą widok ten był wart podziwu i robił wrażenie. Ale palenie tak dużej ilości słomy, jak i sposób magazynowania ziarna były z mojego punktu widzenia olbrzymim marnotrawstwem. Także system pracy ciągników i kombajnów uważałem za mało rozsądny. Przy takim ustawieniu maszyn było wciąż dużo przesto^{ju} spowodowanych awariami maszyn żniwnych. Gdy następowała awaria w jednym z kombajnów ciągnik ~~musiał~~ się zatrzymywał a kombajnista usuwał ją. Drugi kombajn sprawny wraz z załogą musiał czekać. Nikt nie wpadł na pomysł żeby jeden mniejszy ciągnik pracował tylko z jednym kombaj^{em}. Ale Rosjanom imponowało wszystko to, co wielkie i zmechanizowane. Duży ciągnik i dwa kombajny prezentowały się na polu bardziej okazale i było to dla nich powodem do dumy. Przy tej organizacji pracy i powolnym tempie robót prace żniwne trwały do końca września.

Kombajny rozładowywano na chodzie. Gdy zbiorniki były pełne wystawiano wiechę podjeżdżał "Zis-5" i zabierał zboże zwożąc je na miejsce magazynowania, pod gwiazdami. Nieoczyszczona i nie dosuszona pszenica gniła i czerniała, a szufłowanie przy tak dużej masie nie miało znaczenia. Jednak niewielką część pszenicy była wywożona do suszarni i elewatorów w sowchozie. Być może ziarno to wysyłano do miasta. W siedzibie dyrekcji sowchozu mieszkało też dużo polskich rodzin, które pracowały przy transporcie zboża. Wywóz pszenicy do elewatorów przedłużał się. W końcu sowchoz obsługiwał trzy gospodarstwa. Szybko nadeszły jesienne chłody i deszcze. Zmagazynowane na polu zboże zaczęło porastać grubą warstwą kożucha ochronnego, 30-40 cm grubości. Tak te przyzmy zboża leżały przez całą zimę, gdyż od połowy października transport był unieruchomiony przez leżący obficie śnieg i silne mrozy. ^{złote} Przykryte więc było warstwą śniegu, ~~ten śnieg~~ ^{który} jest tam inny niż w naszym kraju, ~~gdzie~~ ^{gdzie} jest sypki jak piasek na pustyni. A zboża z pola nie wolno było podbie-

rać, bo groziło to robotami przymusowymi w łagrach przez okres 6 miesięcy. Zezwalano tylko zbierać pszenicę ubiegłoroczną, zgniłą i czarną jak węgiel, która nadawała się dla ludzi-bydła. Dla nas i tak nie miała ona wartości. Zbierały ją przeważnie rodziny tubylcze do wykarmiania świń.

Nadejście zimy przerwało naszą pracę w polu i mieliśmy nareszcie dużo czasu dla siebie. Odпочywaliśmy i coraz bardziej myślami wracaliśmy do opuszczonego kraju. Prowadziliśmy korespondencję z rodziną, od której otrzymywaliśmy paczki żywnościowe z kaszą, mąką i słoniną. Te paczki były dla nas jak skarby. Cieszyliśmy się z tej pomocy. Zima, jaka panuje na Syberii, była nam obca. Nie wiedzieliśmy jak ją przetrwamy. Jak się później okazało, nie mrozy były takie straszne, lecz zawieje śnieżne zwane "purchanap". Gdy nam o nich opowiadano, nie potrafiliśmy wyobrazić sobie tego szalejącego żywiołu. Później poznaliśmy to i przeżyliśmy.

Sowchoz odczuwał brak traktorzystów. W związku z tym ja - szesnastolatek i mój kolega ukraiński - Aleksiej, zostaliśmy w listopadzie skierowani na kurs traktorzystów, który zorganizowała dyrekcja sowchozu. Byłem zadowolony z otrzymanego skierowania, gdyż wiedziałem, że traktorzyści byli osobami w pewnym sensie uprzywilejowanymi i chciałem być takim człowiekiem, posiadającym uprawnienia i przywileje. Jak wspominałem wcześniej sowchoz liczył 21 tys. hektarów i praca na tak dużym terenie musiała być zmechanizowana. Do niej potrzebni byli przede wszystkim traktorzyści.

Po przyjeździe do ^{dyrekcji} sowchozu umieszczono mnie wraz z innymi kursantami w specjalnie zorganizowanym internacie. Umieszczono w nim ok. 20 osób wywiezionych z Polski mieszkających w różnych gospodarstwach. Miejscowi Polacy i Rosjanie codziennie dochodzili ~~do~~ ^{na} ~~nas~~ ^{nasze} i korzystali jedynie ze stołówki. W wolnych chwilach koledy ci przychodzili do nas, aby trochę po-

bałaganić i pośpieawć. Normalnie, jak to młodzi. Na ten kurs uczęszczały z nami również dziewczęta rosyjskie^a także jeden Bułgar wywieziony z rodziną jeszcze za dawnych^{ych} czasów. On zabawiał nas swoimi popisami gazowymi, które potrafił wywoływać na zawołanie. Układał się w odpowiedniej pozycji na łóżku i na umówiony sygnał wydierał gaz z kiszki stolcowej, a jedemu z nas oczekiwał zawsze na ten wybuch z zapaloną zapalką. Oglądaliśmy w efekcie płonąca pochodnię. Było to śmieszne i wywoływało sporo radości uczestnikom tej zabawy. Nikt tak tego nie potrafił robić jak on. ~~Może to i głupie było, ale jak pies nie ma co robić, to sobie jaja liże...~~

My, Polacy, wzięliśmy się do porządnej nauki z budowy silnika i maszyn oraz agrotechniki. Inne wykłady nas tak nie interesowały, a zwłaszcza historia Partii i organizacja Kraju Rad. Mieliśmy poza tym trudności z językiem rosyjskim, głównie z pisownią. Dawaliśmy sobie jednak jakoś radę. Notowaliśmy po polsku, a później w internacie tłumaczyliśmy. W ten sposób ~~radziliśmy~~ ^{radziliśmy} sobie świetnie ~~radę~~ zarówno na wykładach technicznych jak i na zajęciach warsztatowych. Wykładowcy rosyjscy podziwiali nas i nie mogli pojąć, że tak dobrze ^{się uczymy} ~~sobie radzimy~~. Trzeba jednak powiedzieć, że mieliśmy przeważnie za sobą po kilka klas gimnazjum i lepszy program nauczania. Oni natomiast więcej uwagi poświęcali na poznawanie życiorysów swoich narodowych "wszystkich świętych". Wyglądali na ~~stępiakach~~ półgłówków z otępiałą gębą. Nie wiem czy nawet mieli za sobą "podstawówkę". A do tego nazywano ich "bezpryzornikami", bo wychowywani byli bez rodziców w domach dziecka. Tam też mieszkali podczas kursu i byliśmy zadowoleni, że nie musimy z nimi cały czas przebywać.

Między nami był jeden Polak nazwiskiem Wróbel. Pochodził z Goniądza koło Osowca w województwie białostockim. Przed wojną uczęszczał do Liceum Ogólnikształcącego w Białymstoku. Ojciec jego był strażnikiem granicznym i zapewne dobrze się im po-

wodziło. Nienawidziliśmy go i unikaliśmy na każdym kroku, a wszystko to przez jedną rzecz.

W wolnych chwilach nie tylko śpiewaliśmy i bawiliśmy się w dupniaka, zwanego ładniej salonowcem, ale także wspominaliśmy swoje rodzinne strony. Opowiadaliśmy młodym Rosjanom, jak to w Polsce było i jak żyliśmy za "polskich panów" w naszym kraju. Schodziliśmy też na tematy religijne, gdyż dla nich te sprawy były mało znane i niezrozumiałe. Byli wychowani na materializmie swojej fikcyjnej komuny. A tenże Wróbel był trochę inny jak my. Chcąc się popisać przed tymi półgłówkami opowiadał im, że on w Boga nie wierzy, a do modlitwy i chodzenia do kościoła, zmuszali go jedynie rodzice. Byli ^{skry} zaskoczeni i oburzeni ^{jego} wywodami oraz poczuliśmy wstręt do tego człowieka, któremu życzyliśmy wszystkiego najgorszego. A wszystko dlatego, że to co nas i jego spotkało powinno mu dać coś do zrozumienia. Nie mogliśmy w żaden sposób ^{rozumieć} zrozumieć, jak on w takiej trudnej sytuacji, jako katolik, mógł lżyć Boga i naszą wiarę, które dla nas na wygnaniu była wszystkim, a także jedynym na co mogliśmy liczyć. Rosjanie jego postawę przyjęli chłodno i bez entuzjazmu. Nie znając nawet zasad wiary woleli tę sprawę przemilczeć, a widząc, że traktujemy go obco, sami odnosili się do niego podobnie. Zresztą los go sam ukarał. Po zdaniu egzaminów Wróbel dostał przydział na ciągnik gąsienicowy typu Cz.T.Z./Czelabiński Traktornyj Zawod/. Podczas pracy na tym traktorze w silniku urwał się korbowód. Silnik rozleciał się, a że potraktowano to jako sabotaż zarobił 6 miesięcy więzienia. Więcej do sowchozu nie wrócił i wszelki ślad po nim zaginął. Może ugrzązł gdzieś w obozie..

Podczas trwania kursu byłem dwa trzy razy w domu dla zmiany bielizny i żeby zobaczyć, jak mama daje sobie z bratem radę w tych okropnych warunkach, przy 40-50 stopniowym

mrozie poniżej zera. Przygotowany przez nas na zimę opał okazał się mało przydatny. Ja byłem zabezpieczony dobrze. Miałem watowane ubranie, filcowe buty oraz opalane w internacie mieszkanie. I to przez całą dobę - węgiem. Także wyżywienie na stowłówece było dosyć przyzwoite. A Syberia ma to do siebie, że lato jest upalne jak w krajach tropikalnych, zaś zima jest tak surowa, że nawet łyzy, które od silnego mrozu płyną, natychmiast zamieniają się lodowe sopelki.

Do mamy jeździłem z Pietią, który przyjeżdżał saniami w jednego konia po zaopatrzenie do sklepu. W piękny słoneczny dzień ta, sroga na Syberii zima potrafiła mieć swój urok. Suche mroźne powietrze. Podczas jazdy saniami było tylko słyszeć pierskanie konia i szumsa^ł posuwających się po suchym i sypkim śniegu. Jeździliśmy po traktie wzdłuż słupów telefonicznych biegnących gdzieś w siną dal. X Około dwu kilometrów od tego traktu widoczna była nasza osada. W mieszkaniu u mamy zimno. Ten chwastowo-trawiasty opał nie potrafił niestety należycie ogrzać dziesięciometrowego pokoiku. W kuchni paliło się cały czas, ale trzeba było tak gospodarzyć żeby tego opału starczyło do wiosny. Brat z mamą całymi dniami musieli siedzieć w pościeli, aby nie zamarznąć i jakoś przeżyć. Na płycie kuchennej co jakiś czas gotowali sobie jakąś strawę lub piekli lepioszki mączne rozrabiane z wodą. Do pracy nie chodzili, gdyż w tym czasie nie było co robić. Przygotowany opał z kaju słomy na długo nie wystarczył, gdyż jak się okazało zima w latach 1940-41 była bardzo sroga.

W takiej sytuacji ^{znalazły się} były pozostałe polskie rodziny naszego gospodarstwa. Rosjanie i Kirgizi byli lepiej zaopatrzeni w krowi brykiet i tak bardzo tego zimna nie odczuwali. Na domiar złego z braku witamin wystąpiła choroba dziaseł - tzw. szkoybut, j pospolicie zwany "cynga". Zczerwienione i obrzękłe

dziąsła, nie utrzymywały uzębienia i można było je wyciągać palcami. Jedynym skutecznym lekiem była cebula, której szukano w ramach wymiany towarowej u tubylców. Nie można też było jej jeść workami, bo do wiosny było jeszcze daleko.

Pewnego dnia zachodzące słońce przybrało czerwony, prawie buraczkowy kolor. Miejscowi zapowiedali, że jutro będzie "prok-latyj purchan". Znali dobrze ten znak zwiastujący złowieszczy huragan śnieżny. Gdy słońce weszło wyglądało tak jakby było za mgłą. A niewiele później zaczęło się. Wiatr wiał i niósł tu-many sypkiego mroźnego śniegu, ^{robił} łeciał jak pył zabijając oddech i zalepiając oczy, które stawały się lodowym soptem, ^{ciiskał} wciskał pod odzież. Człowiek na zewnątrz ^{stawał} się szybko ślepym i ^{bar-} radnym bełwanem.

Na wykłady nie poszliśmy, ale jeść trzeba, ^{więc} więc do stołówki należy dotrzeć, aby nabrać sił. ^{do niej} ~~Do stołówki~~ Było ^{około} sto metro- Biegaliśmy ^{łose} ~~po śniegu~~ trzymając się za ręce robiąc przytym łań-cuch ludzki. Trafialiśmy do drzwi na wyczucie, po omacku. Kieru-nek i odległość wyczuwaliśmy instytnktownie. Trwało to dwa ^{dn} dni. Po czym uspokoiło się i nastęła cisza. Burza jednak zebrała ofiary. Dowiedziałem się, że z naszej osady zginął sklepowy Pietia i kobieta - agronom, która razem z nim wracała saniam do miejsca zamieszkania. ^{ich} Zwłoki znaleziono dopiero po kil-ku dniach. Leżeli zamarznięci i sztywni, jak wielkie sople, ^{ku} ~~le~~ dy w innym miejscu i wcale nie w kierunku naszego gospodarstwa. Burza śnieżna zastała ich w drodze powrotnej i starali się dotrzeć do osady. Przeliczyli się ^{! jednak} /i nie zdążyli dojechać. A ^{szu-} ze tym w zawieji stracili orientację. Najpierw padł koń, który zszedł z traktu a nic nie widząc ugrzązł w śniegu i nie mógł się iść dalej. Oni we dwoje postanowili iść pieszo, lecz nie szli w kierunku właściwym. Może gdyby trzymali się bardziej ^{skutk} ~~skut-~~ ^{nie} ~~nie~~ . Tak zginęli ludzie, nie nowicjusze, ale znający ^{skutk} ~~skut-~~ tej strasznej burzy śniegowej.

Jak się później dowiedziałem ta młoda kobieta - agronom pożyczyla od mamy futro, w którym potem zmarzła. Futro zostało nam zwrócone z rozciętymi rękawami, gdyż inaczej nie można było go zdjąć z martwego ciała. Nie mieliśmy o to ~~Prezencji~~ ^{Defensji} ~~Prezencji~~. Żałowaliśmy jedynie tej kobiety, która tak młodo i tragicznie odeszła z tego świata. Rękawy zaszyto i nikomu nie przeszkadzało, że chodzi się w futrze po nieboszczyku. Bieda uczucia te i sentymenty zagłuszała.

7. CIERPIENIA TRAKTORZYSTY.

Wiosną ukończyłem kurs traktorzystów i uzyskałem uprawnienia do prowadzenia ciągników kołowych, a nie gąsienicowych. Otrzymałem przydział ~~ciężar~~ ^{na pojazd} o mocy 30 KM na stalowych kołach z kolcami. Jak początkowo rwałem się na kurs traktorzystów, tak teraz płakałem po nocach i żałowałem, że mnie matka urodziła. Ten ciągnik stał wciąż niesprawny i mało pracował w polu. Ciągle trzeba było go naprawiać, a najbardziej dokuczało mi podciąganie panewek korbowych silnika. Wymagały ciężkiej regulacji i usuwania luzu między szyjką wału korbowego a dwudzielnym czopem korbowodu. Ta czynność nazywała się "podciążka". Była wynikiem błędu konstrukcyjnego tego traktora, gdyż na tych czopach nalewano grubą warstwę stopu zawierającego domieszkę cyny i aluminium. Ten miękki metal "siadał" bardzo szybko i należało ~~więc~~ ^{liczyć} usuwać luzy między wałem i korbowodem tłoka za pomocą blaszanych podkładek o różnej grubości. Przy tym blaszkami należało tak manipulować, aby nie było zbyt dużego luzu, gdyż silnik stukał i wybijał kompozycję, oraz tak, by nie było zbyt małego luzu, bo silnik grzał się i wytapiał ją. Poza tym przy zbyt małym luzie nie można było obrócić korbą. Te wszystkie czynności musiał wykonywać sam traktorzysta bez niczyjej pomocy. Do wykrycia stuków służyły ^{mu} uszy traktorzysty a jedynie prawidłowa regulacja pozwalała uruchomić ten ~~ciężki~~ ^{taki} traktor. Konieczne było spuszczenie oleju z miski

olejowej, która blachostka ważyła ok. 30 kilogramów, i należało ją odkręcać ze śrub przy pomocy rąk i nóg, a czynić to tak delikatnie, aby nie zniszczyć uszczelki z kartonu leżącej między blokiem silnika a miską. Pozostawiano więc miskę na dwóch naprzeciwko położonych śrubach a traktorzysta kładł się na plecach pod ciągnik i odkręcając tę miche podtrzymywał ją rękami i nogami. To był jedyny sposób żeby dostać się do korbowodu. Na domiar złego olej pracujący w misce nigdy dokładnie nie spływał do wiadra więc pozostała część tego oleju oblewała nieszczęsnego traktorzystę. Po każdej takiej naprawie wyglądałem jak bym wykapał się w beczce wypracowanego oleju. Dalej za pomocą tzw. "ruskiego" klucza, którym był młotek i przecinak, odkręcałem śruby poszczególnych korbowodów i każdy z nich pojedynczo regulowałem przy pomocy wspomnianych podkładek. Po wyregulowaniu korbowodu i panewek należało przemyć silnik wewnątrz naftą. Potem dochodziła czynność ponownego przykręcenia miski olejowej śrubami przy pomocy rąk i nóg. Dobrze było, gdy silnik zapracował od razu równo i bez stuków, gdyż inaczej całą czynność należało powtarzać aż do skutku. W normalnych warunkach tę czynność musiałem powtarzać dwukrotnie w ciągu dnia, aby być pewnym że silnik nie wysadzi kolana i nie zostanie traktorzyście zaliczony sabotaż i przymusowy półroczny urlop w obozie pracy, na który zapracował sobie nie lubiany Wróbel.

Inną wadą tego nieudanego ciągnika było luzowanie się śrub przy kolcach kół, a także defekty iskrownika, zwanego popularnie magneto. Gdy wróciłem po latach do kraju pracowałem w warsztatach naprawczych ciągników amerykańskich. W nich regulacja czopów wału silnika była przyjemnością. Wszystko w nich błyszczało jak lustro, a mechanik panewek zakładał nowe polerane na podstawie wymiaru szyjki wału korbowego.

Męczyłem się tak przez dwa miesiące aż do maja. Inni wyruszyli do pracy przy sianokosach na tych przeklętych traktorach, a ja zostałem przeniesiony i awansowany na ciągnik gąsiennicowy typu "Staliniec" o mocy 150 KM. W porównaniu do poprzedniego ten traktor był luksusem. Poznałem go jeszcze jako "zaprawszczyk", a teraz umiałem jeszcze prowadzić jego konserwację, więc nie był mi obcy. Pracowałem na nim na dwie zmiany po 12 godzin dziennie z bratem mechanika Pawłem Gromowem. Przypuszczam, że ~~właśnie~~ właśnie on przyczynił się do tego, że powierzono mi ten wspaniały pojazd.

Byłem lubiany przez traktorzystów pracujących na tych ciągnikach. Radość ¹ mi ² pięć / ³ rozsadzaka i czułem się teraz dobrze. Cieszyłem się, że nie muszę wykonywać tych "podciążeń i dokręcać śrub przy ostrogach kół. Trzeba było natomiast systematycznie smarować sworznie gąsiennicowe. Czynność tę wykonywałem ręczną towotnicą we dwójkę z traktorzystą zmianowym. Jeden tłoczył towotnicą smar, a drugi końcówkę przewodu trzymał na kalamitce sworznie. Przy tamtym silniku należało zawsze kręcić korbą, gdzie nie raz dostawało się po rękach przy niewłaściwym trzymaniu korby. ^{Poza} ~~Przy~~ tym silnik nie od razu zapalał i trzeba było dobrze się napocić zanim zaskoczył. Tutaj silnik ^{główny} zapalało się silnikiem pomocniczym, tak zwanym rozruchowym przy pomocy sznurka, który zakładało się ^A na koło zamachowe. ~~To była~~ drobnośćka.

Najtrudniej było przyzwyczać się do pracy dwuzmianowej. Jeden tydzień pracowało się 12 godzin na zmianie dziennej a drugi na zmianie nocnej. Trzeba było uważać żeby nocą nie zasnąć. Oraliśmy "czarny ugor" w nocy, a w dzień wykonywali pracę uprawowo-siewną. Ciągnik przy orce pracował z dwoma pługami pięcioskibowymi tworzyły więc razem jeden pług dzieściorobnikowy. Jeden ślad wynosił cztery metry. Przy ~~k~~ ~~dotraceniu~~ ~~potrów~~. Natomiast

brony zaczepiane w dwu rzędach dawały szerokość 30 metrów. Niewątpliwie organizacja pracy była podyktowana dostosowaniem jej do siedmiotysięcznego gospodarstwa podzielonego na czterysta hektarowe pola.

Przy takim trybie pracy dni płynęły szybko i tylko co pewien czas mogłem pojechać konno do domu, aby zmienić bieliznę i zawieźć kilka bochenków chleba. Intensywność i monotonia owej harówki dawała się we znaki. W czasie orki nocnej zdarzył mi się wypadek. Zmęczony zdrzemnąłem się i wjechałem swoim ciągnikiem na pług innego traktorzysty, który orał przede mną na tym samym wydzielonym poletku ornym. Widziałem go przed sobą cały czas. Naresz zgasił światło. Starąłem się śledzić jego zestaw orny, aby bezpiecznie się minąć. Gdy dojechałem do miejsca gdzie powinien się znajdować nie znalazłem go. Pomyślałem, że zjechał na bok i wyłączył się z orki. Okazało się, że zgasił światło i orał spiąc na kierownicy. Ja tym czasem w zupełnie innym miejscu natknąłem się na pług, który wyrósł nagle jak spod ziemi. Wycisnąłem sprzęgło, ale ciągnik poszedł jeszcze do przodu i swoim ciężarem wpakował się na pług łamiąc jego tylny korpus. Zawiniiliśmy obydwaj i byliśmy w wielada kłopotach. Baliśmy się, że mogą nam zaliczyć sabotaż. Ale na całe szczęście wszystko skończyło się dobrze. Widocznie ktoś rozumiał, że sen nocą silniejszy jest od woli ludzkiej.

W czerwcu 1941 roku rozpoczęła się wojna rosyjsko-niemiecka. Powołano do armii naszego mechanika Griszkę Gromowa, a jego miejsce zajął jeden ze stachanowców. Pracował on razem ze swą siostrą Lenką. Był bardziej wymagający od Gromowa i sytuacja się nam pogorszyła, do czego przyczynił się także stan wojny. Mimo to nie było jeszcze najgorzej. Natomiast zmienił się nie do poznania mój traktorzysta zmianowy Paweł Gromow. Całkowicie lekceważył dyscyplinę pracy i nie poczuwał się do obowiązków

Stał się nagle jakimś innym człowiekiem. Mówił mi, że jak tu przyjdą Niemcy, to te przeklęte traktory porosną trawą, a my weźmiemy sobie parę koni i założymy gospodarke indywidualną. Podkreślał, że nie będzie kołchozów i sowchozów, a całe rolnictwo znajdzie się w prywatnych rękach. Nie myślał nawet o powrocie na Ukrainę do rodzinnych stron. Jemu wystarczyło by, gdyby ^{mał / 4} otoczył kawałek / ziemi własnej. A gdzie będzie jego dom? Nie ważne. Nawet Syberia mu odpowiadała. Ja byłem innego zdania. Nie wierzyłem w taki obrót sprawy, a przede wszystkim za wszelką cenę chciałem wrócić do kraju. On natomiast zaczął pić. ~~nie mógł już przetrwać~~

Pewnego razu przez nieumiejętne włączenie silnika rozruchowego z silnikiem głównym rozsypały się dwie zębaki koła zamachowego i silnika głównego. Zapomniałem włączyć sprzęgło ręczne służące do łagodnego połączenia tych dwóch silników. W efekcie czego iskry ^{po} sypały się z niewłaściwie zazębionych trybów, a ja nie bacząc na to ciągnąłem dźwignię zębatek bez użycia ręcznego sprzęgła. Powstała, w sumie poważna awaria. Konieczny był długotrwały postój i żeby dostać się do koła zamachowego silnika trzeba było rozebrać pół ciągnika. Gromow awarię tę przyjął na siebie, gdyż wiedział, jak wytłumaczyć się aby nie zaliczono sabotażu, co w warunkach wojennych mogło oznaczać dla mnie ciężki obóz pracy, albo gorzej. Zrozumiałem że jest to wspaniały człowiek. Wspólnymi siłami, we własnym ^{postanowiliśmy} zakresie uporaliśmy się z tą awarią. W ciągu ośmiu ^{godzin} wymontowaliśmy silnik, w warunkach polowych było znacznym sukcesem. Ale potem było znacznie gorzej.

Prace w gospodarstwie szła ślimaczym tempie. Minął lipiec. Mój Gromow nadal pił, codziennie i marzył jedynie o tym, jak to będzie dobrze na własnym gospodarstwie. Miał już 60 lat i wiedział, że do wojska już go nie wezmą. Wierzył, iż wkrótce wyjdzie na wolność na którą tak bardzo czekał. Początkowo

wódkę kupowałem sam w naszej kantynie polowej. Później nie chcia-
no mi jej sprzedawać, bo upijałem się i cały dzień pijajny jak
bela sypiał w cieniu ciągnika. Ja nie piłem wódki, bo cały czas
wierny byłem przysiędze pierwszej komunii, kiedy to postanowi-
łem sobie, że nie będę pił alkoholu przed dwudziestym rokiem
życia. Do tego też zobowiązywało mnie przyrzeczenie harcerskie
Gromow wpadła myśl: mnie, wysyłał po wódkę i pił dalej. Do-
niesiono o tym dyrektorowi sowchozu, który przyjechał samocho-
dem na rozmowę z Gromowem, który jak zwykle był pijany. Słysza-
łem tę krótką rozmowę. Dyrektor mówił, że jest wojna z "prkla-
nym germańcem" i należy "rabotać dla pabiedy". Zarzucał mi, że
zamiast pracować pije i nie myśli o naprawie ciągnika. Natomiast
Gromow oświadczył, iż ma dosyć tej pracy i ^{nie} będzie pracował dla
"sowieckiej własności", nie będzie tak głupi, jak jego brat Grisi-
ka, który poszedł walczyć w szeregach "kрасnej ramii". Dyrektor
posiadał pistolet przy boku i widocznie nie dowierzał swoim
pracownikom - zesłańcom. Po tych słowach nakazał Gromowowi
wsiąść do samochodu i wszędzie ślad po nim zaginał. Każdy wie-
dział, że w takim przypadku - sąd polowy i śmierć. Otrzymałem
pomoc i po kilku dniach ciągnik był gotów do eksploatacji.

8. NADZIEJASZ

Zbliżyły się żniwa i otrzymałem przydział dwóch kombajnów
zbożowych, z których utworzyłem komplet żniwny. Na ciągniku
pracowałem sam na jedną zmianę, gdyż zboże można było kosić
w godzinach dziennych ponieważ było dostatecznie suche. W tym
czasie dowiedzieliśmy się, że nastąpiło podpisanie umowy mię-
dzy rządem polskim przebywającym w Londynie, reprezentowanym
przez generała Sikorskiego z rządem rosyjskim w sprawie utwo-
rzenia polskiej armii na terenie ZSRR w celu wspólnej walki,
z Niemcami. Wzywano rodziny polskie i zaczęto wydawać dokumen-
ty, tak zwane "udostowierzenie". Wiedzieliśmy więc, że nasza sy-
tuacja zmieniła się diametralnie i jesteśmy ludźmi wolnymi.

Winniśmy być traktowani na równi z miejscową ludnością. Jednak sytuacja na froncie nie rokowała szybkiego powrotu do Polski. W sierpniu 1941 roku armia niemiecka parła niustannie do przodu i nie było siły, aby jej powstrzymać. Nie wiedzieliśmy, że na terenie ZSRR organizuje się wojsko polskie. Wiadomości, które docierały do naszego bezludzia były bardzo skromne i prawie nic nie ^{wie-} dzieliśmy, co się dzieje w świecie. Zresztą najważniejsze dla nas było to, że żyjemy i jesteśmy wolni. Bez radia i prasy informacje przekazywane były z ust do ust i nie zawsze były prawdziwa. Gdy zaczęto już wydawać dokumenty Polakom udaliśmy się po radę do miejscowej ludności. Chcieliśmy wiedzieć, gdzie należy wyjechać, aby spokojniej i lepiej żyć. Poradzono nam, abyśmy udali się na południe, pod Ural, gdzie jest dużo cieplej. Tam jest dużo sadów i na pewno znajdziemy gdzieś zatrudnienie. Koncepcja ta odpowiadała nam z wielu względów. Nie chcieliśmy siedzieć beczynnie, ale liczyliśmy na powrót do kraju. Mieliśmy dość tej przeklętej osady dalekiej od Boga i ludzi.

Wspólnie z rodzinami ukraińskimi postanowiliśmy wyjechać z chwilą otrzymania "udostowereń" wydawanego sukcesywnie ^{przez} nie ^{kego} ~~by~~, lecz samo NKWD. Jedna zima spędzona tutaj wystraszyła nas dostatecznie. Na spotkanie z ojcem już nie liczyliśmy, gdyż poszukiwania nie dały rezultatów. Czuliśmy, że został gdzieś uśmiercony, lecz nie wiedzieliśmy wówczas, że stworzono im mord "katyński".

Wzywano mamę do sowchozu w celu wydania właściwych wolnościowych dokumentów. Zniwa były w pełni i nie mogłem zostawić kombajnów w polu. Nie byłem jeszcze w pełni wolnym człowiekiem. Musiałem mieć dokumenty w ręku, aby być pewnym swego. Tym bardziej, że do NKWD wzywano nas kilkakrotnie i sprawa się przeciągała. Do urzędu jeździliśmy w nocy wozem zwanym "arba", której siłę pociągową stanowił "byk". W dzień trzeba było pracować, w nocy ^{uży-} pełniać ewidencje. Była to znaczna dokuczliwość. Wróciliśmy ^{raz}

zmęczeni, niewyspani i ruszaliśmy prosto do pracy, żeby mieć na kawałek chleba. Uzupełnianie ewidencji stosowali tylko po to, żeby nam bardziej dokuczyć. Mieli przecież wszystkie nasze dane jeszcze z Polski. Zaliczano to do szkoły życia, która Polakom stosowana była w całej rozciągłości. Dopóki więc nie mieliśmy dokumentów w rękach nie ufaliśmy miejscowym władzom. Musieliśmy się też mieć na baczności.

Był piękny słoneczny dzień. Lato w pełnej krasie, słoneczne i upalne. Patrząc z naprzeciwką zbliża się do mnie mama jakoś dziwnie wzruszona. Kiedy powiedziała, że mamy już upragnione dokumenty i że jesteśmy wolni skakałem z radości. Oświadczyłem też kombajnistom, że już pracować nie będę i mam dość tej przekłętej i zniewolonej pracy. Płakaliśmy wszyscy w domu z radością a uciechom nie było końca. Rosjanie patrzyli na nas szczęśliwych i płaczących zdziwieni. Nie rozumieli naszego entuzjazmu gdyż od lat byli zniewoloną siłą roboczą zastraszoną odpowiednimi paragrafami prawnymi. Nie przypuszczaliśmy, że ta niewola tak szybko się skończy. Przecież to dopiero jeden rok i trzy miesiące poniewierki i głodu. Przed nami tylko jeszcze południowy Ural. Mówiono, że jest ^{to} kraina kwitnącej wiśni, miejsce jak z bajki. Decyzja mogła być tylko jedna. Zgasikiem ciągnikiem i powiedziałem obsłudze kombajnów, że ja jestem już wolnym człowiekiem i w tej właśnie chwili skończyłem tu pracę. Przywieziono nas bez naszej zgody, zabijając brata i ojca. Wymęczono nas dostatecznie. Oświadczyłem, iż pragniemy stąd jak najszybciej wyjechać.

Był początek września i należało myśleć o jak najszybszym wyjeździe przed nadejściem zimy. Pozostałym rodzinom brakło odwagi, aby wyruszyć tak szybko. Liczyli na to, że wrócą do Polski tą samą drogą, którą ich przywieziono. Woleli czekać aż sytuacja sama się wyjaśni. My wraz z trzema rodzinami Ukraińców postanowiliśmy wyjechać. Zresztą nie dziwiłem się matkom

z małymi dziećmi, że boją się wyjeżdżać. Nie wierzyły w soję sił. Jak się po latach okazało do Polski wrócili wszyscy w 1946 roku po dalszych syberyjskich przygodach.

Po powrocie z pola kierownik Kirgiz zaczął na mnie krzyczeć dlatego pozostawiłem traktor i przestałem pracować. ~~Przez~~ ~~Tru~~ zaczął ~~Tru~~ mówić, że jest wojna, że ludzie potrzebują chleba a teraz są żniwa, ciągnik z dwoma kombajnami stoi beczynnie na polu etc. Pokazałem mu nasze dokumenty i oświadczyłem, że krzyku się nie boimy ~~oraz, że~~ ⁱ jutro ^zchemy stąd wyjechać. Zarekordowałem też transportu do najbliższej miejscowości, czyli Irtysz, skąd nas ^zprzywieziono. Zdenerwowany natychmiast wyjechał do dyrektora sowchozu, aby zameldować o wszystkim co zaszło. Następnego dnia wezwano nas do sowchozu. Dyrektor próbował z nami różnie. Początkowo łagodnie, później ostro. ~~Chciał~~ ^{Chciał} nas namówić abyśmy zostali do końca prac żniwnych. My natomiast wiedzieliśmy, że po żniwach przyjdą mrozy i nasze szanse dojechania w porę do celu zmaleją do zera. Obstawaliśmy przy swoim. ^{W końcu} ~~Zdenerwowany~~ ustąpił. Obiecywał również dowieźć nas do Irtysza. Wróciliśmy więc do domu i szybko spakowaliśmy się. Byliśmy gotowi do wyjazdu w każdej chwili. W międzyczasie otrzymaliśmy rozliczenie za pracę i siedząc na walizkach czekaliśmy dnia wyjazdu. Otrzymane ^z ruble wcale nas nie cieszyły, gdyż i tak ^z ³ [za nie kupić] [nic nie można było wyczekiwania].

Po kilku dniach ^z usłyszeliśmy warkot samochodów. Jak się okazało przywiezino na nasze miejsce rodziny pochodzenia niemieckiego, które całymi osadami mieszkały w nadwołżańskim rejonie. Nie dowierzano im, mimo iż zamieszkiwali ten rejon od dziada i pradziada. Teraz ze względu na wojnę uważano ich za wrogów ludu. Przywiezione rodziny ~~niemieckiego pochodzenia~~ rozładowano pod ściany budynku a nam nakazano załadunek. Gdyby nie te ^{one} rodziny ~~niemieckiej~~ nie wiadomo, czy byśmy stąd tak szybko wyjechali. Być może zimę musielibyśmy jeszcze spędzić na miejscu.

Tymbardziej, że transport zajęty był wywożeniem zboża, a ewakuacją Polaków nikt zbytnio się nie przejmował. Załadowaliśmy się szybko na samochód. Przy pożegnaniu z rodzinami polskimi i tubylczymi płaczom nie było końca. Byliśmy tu krótki okres, ale tworzyliśmy jedną zgraną rodzinę. Ci, którzy zamieszkiwali tu do Rewolucji Pałdziernikowej mówili nam, że jesteśmy wolni i możemy spokojnie wyruszyć w świat. Oni muszą tu pozostać, bo nie wiedzą dokąd mogli by iść. My mieliśmy do kogo. Spoczyła nam również świeżo podpisana umowa polsko-rosyjska. Błogosławili nas na drogę życząc wszystkiego dobrego i szczęśliwego dotarcia do celu podróży. Ci, co pozostali zazdrościli nam, ~~lecz~~ i współczuli również tego co nas czeka. Sami bali się ryzyka. Od Rosjan otrzymaliśmy na drogę trochę artykułów żywnościowych. Podzielili się tym, co mieli nie patrząc na swój niedostatek. Byli to szczerzy i dobrzy ludzie, którzy nam dużo pomogli, między innymi radzili jak żyć i przeżyć w tych syberyjskich warunkach i dożyć lepszych czasów. Dużo im zawdzięczaliśmy. Teraz wszystko się zmienia na korzyść a koszmar naszego życia pozostawiamy za sobą. Przeklinamy miejsce naszego zesłania. Kiedy ruszyliśmy płakaliśmy z radości, że nareszcie przybliżamy się do granic Polski. Liczyliśmy, że wkrótce znajdziemy się na Ojczyzny łonie.

Nocą dotarliśmy do przystani rzecznej nad Irtyszem. Tutaj dowiedzieliśmy się, że naszą dalszą podróż do Omska nie wiadomo kiedy będzie możliwa, ponieważ barkami dostarczano zboże i inne artykuły niezbędne do działań wojennych. W baraku służącym za dworzec żeglugi rzecznej rozłożyliśmy na podłodze swoją pościel i każdy urządził się tak, aby, jak najwygodniej przeczekać okres wyczekiwania na dalszą drogę. Innego połączenia z Omskiem nie mieliśmy i tylko rzeka Irtysz mogła nam pomóc w dalszej podróży i ucieczce przed zimą. Właśnie strach przed zimą najbardziej nas dręczył, bo gdy rzeka zamarźnie, to stąd nie wyjedziemy. A zima była tu, tuż. Zaczął już nawet padać śnieg, ale na nu-

sze szczęście mrozu jeszcze nie było.

Gdzieś po tygodniowym wyczekiwaniu dowiadujemy się, że przy będzie barka, którą będziemy mogli zabrać się do Omska, oddalonego o ok. 200 km. Szybko spakowaliśmy swoje bagaże i byliśmy gotowi do dalszej drogi. Barka przybyła i pozwolono nam się załadować. Na barce byli już pasażerowie, jak się później okazało uciekinierowie z Kijowa z WNKo ^{Mat}-u. Podróż ta wywarła niesmak i przygnębiające wrażenie. Jechały kobiety ubrane w jedwabne suknie afiszujące się czekoladą w rękach. Będąc na tym pustkowi wielokrotnie widywaliśmy kobiety tylko w waciakach, pragnące kawałka gliniastego chleba; ciężko pracujące na tę pajkę 400g pieczywa. Odczuliśmy jaki ten niby sprawiedliwy ustrój jest obłudny. Zdawało się nam, że sprawiedliwość ludzka może być jedynie na tamtym świecie, gdzie nie będzie bogatych i biednych a wszyscy będą jednakowi. W czasie tej podróży wymieniliśmy kilka polskich wieszcy za chleb, wędliny i czekoladę, której niektórzy podróżni mieli ponad własne potrzeby.

Było coraz chłodniej a my wciąż płynęliśmy na północ. Potem będziemy chcieli ruszyć na południowy zachód, aby tylko jaknajbliżej Polski. Po kilku dniach żółwim tempem dobiliśmy do przystani naszej nadziei w Omsku. Wyładowaliśmy swoje bagaże pod ogrodzeniem w przystani i udaliśmy się zasięgnąć wiadomości odnośnie dalszej naszej podróży. Na dworcu rzeczonym oczom swoim nie dowierzamy - przecież przed nami stoi oficer i dwóch podoficerów w polskich mundurach. Buty z cholewami. Na głowie polskie przedwojenne rogetywy. Zeskoczenie całkowite. Płacz. Uściski, jakbyśmy spotkali kogoś najbliższego. Tutaj poczuliśmy po raz pierwszy, że słuszną podjęliśmy decyzję, aby jechać w świat i nie czekać aż nas wywiozą z powrotem. Po serdecznym powitaniu pyteniom nie było końca. Chcieliśmy wiedzieć wszystko i zasięgnąć informacji co dalej mamy czynić. Okazało się, że tutaj takich ^{dwadzieścia} jak my było dużo więcej. Zjeżdżali

z różnych stron czasowego przesiedlenia. My w Irtyszu spotkaliśmy wspomnianą rodzinę Falkowskich i postanowiliśmy trzymać się razem tak długo, jak będzie to możliwe. Od wojskowych dowiedzieliśmy, że jadą do Siemipałatyńska zakładać polską placówkę opieki społecznej oraz kierować mężczyzn do wojska, które będzie formowane w pobliżu granicy tureckiej. W związku z tym rezygnujemy z dalszej naszej podróży w pobliże Uralu i postanawiamy trzymać się razem, gdyż będziemy mieć swoją władzę polską, która na pewno nie pozostawi nas na łasce losu. Natomiast rodziny ukraińskie pozostają na uboczu i pragną kontynuować podróż według poprzednich planów. Widać z tego, że nie ufają polskim mundurom, a może mają w stosunku do niego jakieś dawne grzechy na sumieniu.

Nasza decyzja jest następująca. Ładujemy się ponownie na barkę i będziemy płynąć z powrotem tą trasą przez Irtysz do odległego o około 400 km Siemipałatyńska. Ci przypadkowo spotkaliśmy żołnierze polscy załatwili nam możliwość przejazdu i szczęśliwie płynęliśmy tym Irtyszem nie mogąc oderwać się gdzieś dalej. Na barce płyną prawie sami Polacy szukający schronienia przed władzą, która ich nie skrzywdzi, lecz da opiekę.

Gdy nasza "Arka Noego" dobiła do miejsca przeznaczenia nie wiedzieliśmy co mamy ze sobą zrobić i gdzie się podziąć. Nikt się nami nie zajmował. Okazało się, że placówka dopiero się organizowała i wszystko było w powijakach. Bagaże złożyliśmy tak jak w Omsku - pod płótnem w pobliżu przystani rzecznej. Na domiar złego zaczął już padać śnieg, lecz mroźno jeszcze nie było. Całe szczęście, że Siemipałatyńsk jest na południu Syberii i zimy tutaj nie są takie straszne, jak na północy.

Złożenie bagaży w tym miejscu było dla nas na rękę, gdyż jeden czuwał przy ^{nich} bagażach a pozostali spali w poczekalni rzecznej i tak na zmianę. Udaliśmy się do miasta i ku naszemu

zaskoczeniu w mieście można było kupić wędlinę i chleb bez ograniczeń. Zakupiliśmy dużą ilość prowiantu nie oglądanego od dawna, którego było dosłownie z pół worka. Byliśmy zadowoleni że nareszcie po takiej biedzie i głodzie jesteście syci, a w worku mamy jeszcze duży zapas. Zażartowałem nawet, że złodziej, których tutaj było wielu, mógłby ukraść wszystko, ale tego worka by nie ruszył, gdyż jest za ciężki. Mieliśmy jeszcze trochę fotełszków do sprzedania lub wymiany. Wszystko to znajdowało się w kufrze. Natomiast bardziej wartościowe przedmioty, takie jak materiały bielskie na ubranie, sześcioposobowy zestaw stołowy i kapy na łóżka, trzymaliśmy w walizce. Były to rzeczy przeznaczone na czarną godzinę lub bilet powrotny do kraju. Uszczęśliwiony posiadaniem takiej ilości jedzenia wolałbym stracić zawartość walizki, ale nie uprzedzajmy...

Wraz z bratem dyżurowałem przy bagażach do północy a następnie zmieniła nas mama. Pogoda była wstrętna - padał mokry śnieg i było zimno. Mama ubrała futro i ułożyła się na skrzyni z bagażem biorąc walizkę pod głowę. Naraz nad ranem usłyszeliśmy głośny płacz mamy. Jak się okazało zginęła walizka spod jej głowy i szukaj wiatru w polu. W mieście pełno jest złodziei i podejrzanych typów. Ale który z nich ukradł walizkę? Płaczem wszyscy a wszystko skupia się na mnie, bo to właśnie moja przepowiednia się spełniła. W tym czasie koło dworca rzeczno przechodził milicjant. Słyszac lament kobiety zapytał co się stało. Mama wyjaśniła całą sprawę i opisała zawartość skradzionego majątku. W tym momencie milicjant uśmiechnął się i wydało się nam, że zdarzył się cud i jakas ręka opatrności czuwa nad nami. Otóż ten milicjant oświadczył, że cały ten dobytek znajduje się na komisariacie milicji. Następnie podał adres posterunku i kazał się zgłosić po odbiór skradzionych przedmiotów. Nie wiedzieliśmy jak mamy dziękować temu człowiekowi.

Jednocześnie spadł nam kamień z serca. Oczywiście otrzymaliśmy wszystko z powrotem, w tym m.in. dwa kupony materiału ubraniowego, jeden cywilny garnitur ojca, sukienki mamy, firanki, komplet srebrnych nakryć stołowych. Komisarzowi oczy grały na jeden z kuponów ubraniowych. Niestety nic nie dostał, gdyż mama wychodziła z założenia, że dzięki takim jak on zginął nasz ojciec i brat, a my sponiewierani tłuczemy się po świecie nie wiedząc za jakie winy.

Z relacji komisarza sprawa wyglądała następująco. Schwytyany złodziej rosyjski upatrzył sobie nas wcześniej, jeszcze w Omsku. Szukał tylko okazji, by znaleźć sposobność kradzieży. Płynął z nami do Siemipałatyńska i czekał tu na odpowiednią chwilę, aby mógł bezpiecznie wejść w posiadanie upatrzonej walizki. Taka chwila nadeszła, gdy mama pełniąc dyżur usnęła. On delikatnie wyciągnął spod głowy walizkę, zawartość jej wsypał do swojego worka a następnie wyrzucił ją do ogrodu na terenie przypadkowej posesji. Idąc uradowany z tym workiem trafił, pechowo na patrol milicyjny, który zainteresował się zawartością worka u podejrzanego jegomościa. Milicjanci byli zaskoczeni obfitością łupu u takiego obdarstusa. Początkowo tłumaczył się, że wszystko kupił od Polaków. Nie uwierzyli. Został więc zatrzymany i doprowadzony do komisariatu. Tylko przypadkowe spotkanie z milicjantem, który wiedział o kradzieży pozwoliło odzyskać nam utracony dobytek.

Po kilku dniach pędzono miastem grupę aresztantów. Między nimi mama ^{raz} poznała naszego złodzieja, którego widziała podczas konfrontacji w komisariacie. Prowadzono ich pod silną eskortę z psami i karabinami maszynowymi. Swoim wyglądem nie wiele różnili się od siebie. Modliliśmy się i dziękowaliśmy Bogu, że nadal czuwa nad nami i ratuje nas w tak ciężkich chwilach naszej tułaczey ^{dwójzycia} ~~tułaczey~~.

W związku z tą kradzieżą i brzydką pogodą postanowiliśmy wspólnie z rodziną Falkowskich znaleźć jakiegokolwiek pomieszczenie, aby tylko pod dachem. Znaleźliśmy taką odpłatną "kwartirę" i to w pobliżu dworca rzeczno. Był to barak, w którym nasze pomieszczenie było jakby przejściowym przedpokojem łączącym dwa osobne mieszkania. W jednym z nich mieszkała rodzina a w drugim dwie pannice prowadzące rozrywkowe życie towarzyskie. Zbierała się u nich co noc sama smietanka rynekowa tej okolicy, która w nocy urządzała pijaństwo połączone z wulgarnymi śpiewami i okrzykami. W Rosji prostytutka jest zbrojona i ścigana, ale takie towarzystwo hulaszce mogło sobie urzędować, gdyż nie było to łamaniem prawa.

Ulokowaliśmy się ze swymi tobołami w tym małym przedsiomku i na krok nie odchodziliśmy od swych bagaży warując w postaci dzień i noc. Siedzieliśmy jak kury na grzędzie gotowi do odparcia napadu tych ciemnych typów gotowych na wszystko. Nikt nie spał i ciągle mieliśmy otwarte oczy, na to co się wokół nas dzieje. Nauczka z walizką nie pozwalała lekceważyć potencjalnego przeciwnika. Mimo to byliśmy jednak zadowoleni że mamy dach nad głową i chroniące nas przed zimnem cztery ściany, za którymi mieszkali ludzie niewiadomego pochodzenia.

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się gdzie urzęduje polski konsul do spraw uchodźców na terenie ZSRR w tym mieście. Wraz z mamą udaliśmy się do tego komitetu pozostawiając z bagażami brata i rodzinę Falkowskich. Byliśmy zaskoczeni widokiem tego urzędu. Bardzo skromny drewniany budynek otoczony był tłumem ludzi polskiego pochodzenia, który szturmował drzwi widząc w tym swój jedyny ratunek przed nędzą i głodem. Drzwi jednak były dobrze strzeżone i niełatwo było je sforsować. Mimo to wszyscy mieli nadzieję, że coś uda się im załatwić. Samotnych mężczyzn rejestrowano do służby woj

skowej. My otynny waliśmy czarem

~~cały~~ dary z Czerwonego Krzyża. Można sobie wyobrazić co tam się działo, ~~gdzie~~ Każdy potrzebował pomocy. Krążyły przy tym różne plotki przedziwne i zmyślane, a atakujący tłum i tak nie reagował na polecenia, żeby rozjechać się lub ustawić się w kolejce.

Pierwszego dnia zrezygnowaliśmy z dobijania się do tego urzędu i ^{zatemani} zrezygnowani wróciliśmy do swojego baraku. ~~Te~~ Następne dni nie wróżyły nic lepszego. Tłum ciągle rósł a szczęśliwcy, którzy coś dostali byli kroplą w morzu w stosunku do ~~cał-~~ ^{czę-} ~~ko-~~ kujących. Szybko jednak zorientowaliśmy się, że nie dla wszystkich te drzwi były zamknięte. Najczęściej wywoływano ludzi z tytułami z czasów przedwojennych i żony wysokich stopniem oficerów. Naród zrozumiał, że już dzieli się ludzi na lepszych i gorszych oraz tych z błękitną krwią. Ogarniała nas rozpacz, gdyż nie należeliśmy do tej uprzywilejowanej kasty. Czyżbyśmy musieli znów liczyć tylko na własne siły? Gdy cierpieliśmy głód i po niewierkę, dzieliliśmy się z tymi uprzywilejowanymi ludźmi ostatnim kawałkiem chleba. Byli oni w tym czasie bardzo zagubieni i niezaradni. Nie potrafili sami sobie stworzyć warunków do życia, aby przeżyć i doczekać wolnej i niepodległej Ojczyzny. Widzieliśmy teraz tych nieporadnych, jak obecnie dają sobie radę - jak im szeroko straż z opaskami na rękawach otwiera drzwi wołając : "Miejsce dla pani pułkownikowej!". Zdawaliśmy sobie

sprawę z tego, że trudno nam będzie sforsować te drzwi pchając się ze wszystkimi. Postanowiliśmy działać na własną rękę i szukać innego sposobu na rozwiązanie tej skomplikowanej sytuacji.

Dowiedziałem się, że w dniu dzisiejszym odjeżdża pociągiem transport mężczyzn powołanych do polskiego wojska. Wyneśliśmy samochód ciężarowy i z rodziną Falkowskich załadowaliśmy bagaże ruszając w kierunku dworca kolejowego. Na peronie stał pociąg osobowy załadowany ludźmi i gotowy do odjazdu. Przybyliśmy do ^{możliwości} wnie w ostatniej chwili. Nie było nawet ~~nowy~~, aby

Pozwolono nam się załadować. Nie chciano nawet z nami rozmawiać. Był to transport wojskowy i cywilom nie wolno było do niego wsiadać. Naraz z wagonu wyskakuje kilku mężczyzn i ładują siłą nasze bagaże do wagonu. A nam każą szybko wsiadać i nie tracić czasu. Jak będziecie wewnątrz wagonu nikt was nie wyrzuci, gdyż mamy dobrych opiekunów - zapewniał nas jeden z pasażerów. Okazało się, że ludzie z wagonu patrzyli jak bezskutecznie błagamy, aby pozwolono nam wsiąść, a kiedy zauważyli iż ^{siła wojskowa} kolejarze odeszli, postanowili nam pomóc. Dziękowaliśmy tym opiekunom i czuliśmy, że Bóg nadal nad nami czuwa.

Gdy pociąg ruszył odetchnęliśmy z ulgą, że teraz nikt nas już nie wyrzuci. Nasz kufer i skrzynię ustawiono w przejściu a resztę bagażu w przedziale. Bagaż na korytarzu tarasuje przejście, ale nikomu to nie przeszkadza, gdyż jada sami polscy zesłańcy z więzień i obozów pracy i wszyscy się rozumieją. Wiedzą, że tu na Syberii życie nas też nie głaskało. Sami byli teraz w położeniu jeszcze trudniejszym od naszego, bo my mieliśmy jakieś bagaże a oni mieli tyle, co na sobie. Porwana odzież w strzępach, brudne łachmany i w ręku nieodzowny "kociołek". Wszy za kołnierzem. Kalectwo i choroby. Tak wyglądali ludzie, których sowiecki system nazywał ~~wojną~~ "Polskimi Panami". Dziś, choć nie umundurowani, ^{czuli się} ~~ale~~ już żołnierzami ^{mi} polskiego wojska.

Narodu w przedziałach i na korytarzu tyle, że nie można było swobodnie się poruszyć. Na naszych skrzyniach też siedzą ludzie. Później jak się okazało zginął nam płaszcz ojca. Któryś z Polaków potrzebował go i wziął. Gdyby nas poprosił też byśmy mu go dali. Byliśmy wdzięczni ludziom z pociągu za to że nas ze sobą zabrali. Nie rościliśmy do nikogo żadnych pretensji.

Pożegnaliśmy Siemipalatyńsk jeszcze mroźny i jedziemy na południe w cieplejsze strony. Może tam zimy wcale nie będzie.

Na większych stacjach kolejowych wydawano nam gorące posiłki w postaci zupy lub gorącej wody, zwanej "kipiatok", który służył jako herbata. Po posiłki udawaliśmy się wiadrami. Nierzadko brakowało tym, co byli na końcu, gdyż inni pobrali nieuczciwie - po dwa wiadra na swoją grupę. Później wydawano kartki, żeby zapobiec podobnym sytuacjom. Otrzymywaliśmy również po 200 gram chleba. Dla tych, co byli samotni i nie posiadali swoich zapasów były to porcje głodowe. My mieliśmy worek z wędliną i chlebem więc częstowaliśmy tych co przyczynili się do tego, że razem jedziemy. Wszystkich nie mogliśmy ^{nakarmić} ~~zaspokoić~~, bo by nawet na raz ^{by} nie starczyło. Widzieliśmy straszne obrazy spowodowane głodem. Gdy pociąg zatrzymywał się zgłodniałe ludzie wyskakiwali z wagonów i jak szakale rzucali się do pustych wagonów towarowych stojących na stacjach szukając coś do jedzenia. Gdy trafili na wagon po mące zgarniali te resztki i jedli, aby tylko zaspokoić głód. Grzebali w ^{my} śmietnikach, żeby z na wpół zgniłych odpadów zdobyć coś do konsumpcji. Najczęściej na śmietnikach znajdowano obierki po ziemniakach, zgniłą kapustę lub głowy po śledziach. W ludziach odzywały się ^{instyn-} ~~instyn-~~ kty zwierzęce - walka o przetrwanie. Nikt nie chciał umrzeć śmiercią głodową. Kto tego nie przeżył nigdy nie zrozumie, co może z człowieka zrobić głód. Na postojach trzymaliśmy się swego transportu, gdyż w każdej chwili mogli go skierować w drogę. I szukaj potem wiatru w polu.

Obserwując krajobraz widzimy, że jesteśmy już na południu. Minęliśmy Alma-Atę i Taszkient - miasto złodzieji. Tutaj w biały dzień potrafili rozebrać człowieka z posiadanej odzieży. Można też było postradać życie, gdy dalej oddalono się od centrum miasta. Milicja była bezradna, a może nie chciała ryzykować swego zdrowia i życia na bezsensowną walkę z miejscowymi bandami. Baliśmy się więc oddalać od dworca i nie zale-
^{zato} ~~zato~~ nam na turystyce, choć miasto było piękne. ~~i naszpikowan~~

7. SARMYK.

W międzyczasie rozeszła się pogłoska, że mężczyźni nie pójdą do wojska, lecz do pracy w kołchozach, gdzie będą oczekiwać na mobilizację. Nastąpiło zdenerwowanie, gdyż nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. I rzeczywiście władze radzieckie oferowały nam kołchozy, w których mieliśmy się chwilowo osiedlić. Ale kto chciał w to uwierzyć w tym państwie przemocy i zakłamania?

Postanowiono zorganizować komitety do spraw osiedlania. Również w naszym wagonie powstał taki komitet, w skład którego weszło kilku mężczyzn, do których i mnie zaliczono. Reprezentowałem tych, co jechali na przyczepkę i bronić ich ^{inter-} ~~inter-~~ resu. Naszym zadaniem było odwiedzenie wskazanego przez miejscową władzę kołchozu i zadecydowanie, czy odpowiadają nam zaoferowane warunki. W praktyce okazywało, że nigdzie te warunki nie były dla nas do zaakceptowania. A wymagaliśmy tylko ludzkich warunków do życia i odpowiedniej pracy. Były to przeważnie gospodarstwa uprawiające bawełnę/"dłopok"/, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, iż bawełną się nie wyżywimy. Szukaliśmy więc coś lepszego, na przykład uprawy kawy zbożowej lub chociaż kaszy gryczanej. Lecz tutaj na południu nic takiego nie było. Wożono nas z tym transportem w różne miejsca a my ciągle mówiliśmy - nie. Byliśmy zgraną grupą i nic nie mogli z nami wskórać. Codziennie i tak dostawaliśmy przydział chleba a na stacjach "kipiatok". Można było wytrzymać. Przez kilka dni włóczyliśmy się więc z kołchozu do kołchozu. I ~~ch~~ ^{mimo} ~~cięż~~ była tu późna jesień, było jeszcze ciepło. Nie to, co Syberia. Władzy radzieckiej sprzykrzyła się jednak nasza wybrzdność i óle pojęta turystyka. Postanowiono zapobiec dalszej naszej wędrówce stosując znane stare metody - siłę i przymus.

Pewnego dnia pociąg zatrzymał się w polu. Zaskoczeni wyglądaliśmy z wagonów nie wiedząc co się dzieje. A tu widzimy

obok pociągu furmanki oczekujące na pasażerów. Zrozumieliśmy wówczas, że to koniec naszej wędrówki i nie pozostaje nic innego, jak grzecznie zająć miejsce w furmance i jazda do nieznanego miejsca pracy. Razem z nami zabrali się rodzina Falkowskich a także kilku samotnych mężczyzn. Po kilku godzinach żółwiej jazdy ~~do~~ dojechaliśmy do kołchozu pod nazwą "Sarmyk", co w tym języku znaczyło strumyk. Otrzymaliśmy na dom lepiankę z gliny o jednym pomieszczeniu i zamieszkaliśmy w nim razem z Falkowskimi. Izba nie miała więcej niż 12 metrów kwadratowych powierzchni i musieliśmy się zmieścić w sześć osób. Pozostałych mężczyzn rozlokowano po kilka osób w innych lepiankach. Było też kilka rodzin z małymi dziećmi. Wchodząc do wnętrza naszego mieszkania trzeba było mocno się pochylić, aby zmieścić się w drzwiach. Poza tym trudno nazwać ten obiekt mieszkaniem, gdyż z naszego punktu widzenia przypominał on raczej kurnik. Na pocieszenie dodam, że pozostałe budynki w kołchozie wyglądały, tak samo i niczym nie różniły się od naszego. Tym skośnookim Kirgizom te warunki odpowiadały, gdyż był to naród koczowniczy i władza radziecka przymusowo przykuła ich do życia osiadłego. Nazywano ich kazahami, ale dla nas byli to Kirgizi i nie staraliśmy się pojąć ich różnicy duchowej. Oczywiście mieli jednakowo skośne i małe. Nie potrafiliśmy ich odróżnić.

Największy problem sprawiało nam porozumiewanie się z nimi. Nie znali języka rosyjskiego i posługiwali się wyłącznie swoim językiem, którego nie mogliśmy zrozumieć. Jedynym człowiekiem znającym trochę ~~język~~ rosyjski był młody mieszkaniec tego kołchozu, uczeń szkolny w moim wieku. W związku z tym został łącznikiem między miejscową władzą a nami. W pierwszym rzędzie postanowiliśmy domówić się, co mamy ~~do~~ robić i z czego żyć. Z pola plony bawełny zostały już zebrane, a inne, pracy nie było. Nasza sytuacja od chwili podpisa-

nia umowy polsko-rosyjskiej zalieniła się. Nie jesteśmy już niewolniczą siłą roboczą bezprawnie wywiezioną, w głąb tego dzikiego kraju. Doszliśmy do porozumienia, że wydawać nam będą 400 gram ziarna kukurydzianego dziennie, gdyż innego zboża nie posiadali. My natomiast musieliśmy traktować to jako zaliczkę za prace wiosenne. To nam odpowiadało, gdyż pozwalało spokojnie przezimować. A na wiosnę nie wiadomo, gdzie nas oczy i nogi poniosą. Byliśmy nareszcie wolnymi ptakami. Przeczuliśmy też, że tu pracować nie będziemy. Oczekiwaliśmy przecież poboru do wojska. Ja 3 maja 1942 roku ukończę 18 lat.

A tymczasem trzeba było zorganizować sobie warunki do życia. Sporządziliśmy z kamieni coś w rodzaju żaren i za pomocą tego prwizorycznego urządzenia tarliśmy kukurydzę na mąkę. Z niej można było piec placki kukurydziane. Do wypieku "lepiśzków" wykorzystywaliśmy znajdujący się w naszym obiekcie pięćdziesięciolitrowy kocioł, który również służył jako garnek do gotowania innych kombinowanych potraw. Gotowaliśmy w nim mamałygę. Nie było wyboru - raz placki, raz mamałyga. Mimo to zawsze było co jeść.

Dowiedziałem się od mego pseudorosyjskiego kolegi, że w sąsiednim kołchozie nie uprawiają bawełny, lecz zajmują się uprawą buraka cukrowego. Pokazał też nam gdzie znajdują się kopce z burakami. Pole to oddalone było od naszego kołchozu o ok. 2-3 km. O zmierzchu postanowiliśmy udać się do tych kopców i przynieść trochę tego słodkiego skarbu. Wiedzieliśmy przecież, że z buraków cukrowych będzie można ugotować jakiś słodki syrop, który powinien pasować do mąki kukurydzianej. I rzeczywiście. Ugotowane w kotle buraki miały słodki smak lecz zapach pozostawał buraczany. Nie przeszkadzało to nam w gotowaniu na tej wodzie mamałygi. Ale szczęście nie trwało długo. Po kilkakrotnym rozgrzebaniu kopców zostaliśmy

przepędzeni z buraczanego pola. A było to tak. Do obrabiania kopców udaliśmy się wraz z bratem w towarzystwie sióstr Falkowskich. Rozgrzebaliśmy śnieg i zaczęliśmy ładować buraki do worków, gdy naraz dostrzegliśmy sylwetkę jakiegoś kołchoźnika pędzącego na koniu, który ^{przyczajony} dyżurował w pobliżu. Pozostawiliśmy worki i rzuciliśmy się do ucieczki, która się nam powiodła ze względu na głęboki śnieg. Nam udawało się uciekać, bo koń zapadał się w śnieg po sam brzuch. Po tej przygodzie mieliśmy dość kirgizkich buraków i nie próbowaliśmy więcej ponawiać tej akcji.

Często do nas na placki przychodzili dwaj samotni panowie. Obydwaj przed wojną zamieszkiwali w Warszawie. Jeden z nich był podoficerem zawodowym, a drugi lotnikiem w stopniu podchorążego. Pomagali nam w zdobywaniu opału, którym były kodygły zbierane po bawełnie. Paliły się świetnie, lecz był to płomień słomiany. Dobry na te warunki. Na Syberii nie wiele ~~by~~ z niego było ^{by} korzyści. Pewnego razu przynieśli nam kawał mięsa. Oznajmili, że to mięso ^{ino} z ukradzionego koziołka. ~~Byliśmy uradowani,~~ i ^{uśc} urządziliśmy wspólne przyjęcie składające się z zupy i kawałka mięsa. Jak się później okazało było to mięso z psa, którego nasi panowie podstępnie schwytali i uśmiercili z przeznaczeniem na konsumpcję. Nie zaszkodziło nikomu i nikt po tym mięsie nie szczeakał, ani też nie podnosił podczas sikania nogi.

Z tubylcami nie mieliśmy wspólnego języka. Jedynie ten młody człowiek był naszym łącznikiem. Nawet wymiany towarowej nie mogliśmy przeprowadzić, bo Kirgizi nie mieli nic, co ²by ³nas ¹mogło zainteresować. Pod koniec listopada zorganizowali dla mężczyzn pracę. Wraz z nimi i mnie wysłano do kopania kanałów odwadniających na obrzeżnych polach tej pustynnej ziemi. Praca łopata była ciężka a ręce aż puchły od tej wątpliwej przyjemności. Spaliśmy w szałasach zbudowanych

przez tubylców, a posiłki otrzymywaliśmy ze wspólnego kotła, które przyrządzały ^{miejskowe} piękności. Karmiono nas tłustą baraniną i pomimo niedostatków wcale nam to nie smakowało. Ugotowane bez przypraw mięso, ot tak zwyczajnie, prosto z kotła, ^{im} bardzo smakowało, a my patrzyliśmy na nie z obrzydzeniem. Przy kopaniu rowów pracowało dużo miejscowej ludności, a my wśród nich byliśmy jacyś obcy i zagubieni. Nie pasowaliśmy ani do tego regionu ani do tych ludzi. Trzymaliśmy się razem, bo wiedzieliśmy, że nie patrzą na nas łaskawym wzrokiem. Do tego jeszcze ^{te} niepojęty i niezrozumiały kirgizki język. Najczęstszym słowem, którego używaliśmy było - "belmejde", co znaczało - nie rozumiem. Gdy po kilku dniach przyjechał mój przyjaciel poprosiłem go, aby załatwił mi pracę traktorzysty. W efekcie przeniesiono mnie do MTS, gdzie zatrudniono mnie w warsztatach naprawczych jako mechanika. Pracowałem z Kirgizami jako jedyny Polak. Miałem być obecny przy naprawie silnika, którym na wiosnę powinienem wyjechać w pole. Tu w Sarmyku ponownie obdarzono mnie traktorem na którym zaczynałem pracę w Suworowskim Ziarnosowchozie. Nie mogłem odmówić, gdyż trzeba było jakoś się ratować. Ważne było, że mama z bratem otrzymali zwiększoną porcję kukurydzy, gdyż kołchoźnikom zależało, abym pozostał w ich gospodarstwie. Mieszkałem z Kirgizami w jednym pomieszczeniu. Było nas około 20 traktorzystów. Jedzenie przygotowywała nam kucharka kirgizka więc można sobie wyobrazić jak wyglądało jedzenie tłustej baraniny gołymi rękami. Ciekło mi rękach i po każdym posiłku byłem upakany po łokcie. Lecz nie to jeszcze było najgorsze. Spaliśmy na podłodze obok siebie i gdy nastał wieczór zaczynało się polowanie na wszy. Kirgizi zdejmowali koszula i zębami przemierzali szwy swoich koszul. Mówili, że jest to konieczne jako zemsta na robactwie - krew za krew. Te polowania doprowadzały mnie do mdłości. Widziałem w nich wstręt i ohydę.

Całe szczęście, że pobyt w tym towarzystwie nie potrwało zbyt długo. W połowie stacznia 1942 roku w miejscowej prasie było ogłoszenie, że mężczyźni narodowości polskiej od lat osiemnastu do sześćdziesięciu mają stawić się na komisji lekarskiej jako poborowi tworzącej się armii polskiej. Na taką wiadomość czekaliśmy wszyscy długo. Coś zaczęło się dziać. Jedyny ratunek widzieliśmy we wstąpieniu do armii, która pewno weźmie udział w walce z Niemcami. Swoim traktorzystom oświadczyłem, że idę do armii i dwadzieścia kilometrów ^{na} pieszo wróciłem do domu. Tutaj też wiedziano o mobilizacji. Mama wiedziała po co wróciłem. Początkowo nie była z tego powodu zadowolona. Rozumiała jednak, że gdy będę w wojsku ona wraz z bratem zostaną zaliczeni do kategorii rodziny wojskowej. A to w tym kraju oznaczało wiele, m.in. opiekę socjalną i żywnościową. W innym przypadku nikt z nami by się nie liczył.

W kołchozie ludzie również nie byli zadowoleni z naszej decyzji o wstąpieniu do wojska. W końcu pobieraliśmy kukurydzą akonto naszej wiosennej pracy. Jednak było odgórne zarządzenie, że wstępujących do wojska nie należy zatrzymywać i stosować utrudnień. Otrzymałem nawet "podwodę" i furmana Kirgiza, aby dotrzeć do miasta Dżambuż oddalonego o blisko 30 km.

Rozstanie i pożegnanie z matką było ciężkie. Byłem podporą rodziny i jeżeli nam dotąd szczęście sprzyjało, to było również moją zasługą. Zostawiałem przecież matkę z szesnastoletnim synem na pastwę losu. Popłakaliśmy się wszyscy serdecznie i wyruszyłem w świat samodzielnie nie wiedząc, czy kiedykolwiek spotkam się z najbliższymi. Szedłem w końcu do wojska i mogłem zginąć w pierwszej lepszej potyczce z przeciwnikiem. A nie miałem jeszcze ukończonych osiemnas-

Na drogę ubrałem się odpowiednio, jak przystało na poborowego. Za namową mamy włożyłem ciepłą bieliznę po ojcu i jego drelichowy policyjny mundur, który wisiał na mnie jak na manekinie. Ojciec ważył w końcu blisko stu kilogramów, a ja wygłodzony w ruskich kołchozach miałem może koło pięćdziesiątki. Że nie miałem płaszcza włożyłem matczyną jesionkę. Na nogi rosyjskie filcaki. Musiałem wyglądać wspólniale, ale kto wtedy zwracał uwagę na takiego "wojaka Szwajka". Ludzie chodzili poubierani najróżniej.

WRÓT ARMII ANDERSA. Były to ostatnie dni stycznia 1942 roku. Najpierw padał śnieg, a w godzinach południowych najczęściej wychodziło słońce i tworzyła się plucha. Moje filcowe buty szybko nasiąkały wodą. Szliśmy idąc obok arby, aby łatwiej było zaprzęgowi ciągnionemu przez dwa woły. Do marszu zmuszał nas też chłód. Idąc rozgrzewiliśmy zmarznięte ciało. W sile dziesięciu chłopów dobrnęliśmy do punktu zbornego w Dżambule. Zaraz jak tylko przybyliśmy na miejsce oddałem woźnicy matczyną jesionkę i pozostałem w samym drelichowym mundurze. Szkoda było do armii tak wykwiutnego obuwia, tym bardziej, że w tych warunkach zamiast ^a pomóc przeszkadzały mi. Liczyłem jednak na szybkie przemundurowanie.

Punkt zborny znajdował się w byłej rzeźni miejskiej dostosowanej do uboju bydła z cementową posadzką i niebielonymi ścianami. Chętnych do wojska było tu już bardzo wielu. Wszyscy gotowi do walki z "proklatym germańcem". Dwa lata temu, gdyby ktoś powiedział takie słowa na serdecznego przyjaciela Związku Radzieckiego mógłby otrzymać surowy wyrok, jako wróg ludu radzieckiego. Dzisiaj jest inaczej. Można pluć na Niemca ile wlezie, a czym więcej, tym bardziej mile jest się widzianym. A tak niedawno dzielili się Polską i byli z tego powodu bardzo dumni. W gazetowych zdjęciach widać było serdeczny uścisk dłoni rozbiorców i cie-

miężycieli narodu polskiego. Ach ta obłuda i zakłamanie!

W tłumie poborowych spotkałem swego przyjaciela z lat szkolnych, gdy uczęszczałem do gimnazjum w Białymstoku. Własnym oczom nie wierzyłem. Przede mną nie stała zjawa, lecz nie kto inny jak Gienio Regent. ~~Przed wojną~~ Mieszkał w Supraślu, gdzie jego ojciec był komendantem policji. Świat jest taki mały. Postanowiliśmy ^{jakoś} uczcić te nasze niespodziewane spotkanie. Tyle, że on nie posiadał nawet rubla w kieszeni. ~~Ja~~ nie byłem lepszy, bo wszystko ~~po miałem~~ zostawiłem mamie. Miałem jednak na nogach filcowe buty, które bardzo mi przeszkadzały. On natomiast nogi miał owinięte w jakieś szmaty, a na sobie strzepy ubrania. Postanowiłem swój luksus spieniężyć. Udaliśmy się więc na bazar, gdzie szybko znalazłem nabywcę na moje dobre przecież walonki. Targ został ubity, ale co włożyć teraz na naogi. Przecież nie wrócę na boso do punktu zbronego. Żeby nie było jak w tej piosence, boso, ale w ostrogach. Kupiłem za kilka rubli dobrze podniszczone tenisówki. Nie przeszkadzał mi nawet brak sznurowadeł, gdyż przez środek stopy zawiązałem kawał sznurka, żeby nie spadały mi z nóg. Następnie udaliśmy się do knajpy i zamówiliśmy sobie coś mocniejszego i cokolwiek na "zabek". Nie było w zwyczaju, aby przymusową kupować zakąskę. Piłem po raz pierwszy w życiu, gdyż cały czas byłem wierny przysiędze Pierwszej Komunii Świętej i przyżeczeniu harcerskiemu. Ale przy takiej sposobności złamałem przysięgę o dwa lata wcześniej. Niestety mieliśmy słabe głowy i żadnego doświadczenia w spożywaniu alkoholu. Wydaliśmy wszystkie pieniądze i spici jak baki wróciliśmy do bazy wyjściowej w miejskiej rzeźni. Spaliliśmy na betonie tak jak staliśmy bez żadnego okrycia. Nie czuliśmy zimna. Nieprzytomni nie wiedzieliśmy co się z nami dzieje.

Następnego dnia [w szeregu] oczekujemy, żeby stanąć przed komisją poborową składającą się z samych Rosjan. W stroju Adama staje przed rosyjskimi kobietkami pełniącymi funkcję lekarzy. Co za wstyd i upokorzenie! Nie wiem gdzie mam się podziść, ~~czym okryć~~. Okryty wstydem zbliżyłem się do pierwszego lekarza. Pani doktor poklepała mnie po plecach i powiedziała - "Niczewo peryń, nie dołżno ścieśnićsa!" No, ale chęć pójścia do wojska przewyciężyła i dalej szło jak z płatka. Waga, miara, wygląd z przodu i z tyłu. "szystko odpowiada i jest na miejscu. Pierwszy ogień mam więc za sobą i staje przed oblicze całego szefa tej komisji - groźnie wyglądającego majora o krzeczastych brwiach. Zaproponował mi kilka dni zwolnienia, żebym mógł się rozliczyć w kołchozie. Uważał, że tam zarobiłem dużo pieniędzy, które przydadzą mi się w armii. Podziękowałem mu i oświadczyłem, że już się rozliczyłem i pragnę iść jak najszybciej do wojska, aby walczyć z "proklatym germańcem". Udzielił mi pochwały za taką moją postawę i powiedział tylko - "maładziec paryń". Żeby ón wiedział, że wybrałem dużo kukurydzy skonto swej niewykonanej pracy, to może by mnie wygnał do kołchozu w Sarmyku. Kolejna przeszkoda została pokonana.

Teraz przez kilka dni trwało denerwujące oczekiwanie. Nadal byliśmy przecież zwykłą "cywil bandą" bez umundurowania, niemalże w żebraczych kachmanach. Nareszcie podstawili jakiś towarowy pociąg i jedziemy gdzieś na południe. Po niezbyt długiej podróży wyładujemy się na stacji kolejowej o nazwie Czok - Pak, na której nie było żadnych zabudowań, a funkcję dworca kolejowego spełniał drewniany barak. Natychmiast został zamieniony na pomieszczenie dla poborowych. Wokół rozciągają się góry średniej wysokości, które ogr niczają zasięg widzenia. Obok baraku czekała

czynna kuchnia polowa. Niedaleko była też "ubikacja", praktycznie dół, jeden drążek do siadania i jeden do oparcia. A że nie było ścian, trudno. Przynajmniej jak ktoś wpadnie, to będzie go widać i uratuje się go przed utonięciem. Kolejka do tego oryginalnego obiektu była zawsze długa i dół ten szybko został wypełniony.

Posiłki z kuchni pobieraliśmy do własnych naczyń. Najczęściej były to miski lub niezastąpiony "kociołek", który służył do "kipiatku" i "piszczy", czyli zupy. Ucho kociołka zaczepiało się za pasek, albo sznurek i zastawa stołowa była nie potrzebna. Niektórzy przychodzili po jedzenie z miskami lub puszkami po konserwach, w których była marmolada.

Po kilku dniach przywieziono do Czok-Paku tyłu chłopca, że barak pękł w szwach, a jeszcze spory tłum gromadził się na zewnątrz. Ciasnota straszna. Na dodatek pogoda była mroźna padał śnieg a wiatr między górami hulał jak zwariowany. Będąc jedynie w drelicnu i starych tenisówkach większość czasu spędzałem w środku baraku. Ludzie na zewnątrz stali zmarnięci i też na różne sposoby starali się wcisnąć do środka. Wokół dymiły wciąż ogniska i jedyną rzeczą, którą można było konsumować do woli był śnieg topiony w kociołkach na wodę. Większość poborowych rekrutowała się z obozów pracy i więzień. Mieli na sobie strzępy zniszczonej odzieży, poszarpane waciaki, ze starych opon wycięte kalosze lub nogi owinięte szmatami i omotane sznurkiem. U tych nędzarzy zrezygnowanych i brudnych robactwo pasożytnicze żerowało i rozmnażało się błyskawicznie. Ludzie ci byli schorowani i wyniszczeni. Z nich to wszy przełaziły na innych. Niebawem i ja poczułem silne swędzenie skóry. Ratowałem się drapaniem, ale to nie wiele skutkowało i czułem, że robactwo w pełni rozpanoszyło się w mojej bieliźnie i zamierza zjeść mnie na żywo. Do tej pory nie znałem tej przyjemności, bo

mama dbała o nas i chroniła przed wszawicą i brudem. Słyszałem, że wszy trzymają się przede wszystkim czystej i ciepłej bielizny. Poszedłem więc do "ubikacji" i zdjąłem z siebie zawszawioną koszulę i wrzuciłem do dołu klozetowego. Przeszłyłem się na widok masy robactwa, która gnieździła się w mej bieliźnie i spijała moją krew. Skóra na plecach była jedną podrapaną raną. Miałem tego dość. Zostałem w samej drelichowej bluzie. Przypomniałem sobie Kirgizów, którzy niszczyli wszy zębami wymawiając hasło - "krew za krew". Teraz ten widok nie napawał mnie wstrętem. Sam byłem pokonany przez wszy i wiedziałem, co oznacza mieć je na skórze. W mundurze drelichowym bez bielizny czułem się jak w pęcherzu, leżąc wolałem to niż sąsiedztwo tego robactwa.

Po kilku dniach uciążliwego wyczekiwania gruchnęła wiadomość, że rozpoczyna działalność polska komisja wojskowa, która dokona podziału poborowych na specjalności i formacje wchodzące w skład planowanej 8 Dywizji Piechoty. Zapanowała radość. Do wojska postanowiono wcielać jedynie Polaków. Natomiast Ukraińców, Białorusinów i Żydów kierowano do kołchozów wydając im czerwone dokumenty. Z tymi dokumentami mieli obowiązek zgłaszać się do władz rosyjskich, które kierowały ich do pracy.

Działanie komisji wyglądało następująco. Poborowy wchodząc do baraku, którego połowę zajęła komisja, stawał przed stolikiem za którym siedział ~~ruski~~ oficer polskiego wywiadu. Oficer tak naprowadzał rozmowę, żeby ustalić czy faktycznie poborowy zasługuje na to, aby być powołany w szeregi Wojska Polskiego. Czasem wystarczyło same nazwisko i pochodzenie społeczne. Lecz, gdy to było nie wystarczające poborowy musiał zmówić określoną modlitwę, bo podstawą była znajomość religii i pacierza. Gdy ktoś nie umiał, nie miał żadnych szans na pobór do wojska. Cześć go czerwone papiery i pra-

ca w kołchozie. Najwięcej protestowali Żydzi, którzy twierdzili, iż znaleźli się tutaj dlatego, że byli Polakami. Ale krzyki te nie robiły na polskich oficerach żadnego wrażenia, a przedstawiciele wyznania mojżeszowego wracali spowrotem do kołchozów. Wykryci Ukraińcy i Białorusini nie protestowali i godzili się z losem. Nie czuli się Polakami i nie chcieli tego ukrywać. Jednak później się okazało, że wielu Żydów z niezrozumiałych względów utorowało sobie drogę do polskiego munduru. Po tej weryfikacji poborowy stawał przed komisją lekarską, która po skrupulatnych badaniach określała przydatność do poszczególnych formacji.

Po kilku dniach komisja zakończyła swoją działalność i mieliśmy przejść odcinek trzech kilometrów, ^{w opuszczonej kopalni} gdzie znajdowały się magazyny mundurowe. Mieliśmy otrzymać mundury angielski. Byłem szczęśliwy, gdyż czułem, że nareszcie jestem w wojsku, które powstało jak feniks z popiołów aby walczyć o wolność kraju. Co za radość a zarazem wielka niewiadoma, bo kto by pomyślał, że na terenie ZSRR powstanie polskie wojsko w angielskich mundurach.

W przeddzień wymarszu z baraku odprawiono mszę polową. Był to dla nas wielkie zaskoczenie. Wewnątrz baraku i wokół niego tłum mężczyzn. Gdy polski ksiądz przemówił w żołnierskim kazaniu, ci mężczyźni, którzy tyle przeszli i tyle wycierpieli, nie płakali a raczej spazmatycznie ryczeli. Nie było obojętnych. Wszyscy wycierali oczy od łez. Kapelan mówił o tym jaką ciężką przeszliśmy drogę i tylko dzięki opatrności bożej możemy być tutaj razem wyczekując na dalsze losy naszej nieznanej drogi. Ale najważniejsze, że mamy Wojsko Polskie z polskimi sztandarami i orłami, które pójdzie w krwawy bój o wolność naszej Ojczyzny. Na zakończenie odśpiewaliśmy "Boże coś Polskę". Można sobie wyobrazić jak grzmiał ten ^{gromki} śpiew.

~~wzniecie nasza nasze głosy.~~ Byliśmy spłakani i szczęśliwi. Dla takiej chwili warto było cierpieć ból, głód i poniewierkę. Po maszy frontowej sformowano kolumny marszowe, które skierowano wprost do łaźni i pod gorący prysznic, a następnie do fryzjera. Wychodząc z łaźni otrzymywaliśmy czystą bieliznę osobistą i angielskie mundury. Z mundurem i spinaczami dawaliśmy sobie jakoś radę. Najgorzej było z pasem, który nie posiadał dziurki a zapinany był na klamry. Nie mogliśmy sobie z tym poradzić i trzeba było trochę poćwiczyć, aby nabrać wprawy. Na nogi dostaliśmy skórzane trzewiki, a na głowę furażerkę z polskim orłem w koronie. Po umundurowaniu nastąpił przemarsz do namiotów przysypanych śniegiem.

9. SZPITAL GROZY
W CZOK - PAK.

Pamiętam, że był to 10 luty 1942 roku. Śnieg leżał grubą warstwą. Na drugi dzień poczułem, że mam silną temperaturę, nękały mnie wymioty i bóle żołądkowe. Nie mogłem w własnych siłach pójść do lekarza. Koledzy natychmiast odprowadzili mnie na izbę chorych. Lekarz od razu rozpoznał chorobę, jako tyfus plamisty. Odtransportowano mnie do szpitala, który mieścił się w budynku szkolnym.

W szpitalu tłoczno. Ze względu na epidemię tyfusu szkołę zamknięto i przeznaczono ją na szpital. Tyfus rozwinął się przez wszy. Zbyt długo trwało oczekiwanie poborowych ~~na czyste~~ mundury. Szkoła posiadała pięć pokoi klasowych, w których na podłogach położono maty. Na tych matach leżeli obok siebie przykryci kocami chorzy żołnierze w większości skazani na śmierć. Nie było wizyt lekarskich. Jedynie pielęgniarki przynosiły jakieś białe tabletki. W wiadrach przynoszono ^{no} posiłki, z których korzystali tylko ci co nie mieli zbyt wysokiej temperatury. Od samego początku miałem garączkę sięgającą 40 stopni Celsjusza i byłem obojętny na lekarstwa i pożywienie. W związku z tym, że pielęgniarki szybko uciekały z tych

pomieszczeń, w obawie przed zarażeniem, jedzenie i tabletki trzeba było brać sobie samemu. Pamiętam, leżeliśmy jak kłody jeden obok drugiego obojętni na wszystko. Obok mnie leżał wachmistrz kawalerii wyglądający zupełnie zdrowo. Był uczynny i chętnie pomagał innym. Podawał wodę do picia spragnionym. Pewnego dnia widzę, że sąsiad mój nie wstaje, aby usłużyć kolegom, ani też się nie porusza. Okazało się, że w nocy wzmogła się choroba i serce nie wytrzymało zbyt wysokiej temperatury. Przyszli sanitariusze i zabrali go na wieczny odpoczynek.

Ludzie tu padali jak muchy. Wytrzymywali jedynie ci, którzy mieli zdrowe serca. Wnoszono sztywnych a na ich miejsce wnoszono następnych. Byli tacy, co w gorączce zrywali się i gdzie uciekali. Znajdowano ich nieżywych w pobliskich kanałach a w wykopach pokopalnianych. Kiedyś była tu osada górnicza, lecz gdy ją zamknięto zamieszkiwało tu tutaj zaledwie kilka rodzin. Nie wiem, gdzie pracowali i z czego żyli, ale mieli po swoim domku i to im wystarczało. Nasz dom grozy omijali wszyscy z daleka.

Mnie cały czas trzymała wysoka temperatura i czułem kompletny bezwład nóg, które sprawiały wrażenie drewnianych kłód. Nie wiem jak długo trwała walka mojego młodego organizmu z tą przeklętą chorobą i wysoką temperaturą. Pewnego dnia poczułem się lepiej i doznałem parcia na pęcherz, czego dotychczas leżąc tu nie odczuwałem. Zrozumiałem, że najgorsze mam za sobą i nabrałem wiary w siebie. Leczo zgrozo, nadal nie miałem władzy w nogach. Aby oddać mocz musiałem dojść do wiadra stojącego w korytarzu. Nie miał mi kto pomóc, więc musiałem wymyślić jakiś sposób. Po drugiej stronie pokoju pod ścianą stała mała szafka, na której pielęgniarka zostawiała leki i posiłek. W wiadrze/najczęściej gęsto gotowaną kaszę, kromki chleba i kawę/.S. Tak ten przydeł mi się jako podpora do wstawania na nogi. Najpierw przyczołgiwałem się do stolika, następnie

chwyciłem rękoma krawędzi stolika i podnosiłem się do góry. Potem opierając się po ścianie dochodziłem do wiadra w korytarzu. Tę samą drogą wracałem do szafki. Nie umiałem jednak ułożyć się na posłaniu. Musiałem odpychać się od ściany i paść na matę. ~~ale musiałem~~ ^{niebys} [sobie] [jakoś] [radzić]. Byłem wciąż jeszcze bardzo słaby, nie odczuwałem głodu. Mogłem za to pobierać leki i pić. Dalej leżałem w szpitalu i oczekiwałem jakiejś łaskawej ręki, która wyprowadziłaby mnie z tego domu śmierci. Czułem jednak, że nie było mi sądzone tak szybko pukać do "Piotrowych bram".

O pomorze w Czok-Pak pisał w swej książce zatytułowanej "Na nieludzkiej ziemi" Józef Czapski, który był oficerem łącznikowym do spraw poszukiwania Polaków przebywających w obozach koncentracyjnych i więzieniach na terenie ZSRR. Tak wspomina ten okres.

"...Płk J. przybył z Czok-Paku, gdzie był zaczątek 8 Dywizji, opowiadał nam, że stoją wśród wysokich grzbietów 1200 metrów nad poziomem morza. Ze trzy dni w tygodniu idzie u nich "buran" wicher górski taki, że namioty wywraca. Ledwie się tam osaczyli, a już umarło 124 ludzi. Chowają ich o zmierzchu, bez trumien, bo desek nie ma. Przyjeżdża młoda dziewczyna w mundurze z Ośrodka Organizacyjnego Armii w Guzarze. Od niej słyszę, że ~~głównym zajęciem saperów~~ ludzie umierają jak muchy, że główne zajęcie saperów, to kopanie wieczorami grobów, gdzie grzebią po 2 - 3 nieboszczyków razem, też bez trumien. W ostatnim dniu zmarło 126 ludzi. Zewsząd przyjeżdżają już zakażeni, zawszeni, rozprawdzając tyfus, w kwarantannie najwięcej ich umiera. Co raz przyjeżdżały dzieci samotne z listami "my zginiemy, ale dzieci ratujcie". Każde z tych dzieci prężyło się usiłując dodać sobie parę lat, aby je tylko przyjęto do wojska. Tworzyły się ^w oddziałach szkoły dla dzieci,

obozy dla Junaków i Orląt. We Wrewsku, gdzie było trochę zieleni i wody. W bezdrzewnym Kerminie, gdzie podczas dzikich upałów letnich /ponad 70 stopni C./ przywieziono wodę w niedostatecznej ilości w żelaznych beczkach. Prawie połowa armii /44 proc./ przeszła przez oddziały zakaźne naszych szpitali.

Żołnierz zapadał przede wszystkim na dur plamisty, dur brzuszny, czerwonkę, malarię, kurzą ślepotę. W samym Turkiestanie ponad dwa tysiące żołnierzy zmarło na epidemię /nie wliczam do tej cyfry ludzi umierających u wrót naszego wojska, mężczyzn, kobiet, dzieci, którzy już zarażeni, umierali w drodze po stacjach, w błocie, śniegu, w kibitkach/. Chyba najtragiczniej przedstawiał się stan zdrowotny 7 Dywizji Piechoty. Przeciętnie połowa tej dywizji leżała w szpitalach, a najwęższy stan chorych wynosił 73 procent. W lutym i marcu owego roku, w tej jednej dywizji chorowało na sam tylko tyfus plamisty 2.261 ludzi. To była ta armia, która zdradziła Związek Radziecki i uciekła na Środkowy Wschód. Chwała tym co uratowali tych ludzi od niechybnej śmierci, bez walki na froncie. Ja byłem między tymi co zginął bym nie mając karabinu w rękę i wyjazd uratował mnie od niechybnej śmierci. Zacząłem swą ciężką chorobę w Czok-Pak, a następnie w 7 Dywizji Piechoty w Kerminie. To był obraz wstrząsający i dziś zdaje się nieprawdziwy, a jednak sam muszę w to uwierzyć, że to piekło przeszedłem..."

Tyle Józef Czapski. Wracamy do sytuacji w szpitalu Czok-Pak. Kilka dni wcześniej wyszli ze szpitala dwaj starzy znajomi z kołchozu Sarmyk, którym mama pomagała i zapraszała ich na posiłki syropowo-kukurydziane. Wiedzieli, że tutaj jestem i za jakiś czas odwiedzili mnie. Nic o nich nie wiedziałem gdyż silna gorączka wyprowadziła mnie ze stanu świadomości. Powiadomili mnie, że za kilka dni przyjdą, aby zabrać mnie z tego szpitala grozy. Uważali, że lepiej będę się czuł w

obozie potyfusowym, gdzie oni już przebywali i nie będę musiał obcować z tymi nieszczęśnikami, cierpiącymi i umierającymi bezradnie.

Był to dobry pomysł, gdyż coraz bardziej reagowałem na te nieprzytomne okrzyki i ucieczki. Umierający na sali wywierali bardzo przykre wrażenie. Przechodziłem więc do stanu normalnego. Jak obiecali, tak zrobili. Przeszli po kilku dniach. Ubrali mnie w mundur, wzięli pod rękę i powlekli krok za krokiem do lekarza. Gdy przyszliśmy ^{przed} ~~po~~ oblicze medycyny oświadczyłem, że jestem zdrowy i koledzy poprosili o wypisanie mnie ze szpitala. Lekarz uczynił zadość prośbie. Zaprowadzono mnie do ^{Taj} ~~szpitala~~ ni, gdzie odświeżyłem swe bezwładne ciało. Chwiejącego się na "drewnianych" nogach doprowadzono mnie do obozu dla tych, co grabażowi uciekli spod łopaty.

Otrzymałem przydział do budynku, a nie namiotu, gdzie ^{koszar} ~~koszar~~ rowało wojsko poszpitalne, tak zwani uzdrowieńcy. Po kilku dniach kiszki zagrały mi marsza i poczułem nagle silny ^{głód} ~~głód~~ głód. Musiałem pójść do kuchni polowej, do której trzeba było schodzić z małego wzniesienia. Moje nogi nadal jednak były ^{nie} ~~nie~~ nierawne i miałem kłopot z dotarciem na posiłek. Po równym terenie szło mi już ^{nie} ~~nie~~ gorzej, ale wzniesienie to było wówczas dla mnie problemem. ^z ~~z~~ Z ^z ~~z~~ górki ^{musiałem} ~~musiałem~~ wchodzić na czworakach jak niemowlę. Wstawałem na terenie płaskim. Za to, gdy doszedłem do celu, zjadałem na raz kilka mieniących się kaszy ze słoniną i głodny wracałem do miejsca zakwaterowania. Po jakimś czasie zawarliśmy we czwórkę spółkę akcyjną. Była to trójka, która mogła chodzić i ja jeden, który nie potrafił. Ale apetyty mieliśmy wszyscy jednakowe. Ciągły głód skręcał dosłownie nasze wnętrza. Koledzy przynosili dwudziestolitrowe wiadro pełne gęstej kaszy i tę ilość zjadaliśmy w czworo. O zaspokojeniu głodu nie było mowy i zdarzało się, że po jakimś czasie przynoszono repetę. Żołądki mieliśmy

więc jak worki i w tym stanie zaatakowała mnie krwawa biegunka. Pragnienie spożywania posiłków rosło, a zamiast kału płynęła krew. Było tak, że ustami się jadło i zaraz jednocześnie oddawało się krwawy kał. W takiej sytuacji czułem się coraz gorzej i opadałem z sił. Stałem się znów obojętny otoczeniem, prawie cały czas spędzałem w ubikacji, albo w jej pobliżu, by zdążyć na czas.

Dowiedziałem się, że podczas mojej choroby, na tyfus był wyjazd wojska na Środkowy Wschód. Bardzo żałowałem, iż nie mogłem skorzystać z tej szansy, aby stąd wyjechać. Miałem pecha. Teraz znów choroba nie pozwalała mi na jakiegokolwiek plany. Wszyscy wokół pocieszała nas, że gdy tylko wyzdrowiejemy, to dołączymy do swojej dywizji. Ale krążyły też pogłoski, że mamy otrzymać uzbrojenie rosyjskie i ruszyć na front. Była to jednak plotka fałszywa. W okresie kwietnia-maja 1942 roku nastąpiła likwidacja tego obozu "zagłady" w Czok-Pak a mnie przydzielono do 7 pułku kawalerii rozpoznawczej dowodzonego przez płk. Święcickiego, który to pułk wchodził w skład 7 Dywizji Piechoty z siedzibą w Kerminie.

Przypomnę tylko, że rozlokowanie Armii Polskiej w tym czasie było następujące:

- Dowództwo Armii znajdowało się koło Taszkientu w miejscowości Jangejul;
- Centrum Wyszkożenia Armii w pobliskiej osadzie Wrewskaja;
- 5 Dywizja Piechoty w Działał Abad/na granicy chińskiej;
- 6 DP w Szachriziab/na północ od Afganistanu/;
- 7 DP w Kerminie;
- 8 DP w Czok-Pak;
- 9 DP w Margełam/Dolina Fergańska/;
- 10 DP w Ugowoje;

- Ośrodek Organizacyjny i 21 Pułk Piechoty w Guzarze;
- 1 Pułk Ułanów koło Ałma-Aty;
- Wojska Pancerne w Karabałcie;
- Artyleria w Kara-Su przy 5 DP;
- Ośrodek Jpnaków w Kiszlak i Karkin/podgarnizon guzarski/.

Cieszyłem się z przydziału do tak wspaniałej jednostki, jaką jest kawaleria zmotoryzowana, ale nadal byłem pod wpływem silnej czerwonki, na którą nie było żadnego leku. Czułem się co raz gorzej. Nie miałem apetytu i szybko opadałem z sił. Nie uczęszczałem na zajęcia i ćwiczenia. W dalszym ciągu krążyłem jak cień w pobliżu latryny polowej. I choć miałem swoje miejsce w namiocie, noc spędzałem pod gołym niebem, w pobliżu miejsca, gdzie "król piechotą chodzi".

Obecnie znajdowaliśmy się w klimacie gorącym, gdzie temperatura w dzień w słońcu dochodziła do 70 stopni Celsjusza. Byliśmy ugotowani w tym dziennym upale, a nas chorych dobijało to jeszcze bardziej. Piszę, nas chorych, bo takich jak ja, były tysiące. Czerwonka była gorsza od tyfusu. Poczucie potrzeby udania się do ubikacji nie ustępowało a możliwości leczenia w tych warunkach żadne. Ludzie ginęli dziesiątkowani przez różne epidemie i nie potrzebny był front, żeby śmierć zbierała bogate żniwo.

Otrzymywane angielskie suchary lekarz pułkowy w drodze wymiany z ludnością tubylczą zamieniał je na wino. Chorym osobście wydawał codziennie po kieliszku wina do rozgrzania żołądka. Niewiele to skutkowało. Z pewnych źródeł dowiedziałem się, że nasz kapelan pułkowy poszukuje ministranta do usługiwania przy mszy świętej. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Od najmłodszych lat służyłem do mszy i znałem ministranturę. Moim codziennym zajęciem z rana było usługiwanie do mszy, którą odprawiał kapelan. Potem mogłem spokojnie warować przy

W wolnych chwilach chodziłem w step i polowałem na żółwie, z których koledzy przyrządzali wspaniałe zupy. W ten sposób się dożywiałem. Niektórzy łowili i przynosili duże jaszczury, które ponoć były bardzo smaczne. Wikt angielsko-rosyjski wystarczał jedynie zdrowym żołnierzom, którzy nie musieli uciekać się do żółwiowo-jaszczurczych posiłków. A mnie, który przeszedł tyfus, cierpiał na tę przeklętą biegunkę, przyplątała się jeszcze "kurza ślepotą". Gdy zapadał zmrok, stawałem się zupełnie ślepy. Nie widziałem nawet światła lampy naftowej w namiocie. W efekcie koledzy musieli prowadzić mnie nocą do toalety. Z tego powodu ^{wolałem} też nocować blisko ubikacji.

Jedynym skutecznym lekiem na kurzą ślepotę było spożywanie surowej wątroby. O nią należało ubiegać się na własną rękę. Niedaleko naszego obozu znajdowała się rzeźnia, gdzie dokonywano uboju bydła dla potrzeb wojska i ludności cywilnej. Z pracującymi tam Rosjanami wymienialiśmy angielskie suchary na wątrobę. W związku z tym, że nie paliłem tytoniu, również przydział papierosów przeznaczałem na ten cel. Ponadto byłem stałym pacjentem lekarza pułkowego i nie musiałem za wino oddawać swoich sucharów. Lekarz widział, że codziennie służę do mszy i na pewno w porozumieniu z kapelanem byłem chorym nieco uprzywilejowanym.

W lipcu, takich jak ja, powołano przed komisję lekarską i z kategorią "E" ^{chciano} zwalniać do cywila. Jednak wstrzymano się z tą decyzją, gdyż niebawem miała zapasć decyzja o wyjeździe wojska na Środkowy Wschód. Pozostanie w Rosji oznaczałoby dla mnie śmierć. Byłem tak słaby i wychudzony, że nie był bym w stanie sam o własnych siłach dojechać do rodziny w Sarmyku. Nie wiedziałem nawet, czy moi bliscy nadal tam zamieszkują. Jedynie wyjazd mógł uratować nas od tragicznego losu.

Na początku sierpnia do Kermine przyjechał generał Anders - dowódca Armii Polskiej na terenie ZSRR. Wszyscy udali się na te uroczyste spotkanie. Andersa widziałem po raz pierwszy. Był to szczupły i wysoki mężczyzna w średnim wieku z charakterystyczną dostojną łysiną. Potrafił przemawiać do żołnierzy i trzeba przyznać, miał o czym mówić. Opowiadał o naszych cierpieniach o ofiarach złożonych na ołtarzu Ojczyzny. Powiedział wówczas bardzo radosną dla nas nowinę, na którą czekaliśmy z nadzieją: "Wyjeżdżamy na Środkowy Wschód!"

To nam wystarczyło, abyśmy byli oszołomieni tą wiadomością, która spadła na nas ^{nie spodziewanie} jak grom z jasnego nieba. Wiedzieliśmy jedno - wyjedziemy, to będziemy uratowani. Przede wszystkim wierzyliśmy, iż otrzymamy nareszcie właściwą opiekę lekarską. Tu, w Kermine, umierało ostatnio 50-60 żołnierzy dziennie i nie pomagały im, ani czerwone wino, ani surowa wątroba. Mimo, że byłem w opłakanym stanie, to z braku rąk do pracy wysyłano mnie do grzebania zmarłych. Wiadomo, zdrowi przechodzili normalne szkolenie wojskowe, a my - chodzące trupy grzebaliśmy tych, co nie wytrzymali i odeszli. W tym dniu, gdy pełniłem rolę grabarza, pochowaliśmy we wspólnej mogile sześćdziesięciu żołnierzy. Cmentarz okolony był płytkim rowem i chowane w nim tylko Polaków. Nie było trumien, więc żeby nieboszczykiem było cieplej, ^{na tej "Nieludzkiej Ziemi"} zawijano i zaszywano ich w stare kece. Wówczas już plac-cmentarz gęsto był zaludniony usypanymi mogiłami zbiorowymi.

Zdrowy trzon Dywizji, jak wspominałem, szkolili się systematycznie. Ćwiczenia wojskowe polegały na zajęciach "złożonych" /to jest m.in. rozbieranie i składanie broni, którą stanowił karabin ręczny i ckm "Maksim"/. Zamiast strzelania odbywała się zaprawa "sucha" - strzelanie do tarczy bez amunicji. Był to tak zwany "trójkąt błędów". Celujący leżał na stanowisku strzeleckim i wierzył z karabinem do tarczy oddalonej o trzydzieści metrów. Jeden z żołnierzy wodził po tarczy trójkątem wyziębionym

z tektury. Celujący krzyczał - "Cel!" i wówczas na tarczy zaznaczano punkt. Przy następnych strzałach i wodzeniu trójkąta należało celować tak, aby wszystkie punkty leżały najbliżej punktu pierwszego. A więc było to celowanie na skupienie, a te trzy punkty musiały być blisko siebie. Do strzelania ostrego nie dopuszczano nas i uważano, że to wystarczy, gdyż strzelanie z ostrej amunicji jest bardzo niebezpieczne. No, ale dobre i to. Zdrowi mają przynajmniej zajęcie a chorzy trzymują się поблизу ubikacji i wszystko jest w porządku.

Najśmieszniejsze było to, że w całym tym wspaniałym pułku kawalerii rozpoznawczej mieliśmy do nauki suchego strzelania, a także składania i rozbierania broni, kilka karabinów ręcznych i jednego "Maksima". Nie przejmowali się tym zbytnio, ani oficerowie, ani żołnierze. Wszyscy uważali, że tak widocznie musi być i koniec.

10. OSTATNIA

DESKA RATUNKU.

W pierwszych dniach sierpnia dociera do nas wiadomość, że wyjeżdżamy w końcu na wymarzony "Srodkowy Wschód". W pułku wielki ruch, gdyż wojsko otrzymuje nowe sorty mundurowe. Część umundurowania i koce ładujemy do plecaków a do chlebaków wkładamy przybory do jedzenia, golenia oraz suchą porcję żywności wną na drogę. Namioty są rozbierane i składowane po zwinięciu w jedno miejsce. Ze względu na osłabienie nie brałem udziału w tych czynnościach, ale przyglądałem się wszystkiemu z podnieceniem, ponieważ zapewniono wszystkich chorych, że zabiorą wszystkich i nie pozostawią tu nikogo.

Następuje wymarsz do podstawionego pociągu osobowego, którym dojeżdżamy do Krasnowodzka. Koledzy biorą mnie pod ramiona lekarz pułkowy dźwiga swój i mój plecak, i powoli idziemy w szyku około trzy kilometry. Ładujemy się do pociągu i zadowoleni śpiewamy nasze wojskowe ulubione piosenki. Międszówa ludność zżyła z nami i korzystała wiele z naszej obecności

Przyszli nas pożegnać. Pozostaną im wspomnienia po nas i po tych którzy tu pozostali na zawsze. /Dziś po nich nie ma śladu, tymi grobami nikt się nie interesuje. A przecież byli to ludzie, którzy za Polskę oddali swe życie/.

Ulokowano mnie na górnej półce, aby^m miał więcej świeżego powietrza wiejącego z otwartego okna. Upał niesamowity a osłabienie krancowe. Czuję się jak dorzynane cielő. Otrzymuję jakiś lek na wzmocnienie i jest mi trochę lepiej. Jedziemy kilka dni mijając gołą pustynię Kara-Kum, gdzie nie ma nawet powiewu wiatru. Jestem ugotowany, ale trzyma mnie nadzieja, że już niedługo pożegnam ten niegościnnie kraj.

Wreszcie dojechaliśmy do Krasnowodzka położonego nad Morze Kaspijskim. Pociąg nieomal wjechał w złocisty, rozżarzony piach wybrzeża. Temperatura panowała tutaj niezmiernie wysoka. Pozostawiono nas z bagażem wojskowym na wprost plaży aż do momentu załadowania na oczekujący nieopodal statek. Wojsko rezebrało się i opalało. Ja zipałem jak poderżnięte kurczę. Niestety, w wodzie morskiej nie można było nawet nóg zamoczyć, bo była tłusta od ropy i strasznie brudna. Dowódcy jednostek wojskowych przynosili coraz to nowsze zarządzenia. Najpierw należało zdać posiadane dodatkowe bagaże podręczne. Następnie polecono oddać wszystkie dokumenty rosyjskie oraz posiadane pieniądze. Poszła wnet pogłoska, że u kogo znajdą w kieszeni chociaż jednego rubla pozostanie on w Rosji i pożegna się z wyjazdem. Wszys^{cy} więc wywracali kieszenie, aby nie pozostał jakiś parszywy rubel, który przekreśliłby szanse wyjazdu. Te zdane ruble ładowano do worków i miały być przeznaczone dla tych, co pozostają nadal w ZSRR. Przy jednym ze stólików wpiśwano nawet na listę nazwiska zdających pieniądze i ilość przekazanych rubli. Tak więc na plaży panował ożywiony ruch. Ja nadal czułem się nienajlepiej, ale pociszała mnie swia

domość, że nareszcie wyjeżdżam, a tym samym uratuję się od niechybnej śmierci. Siedziałem bezradnie na piasku zdany na łaskę kolegów. Ale w końcu nastał wieczór, który ukrócił dzienną spiekotę. Zrobiło się łagodnie i ciepło a Morze Kaspijskie łagodnie falowało wprost przed naszymi oczyma. Ogarnęła mnie zaduma, że jadę nie wiedząc co się dzieje z mamą i bratem pozostawionymi w kolchozie Sarmyk.

W tym miejscu pragnę znów przytoczyć fragment książki Józefa Czapskiego "Na nieludzkiej ziemi" omawiający przyczyny wyjazdu Armii Polskiej z ZSRR.

"...W marcu 1942 roku szła na najwyższych szczeblach zacięta walka o samoistnienie naszego wojska w Rosji sowieckiej. Dowództwo Armii otrzymało nagłą wiadomość z intendentury środkowoazjatyckiego okręgu wojskowego, że od dwudziestego b.m. będziemy otrzymywać tylko 40.000 porcji żywnościowych, gdy jeszcze w grudniu Stalin zgodził się na rozbudowę wojska do 92.000 kiedy w początku tegoż marca mieliśmy już 75.000 żołnierzy, armia przy tym z dnia na dzień wciąż rosła. Wbrew zakazom, coraz to nowym obostrzeniom na kolejach, nie było dnia, by dalsze partie rekrutów nie docierały do naszych oddziałów. Nagłe zmniejszenie o połowę racji żołnierskich stawiało wojsko w sytuacji tragicznej. Anders zwrócił się natychmiast telegraficznie z prośbą na audiencję u Stalina. W odpowiedzi otrzymał telegram z 9 marca, w którym Stalin zapraszał go na konferencję do Moskwy, tłumacząc konieczność zmniejszenia ilości porcji nie otrzymaniem obiecanych dostaw zboża amerykańskiego z powodu wybuch wojny japońskiej. Pomimo to, pisał Stalin - ja z dużymi trudnościami wywalczyłem zachowanie dzisiejszego poziomu zaopatrzenia Polskiej Armii w ZSRR do 20 marca 1942 roku. Po tej dacie trzeba będzie zmniejszyć liczbę porcji Polskiej Armii co najmniej do 40 tysięcy. Anders w parę dni później wyleciał do Moskwy i

został przyjęty na Kremlu 18 marca. Stalin zażądał wówczas zmniejszenia stanu armii z siedmiu dywizji/cyfry ustalonej w grudniu/ do 3 dywizji i jednego pułku zapasów. ^{Reszta} Reszta już zaciągniętych żołnierzy miała wracać do kółchozów, do kopalń do lasów, z powrotem do roboty. Anders dobrze wiedział, że to początek likwidacji wojska w ramach ustalonych w grudniu umów podczas pobytu gen. Sikroskiego w Moskwie. Anders wiedział, że jeżeli pójdzie na tę decyzję, to skazuje z dnia na dzień połowę swych żołnierzy na coś co było dla wielu z nich gorsze niż śmierć, na głodowe niewolnictwo. Podczas półtoragodzinnej audiencji, zdołał on osiągnąć zgodę dyktatora na ewakuację do Iranu tych wszystkich oddziałów, których Rosja nie jest w stanie wykramić ^z /.../.

/... Andersowi chodziło o walkę:

- 1/ by stworzyć realne warunki dla organizacji nowoczesnej Armii;
- 2/ by uratować ludzi.

Nie wierzył już wówczas, by można było doprowadzić do stanu gotowości bojowej wojsko polskie w sowietach, gdyż to wojsko nie miało nadziei dostania, ani sprzętu, ani czołgów, ani lotnictwa. Kiedy jeszcze w niektórych oddziałach pałki zastępowały karabiny, kiedy racje żywnościowe zmniejszono o połowę, i co drugi żołnierz miał rany od cyngi, kidy na tyfus i dezynterię w samym tylko turkiestanie więcej zginęło polskich żołnierzy, niż pod Monte Cassino podczas bojów..."

Taka była prawda, do której później nie przyznano się, a nawet twierdzono, że Armia Polska siłą zbrojną wymogła zezwolenia na wyjazd do Iranu pozostawiając osamotnionego przyjaciela walczącego przeciw hordom niemieckim. Kto zna prawdę ten nigdy w te bzdury nie uwierzył, ale głos prawdy nie miał prawa wychodzić na światło dzienne.

Opuszczałem kraj nędzy i poniewierki, w którym spędziłem dwadzieścia dziewięć miesięcy. Pieśń śpiewana na Syberii przedstawiała być aktualna. A słowa jej brzmiały następująco:

"...Czy przyjdzie nam umrzeć na polu

Czy w tajgach Sybiru gdzieś gnić..."

Teraz będą aktualne słowa następnej strofy:

"...Z trudu naszego i znoju

Polska powstanie by żyć."

W kraju tym poznałem ciężką pracę fizyczną - nieraz ponad ludzkie siły. Poznałem rozmaitych prostych ludzi - Polaków, Żydów, Rosjan, Kirgizów. Żyło mi się z nimi dobrze. Najważniejsze, że widziałem jak wre tam normalne, chociaż nieraz ciężkie, prymitywne życie. "Nužno rabotać" pozostaje w tym kraju. Ja jadę w daleką nieznaną drogę, aby pomścić to wszystko, co przyżyłem, zemścić się na tych, którzy do tego doprowadzili. Żegnaj kraju nędzy i biedy na zawsze. Żeganaj najbliższa sercu mamu rodzinę najbliższą, o której nie wiem i nie mam pojęcia, co porabia, jak daje sobie radę bez mojej pomocy.

Ostatnia pomoc na ziemi rosyjskiej nie należała do najwygodniejszych. Spaliśmy na piasku z plecakiem pod głową, w ostrym pogotowiu. Rano rozpoczęto załadunek wojska na statek. Staliśmy w długim szeregu oczekując wejścia na pokład. Przy trapie stoją oficerowie NKWD, sprawdzają dokumenty i liczą opuszczających ten niemiły i obcy dla nas kraj. Zajęto dolny i górny pokład, a wojsko gęsto siedziało nawet na schodach i wszystkich korytarzach. Załadunek szedł sprawnie i statek szybko został wypełniony ^{same} po ~~brzegi~~ burty. Załadowano chyba dwukrotną liczbę pasażerów przewidzianych na statek o takim tonażu.

Pogodę mieliśmy wspaniałą, bezsztormową i słoneczną. Wojsko opalało się i ^{korzystało} kąpało w kąpieli słonecznej. Nadal czułem się źle i ledwie żyłem. Koledzy opiekowali się mną i udzielali

INNY ŚWIAT.

doraźnej pomocy - karmili i doprowadzali do toalety. Pragnąłem aby jak najszybciej znaleźć się na terenie normalnego państwa gdzie będzie można liczyć na odpowiednią opiekę lekarską. Po trzydziestu dwóch godzinach morskiej podróży statek stanął na redzie irańskiego portu Pahlawi, skąd motorówka grupkami przewoziła nas na ląd. Z kolei ciężarówki przewoziły żołnierzy do pobliskiego obozu przejeżdżając przez miasto. Ulicami snuł się tłum umęczony upałem dnia. Przecież był to 15 sierpnia 1942 roku. Przed sklepami i wzdłuż drogi do obozu stały stoły uginające się pod piramidami mandarynek, pomarańcz i nieznanym jeszcze granatów owocowych. Iropik anonsowały nie tylko ^{sterty} ~~stosy~~ południowych owoców, lecz również całe stosy jaj gotowanych na twardo. Wystarczyło też spojrzeć na przechodniów, aby rozwiać wszelkie wątpliwości, że Europa pozostała gdzieś niesłychanie daleko. Kaftany i chałaty, pantofle i zwoje. Niewieście stroje z przelonami na twarzy oraz męskie szarawary, tak kosztownie udrapowane, że aż dziw. Zastanawiałem się, jak nogi przy ubieraniu trafić mogły w odpowiednie otwory. Cała ta egzotyka ubioru dominowała wśród ulicznego tłumu. Zdawało się, że jesteśmy w świecie zaczarowanej bajki, pełnej owoców i jada. Pożeraliśmy to wzrokiem i nie wierzyliśmy wprost własnym oczom, że wystarczy sięgnąć tylko ręką, aby dotknąć tylu wiktuałów. Po blisko dwupółletnim pobycie w kraju nędzy, wyglądało to na zjawę senną.

Lecz między tym kolorowym tłumem pojawiają się nagle mundury dobrze nam znanych "krasnarmiejców" z bronią na ramieniu. Nie wiedzieliśmy, że ten rejon Iranu był sektorem rosyjskiej okupacji. Wiedzieliśmy jednak, że w stosunku do nas nie mają żadnych praw i jesteśmy już uwolnieni z ich opieki. Z politowaniem patrzyliśmy na tych biedaków żyjących w kraju nędzy i przemocy opartej na silnych wpływach milicyjnych.

Obóz nasz usytuowany był na wybrzeżu, ale z dala od portu. Na szerokiej chyba na kilometr plaży ustawiono niezliczoną ilość czegoś w rodzaju altan. Każde takie pomieszczenie składało się z daszku i trzech ścian. Budulcem były maty trzcinowe przybite do drewnianych pali. Również mata leżała położona na sypkim złocistym piasku i stanowiła podłogę. Brak czwartej ściany pozwalał wpatrywać się przed zaśnięciem w nieboskłon ^{usiądnę} gwiazdami i wdychać czyte morskie powietrze.

Jeszcze tego samego dnia wydano nam tłustą zupę z ryżem i pięknie opakowaną w czerwonozłocisty papier kostkę prasowanych daktyli. Na moje schorzenia żołądkowe nie był to posiłek właściwy, ale zjadłem wiedząc jaki będzie skutek. Szaloty znajdowały się w tylnej części tych prowizorycznych budowli, osłoniętych ogromnym parawanem mat. Oczywiście, że często odwiedzałem ten obiekt, ale byłem coraz bliżej chwili, kiedy otrzymam właściwą opiekę wraz z dietą.

Dostarczono nasze bagaże ze statku i rozebraliśmy je według wcześniejszego oznakowania. Do Pahlawi przybyliśmy w dzień ^{chnie} święta narodowego ~~Polski~~ ^{chwycę} ~~zwanego~~ ^{chwycę} powsze "cud nad Wisłą". W roku 1920 wojska rosyjskie zostały odparte z Warszawy i osławiona Armia Czerwona poniosła ostateczną klęskę. Nie mogli nam tego zapomnieć, ⁱ gdy wkroczyli w 1939 roku szukali tych żołnierzy, którzy brali udział w walce nad Wisłą. Biada była tym, komu udowodnili udział w przepędzeniu armii niosącej nam przecież, "wolność i wyzwolenie" spod jarzma "Polskich Panów". Ładnie byśmy wyglądali żyjąc dwadzieścia lat w takiej wolności jako jedna z republik radzieckich. Data przybycia do Pahlawi wiązała nas z tym dawnym cudem, gdyż obecnie znów cudem zostaliśmy wyrwani od niechybnej śmierci na tej "Nieludzkiej Ziemi".

Wkrótce wydano nam suchy prowiant na cały dzień składający się z białego chleba, boczku z puszki, kornel bifu, sera i ~~du~~ ^{nu} oraz paczuszek prasowanych daktyli.

Mijały dni naszej przymusowej kwarantanny i nic się nie działo. Wyczekiwaliśmy na przejście do tak zwanego obozu czystego. Najbardziej dokuczał żar lejący się z bezchmurnego nieba. A słomiane daszki były nader skromną osłoną przed promieniami słonecznymi. W dzień zdejmowaliśmy ściany boczne, aby mieć trochę lekkiego powiewu powietrza, dzięki czemu mogliśmy lżej oddychać. Do tego rozpalone morze piasku nie pozwalało chodzić boso, a w którym można było ugotować jajko na twardo. W butach też nie mogliśmy chodzić, bo wpadało się po same kostki. Otrzymaliśmy też zaliczkę żywności w postaci nieznanym nam "tumanów". Na obiad znowu baranina z ryżem, a na kolację herbata gotowana w tych samych kotłach, zanosząca się od zapachu i smaku południowego obiadu.

W obozie brudnym spędziłem zaledwie kilka dni, bo na głowie i na szyi wysypały mi się wrzody, jak grzyby po deszczu. Także chodziłem ze sztywnym karkiem. Ale nadal nie było jakoś widać oczekiwanej pomocy lekarskiej. Rozumieliśmy, że jesteśmy podejrzani o różne choroby zakaźne. A przecież przed samym wyjazdem z Krasnowodsku otrzymaliśmy nową bieliznę, ubrania i koce. Byliśmy w sytuacji o niebo lepszej, niż poprzednio.

Któregoś dnia, całkiem przypadkowo spotkał i rozpoznał mnie mój nauczyciel z Białaszewa Wacław Poniatoński w stopniu porucznika. Dowiedziałem się, że ich rodzinę spotkał taki sam los jak nas i w czerwcu 1941 roku ostatnim transportem zostali wywiezieni w głąb Rosji. Jeszcze przed samym wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej nie darowali Polakom i taszczyli dorosłych wraz z dziećmi na poniewierkę i zagładę. Chodząc po obozie poszukiwał swej rodziny licząc się z tym, że powinna również znajdować się na terenie Iranu. I miał rację, bo w krótkim czasie odnalazł swych najbliższych na nowej drodze do Polski. W telegraficznym skrócie opowiedzieliśmy nasze przeżycia

i moją cierniową drogę w chorobach i bezgranicznym wyczerpaniu sił. Byłem szkieletem obciążonym owrzodzoną skórą. Wiedziałem, że bardzo mi współczuł i obiecał też, że będzie szukał mojej mamy i brata.

Na terenie obozu znajdowało się biuro poszukiwań i tam przypadkowo spotkał moją mamę, która z kolei poszukiwała mnie. Jakże zawiłe są ludzkie losy i kierująca nimi ręka Boska. Gdyby nie choroba tyfusowa, wyjechałbym pierwszym rzutem i nigdy nie spotkałbym się z mamą, a może nawet bym nie wiedział czy kiedykolwiek wyjechała z tego przeklętego kraju. Poniatowski podał jej mój adres i mama będąc również w obozie brudnym nie miała problemu, aby mnie odnaleźć.

Pewnego dnia ujrzałem przed sobą mizerną i wychudzoną kobietę z chłopcem ubranym w jakieś łachmany. Instykt mój od razu rozpoznał moją matkę i brata, którzy nie wyglądali aż tak źle, kiedy ich żegnałem idąc do wojska wymionego jak z bajki. Oni wyglądali strasznie, lecz ja jeszcze gorzej. Byłem zaledwie widmem człowieka. W pierwszym jednak momencie nie zwracaliśmy na swój wygląd większej uwagi. Uściskiem i pocałunkiem we łzach nie było końca. Byliśmy szczęśliwi i płakaliśmy z radości, że jesteśmy razem i że wyjechaliśmy z Rosji. Może Bóg da, że nigdy już nam w oczy nie zajrzy głód i taka poniewierka. Od czasu mego wyjazdu do wojska nie wiedzieliśmy o sobie nic. A od tego czasu minęło zaledwie siedem miesięcy. Kiedy minęła pierwsza fala radości zaczęliśmy bardziej sobie się przyglądać. Mama dosłownie rwała włosy na głowie patrząc na moje szczątki człowieka. Długo opowiadaliśmy sobie swoje przeżycia. Po moim odejściu do armii mama postanowiła jechać tam, gdzie jest wojsko. W międzyczasie dowiedziała się, że rejestrują rodziny wojskowych na wyjazd za granicę ZSRR. Wiedziona przeczuciem, że i ja tam

muszę być postanowiła również wyjechać. Stalin zgodził się na wyjazd rodzin wojskowych i kto mógł starał się jak najszybciej opuścić ten kraj. To co było możliwe zostało sprzedane i z małym bagażem ostatnim transportem samochodowym przez Afganistan dostała się mama z bratem do Iranu. Droga merska była już zamknięta, a limit wyjazdów już wyczerpany. Kto nie zdążył musiał pozostać w Rosji.

Od dnia naszego spotkania mama odwiedzała mnie codziennie. A było to możliwe, bo obóz dla rodzin cywilnych znajdował się w pobliżu naszego obozu przejściowego. Byłem z tego powodu bardzo zadowolony i dodawało to mi siły. Miałem też większą nadzieję, na to że przetrwam.

Do naszego obozu przychodzą żołnierze Czerwonej Armii. Rozmawiamy z nimi. Obdarowujemy ich papierosami i angielskimi sucharami. Nie czujemy do nich żalu i urazy. To jest nieszczęśliwy i ujarzmiony naród. Przekonaliśmy się o tym i poznaliśmy ich serca będąc z nimi na co dzień w syberyjskim obozie pracy. Żołnierze ci na własne oczy mogli się przekonać gdzie nieszczęśliwych Polaków zaprowadziła ich "sowiecka" władza. Podarunki przyjmowali skrycie, ale chętnie, bez żadnych skrępowań, dziękując nam "spasibo-wsiewo haroszewo". Miło było słyszeć słowa te kierowane do Polaka tułacza.

Po wygaśnięciu dwutygodniowej kwarantanny przechodzimy do obozu czystego. Grupami zostajemy kierowani do łaźni polowej zainstalowanej w obszernych namiotach. Przed wejściem do łaźni zdejmujemy umundurowanie wydane w Krasnowodsku oraz płaszcze, koce i inne przedmioty, a następnie składamy na wskazane miejsce. Był to pokaźny stos garderoby wojskowej, która później została oblana benzyną i spalona. W ten sposób zapobiegano rozprzestrzenianiu się wszy i innych zarazek chorobowych. Wchodzimy do namiotu w stroju Adama,

gdzie zostaje dokonana kosmetyka fryzjerska całego ciała. Kiedy wystrzyżeni, wymyjni pod prysznicem, wychodziliśmy z łazienki otrzymywaliśmy nową bieliznę osobistą, kompletne umundurowanie oraz koce. Tamte stare spłonęły. Teraz lekarze angielscy dokonują segregacji zdrowotnej. Chorzy zostają oddani pod opiekę lekarską. Zrozumiałe, że znajduję się wśród nich. Załadowano nas do sanitarek i cały ten transport skierowano do Teheranu. Wierzyliśmy w szybkie wyzdrowienie. Skończy się aktualne ruskie powiedzenie - "pomior Maksim, no i z ...nim".

W Teheranie zawieziono nas na lotnisko i ulokowano w ogromnych blaszanych hangarach, gdzie stały cztery rzędy łóżek przez całą długość. Sale - hangary były podzielone na różne działy chorobowe, jak w prawdziwym szpitalu. Położono nas na metalowych, typowo szpitalnych łóżkach zasłanych białą pościelą, która aż leniła od białości. Był to luksus, od którego przecież dawno odwykliśmy i zapomnieliśmy o takich warunkach. Pamiętając maty leżące na ziemi w Czok-Paku czuliśmy się tu jakoś obco, jak złodzieje którym los spłatał takiego figla. Leżeliśmy wychodzeni jakbyśmy wrócili nie z tego świata. A może rzeczywiście byliśmy już jedną nogą w zaświatach i tylko cudem zostaliśmy uratowani? Czyż nie byliśmy zapomniani i przeznaczeni na powolną śmierć?

Teraz moje położenie zmieniło się radykalnie. Jestem nareszcie pod wspaniałą opieką szpitala angielskiego. Sama atmosfera tego szpitala jest inna niż tam w krainie nędzy. Lekarze angielscy nie potrzebowali rozmawiać z nami po polsku. Oni potrafili rozmawiać z naszymi wycieńczonymi organizmami bez słów. Diagnozy były trafne. Zastosowano odpowiednią dietę zasilaną lekami i witaminami. Jedynym mankamentem w tych warunkach był upał, który dochodził 60-70 stopni Celsjusza. Drzwi hangarów były stale otwarte na oścież, aby umożliwić chociaż powiew wiatru dla ochłody. Żeby ochłodzić powie-

trze zawieszano koce, które polewano wodą, lecz mało to skutkowało. Koce szybko parowały i nie odczuwaliśmy ulgi. Pielęgniarki angielskie chodziły przy nas jak prawdziwe samarytanki i były gotowe na każde nasze skinienie lub wezwanie. Wszystko tu grało jak w zegarku. Przy mnie była jeszcze jedna opiekunka - mama. Została przywieziona do obozu dla rodzin cywilnych w Teheranie. Zaraz też mnie odnalazła i otoczyła swą opieką. Codziennie spędzała po kilka godzin przy moim łóżku przynosząc mi owoce cytrusowe i kompoty, których tutaj nam nie brakowało i wszystkiego co należy, mieliśmy pod dostatkiem. Obóz dla rodzin znajdował się w pobliżu szpitala i nie było trudności w jej przebywaniu ze mną.

Czułem się coraz lepiej i zacząłem nabierać sił. Nawet wrzody zniknęły gdzieś bez śladu. Mama widząc moją poprawę cieszyła się również i sama też wyglądała lepiej. Po jakimś czasie pozwolono mi wstać i mogłem wyjść na spotkanie z mamą i bratem, który stale mamie towarzyszył, ~~już o własnych siłach~~. W tym blaszanym szpitalu przeleżałem dwa miesiące i w listopadzie zostałem wypisany. Skierowano mnie do punktu zbornego bez komisji lekarskiej przyznając mi kategorię "A". Byłem więc zdolny do pełnienia służby liniowej bez żadnych ograniczeń. Rozstaliśmy się z mamą i bratem uradowani, że udało się nam przeżyć i w dalszą drogę do Polski ruszamy w pełni sił i nadziei na lepsze jutro. Oni pozostali w Teheranie, a mnie skierowano do miejscowości Khanakin z przydziałem do 7 pułku artylerii przeciwpancernej pod dowództwem ppłk. Antoniego Dołęgi-Cieszkowskiego.

12. KHANAKIN.

Była to nowo organizowana jednostka na terenie Iraku. Gdy przybyłem do ~~swej nowej jednostki~~ ^{niej} stało na jej terenie zaledwie kilka namiotów i mogłem śmiało powiedzieć, że zaliczam się do jednego z pierwszych żołnierzy tego pułku. Otrzymał

przydział do pierwszego dywizjonu drugiej baterii. W pierwszej kolejności na wzgórzu koło Khanakin kopaliśmy doły o wymiarach namiotów i głębokości ok. 80 cm. Następnie na dwu masztach rozpinano namioty mające podwójne dachy. Naokoło napinaliśmy^{je} linkami a ściany wokół były kołkowane. Podwójne dachy służyły do tego, aby był przewiew między brezentami i żeby słońce nie prażyło bezpośrednio na płótno dachu. Kołkowanie też było niezbędne, gdyż jak poszły "hamsiny", to piasek jak mąka hulał po namiocie i wdzierał się pod odzież. Nawet owijanie w koce nie pomagało. Było podobnie jak na Syberii w czasie burzy śnieżnej. Wkopywanie namiotów miało też duże znaczenie, gdyż bez wkopywania nie można było wytrzymać wewnątrz namiotów, taka była spiekota. Temperatura w słońcu nadal sięgała 60°C. i suche pustyne powietrze nie pozwalała oddychać.

W grudniu zaczęto z nas robić żołnierzy. Uczono chodzić i salutować całą ręką według regulaminu angielskiego oraz meldować się stukając obcasami. Następnie otrzymaliśmy krótkie karabinki angielskie i automaty typu "Tomson". Wkrótce też przydzielono ciągniki samochodowe z działkami przeciwpancernymi, tzw. "karuzelówki". Były to działa małego kalibru z możliwością obrotu o 360 stopni. Byliśmy dumni, że posiadamy tak wspaniałą broń. W okresie późniejszym przekonaliśmy się co prawda, że takie działa z takim kalibrem nadają się jedynie do strzelania do kaczek, a nie do niemieckich Tygrysów, czy Panter. Ale dobre i to na początek.

Nie znając siły uderzeniowej wojsk niemieckich sądziliśmy początkowo, że ta broń wystarczy do pokonania wroga. Dla wprawy fizycznej działka te ciągnaliśmy ręcznie poza obręb miejsca postoju pułku. Kopaliśmy doły strzeleckie dla tych pukawek i uczyliśmy się celować z nich do celów stałych.

i ruchomych. Przy wprowadzaniu działka do dołu strzeleckiego zdejmowano koła i wówczas można było prowadzić tym działkiem ogień naokoło obracając się jak na karuzeli. Cwiczyliśmy sprawnosć bojową przy obsłudze dział, które nazywano działoczynkami. Zależało nam, aby obsługa zgrała się jako całość i jak najszybciej mogła prowadzić ogień bojowy do wskazanego celu przez dowódcę zwanego działonowym. Obsługa składała się z pięciu osób a dowódca jako działonowy był w stopniu podoficerskim. Byli to kaprale lub plutonowi. Następne funkcje to - celowniczy, ładowniczy, amunicyjny i kierowca. Wykonywaliśmy te ćwiczenia na czas z odczepianiem działka od ciągnika, zajęciem stanowiska bojowego, zdjęcie kół, rozłożenie nożyc oporowych działka i zajęcie stanowiska przez załogę zgodnie z pełnioną funkcją. Początkowo szło to niesprawnie i balismy się o to, że ta "kolumbryna" spadnie na nogi lub kogoś przycisnie ^{albo} ~~tu~~ okaleczy. Ale z biegiem czasu nabieraliśmy wprawy i działko było nam bardzo posłuszne - po prostu fruwało w naszych rękach jak piórko. Ja pełniłem funkcję celowniczego a działonowym był plutonowy Bułat zwany "poleszukiem", gdyż pochodził z rejonu Polesia.

Zajęcia bojowe opanowaliśmy szybko i gdy ciągnik z działkiem zajeżdżał na pełnym gazie w okolice stanowisk bojowych i padała komenda - "Załoga! Z wozu!" a działonowy krzyczał "Cel z prawej!", my zeskakowaliśmy prawie w biegu, odczepiliśmy działko i zajmowaliśmy stanowiska bojowe ^{mierzac} ~~celując~~ do wskazanego przez działonowego celu. W pustyni mieliśmy strzelanie do celu ruchomego. Była to makieta czołgu wykonana z ram obciążonych materiałem jutowym. Cel na linii ciągnięty był przez samochód a obsługa działka prowadziła ^{do niego} ~~ogień bo~~ jowy, ~~do tak pozerowanego celu~~. Następnie drugi samochód ciągnął ten cel na linie w drugą stronę i tak trenowaliśmy oprowadzając fechtunek bojowy. Równocześnie żołnierz przyzwyczaj

się do błysku ognia i huku strzału. Lubiłem tę zabawę bojową i byłem dobrym celowniczym. Jako osiemnastolatek ^{chystnie} ~~lubiłem~~ strzelanie i byłem zadowolony, kiedy chwalono mnie za dobre wyniki.

Teren w rejonie Khanakin, gdzie zostały rozmieszczone jednostki ^{Druhiego} Korpusu był skałisty i górzysty. Klimat, warunki zdrowotne, pustynne słońce oraz pory deszczowe, były gorsze od warunków w radzieckiej Średniej Azji. Bardziej dokuczliwe i męczące niż upały były burze piaskowe unoszące tumany kurzu i tworzące trąby powietrzne. Plaga jadowitych węży, skorpionów, złośliwych pajaków / "czarna wdowa", roje tzw. arabskich much i komarów oraz mnóstwo innych nie mniej groźnych insektów dawały się nam we znaki. Przy tym ciągły brak wody powodował rozwój chorób podzwrotnikowych - malarii i chorób jelitowych. To była właśnie ^{ta} "ziemia obiecana" do której gen. Anders wprowadził swoich żołnierzy-tułaczy.

W tych warunkach klimatycznych między godziną dziesiątą a szesnastą ustawały wszelkie prace fizyczne, umysłowe i szkoleniowe. Organizm ludzki w tym klimacie nie wytrzymywał. Przećiętne zużycie dzienne wody na żołnierza obliczone było na cztery litry. W tych warunkach jednostki polskie zabezpieczały północne obszary Iraku przed wdarciem się Niemców w kierunku Kaukazu przez Turcję lub przełęcz w pasmach górskich. Polskie oddziały szkoliły się i pełniły służbę wartowniczą strzegąc rafinerii, szybów i rurociągów naftowych. Stan etatowy armii wynosił 71.491 żołnierzy. Wielu jednak było chorych na malarię. W szpitalach przebywało 4.660 żołnierzy, z tego chorych na malarię ok. 4.000. Ja również nabawiłem się malaru i leczyłem się w przychodni pułkowej. W miesiącach jesienno-zimowych liczba chorych znacznie zmniejszyła się. Słońce przestało tak mocno prażyć i zaczęły padać deszcze.

W grudniu 1942 roku przybył do naszego dywizjonu nowy

dowódca w stopniu kapitana, który przybył do nas z Anglii. Nie znaliśmy go jeszcze, lecz w krótkim czasie przedstawił się nam i to z jak najgorszej strony. Zbliżyły się dla nas pierwsze w wojsku święta Bożego Narodzenia zawsze bardzo uroczyste obchodzone poza krajem. I chociaż w ZSRR nie obchodzono naszych świąt to wspomnieniami ^{zawsze} byliśmy z tymi, co zostali na ojczystej ziemi. Były to święta ciężkie, głodne i chłodne, bez opłatka a jedyne życzenia jakie były składane, to aby jak najszybciej wrócić do Polski. Dlatego wojsko postanowiło rozpocząć uroczyste obławanie już od Wigilii. Niektórzy dobrze popili dokonując zakupu śmierzącego araku od miejscowych Arabów. Do tego przed świętami otrzymaliśmy zwiększony przydział NAAFI/Navy Army and Fir Forces Institutes - organizacja wojskowa prowadząca m.in. kantyny i sklepy dla alianckich sił zbrojnych/co miało również wpływ na nasze gumowe nogi i zawroty głowy. Tu dodam, że najbardziej atrakcyjną i najwyższą cenioną przez żołnierzy działalnością NAAFI był regularny cotygodniowy przydział dla każdego żołnierza 150 szt. papierosów, 8 blaszanek piwa/a powyżej plutonowego 1 butelkę whisky lub dżinu/, gumy do żucia, mydeł, żyletek, czekolady, kalifornijskich kompotów. Wszystko to prawie za darmo, bo za grosze które miały podobno stanowić ekwiwalent za transport tych towarów. Była to więc forma uprzywilejowania żołnierzy walczących formacji sławiona przez nich w piosenkach i przysłowiach.

O godzinie dwudziestej trzeciej zbiórka w dywizjonach i maszerujemy na pasterkę odprowadzaną przez pułkowego kapelana. Na pasterce był obecny dowódca pułku ppłk Dołęga-Cieszkowski, który przyjmował raport od dowódców dywizjonów. Nasz dywizjon ze swym mocno okrojonym stanem osobowym wypadł miernie, gdyż spora część żołnierzy nie była zdolna utrzymać

się na nogach. Po uroczystej pasterce odśpiewano "Boże coś Polskę" i odmaszerowaliśmy do miejsca zakwaterowania czując nadchodzącą burzę. I faktycznie. Nie pozwolono nam się rozejść a dowódca dywizjonu zarządził zbiórke całości wraz z tymi co byli w namiotach i nie uczestniczyli w pasterce. Dowódca odebrał raport od dowódców baterii i rozpoczął mowę zapoznaną czą mniej więcej w następujących słowach: "~~Jestem~~ ^{Jestem} kapo ~~z~~ ^z pochodzenia Tatar. Przed wojną byłem dowódcą kompanii opóźnionych w Zambrowie. Zastrzeliko się dwunastu żołnierzy. Ja wam jajka wstawię. W tył zwrot! Rozejść się!" Do tego gdy przemawiał zacinał się miejscami, co wywołało na nas piorunujące wrażenie. Od tego momentu nosił przydomek "Iwan Groźny".

Święta spędziliśmy jeszcze spokojnie i wiedzieliśmy, że coś niedobrego nastąpi zaraz po świętach, zgodnie z wojskową zasadą "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego". Z niecierpliwością czekamy na rozwój wydarzeń. Ja w tym ~~ty~~ dniu pełnię służbę wartowniczą w dywizjonie. Wszystko wygląda następująco: Zbiórka na placu ćwiczeń. Działka ppanc. wyciągnięte na miejsce ćwiczeń za pomocą rąk. Dowódca dywizjonu podaje komendę "Pogotowie gazowe!" a następnie "Gaz!". Maski gazowe włożono na twarz przy temperaturze 50°C. Następnie podano kierunek marszu z ręcznie ciągnionymi działkami i komendę "Biegiem marsz!". Brak jakiegokolwiek powiewu wiatru i południowy upał, maski gazowe, duży wysiłek fizyczny, robią swoje. Kilku żołnierzy nie wytrzymuje i padają omdleni. Pot po twarzy i całym ciele lał się strumieniem. Stare wojsko, trochę przezwiejsze, włożyło pudełka z zapalnikami między brode a maskę, dzięki temu mogli chociaż trochę złapać świeżego powietrza. Tylko warta uratowała mnie od tej wątpliwej przyjemności. Jednak nikt do nikogo nie miał żalu i wiedzieliśmy, że w woj

jsku nie ma żartów. Trzeba uważać, żeby następnym razem nie podpaść.

W pobliżu naszego miejsca postoju jakaś jednostka wojskowa w płaskiej skale na wysokości ok. 20 metrów wykuła orla z napisem upamiętniającym pobyt Wojska Polskiego na tej pustynej ziemi, ziemi upałów i hulających chamsinów. Dawały się one nam we znaki zasypując oczy a w ustach ciągle był obecny trzeszczący w zębach piasek. W namiotach koce ciągle leżały pod grubą warstwą piasku a posiłki codzienne zawsze zawierały jego domieszkę. W Polsce o tej porze zima była w pełni a tutaj za to częściej padały deszcze i trochę mniej grzało ~~to~~ tropikalne słońce.

Pewnego dnia niespodziewanie przybył do mnie w junackim mundurze brat. Został skierowany do szkoły lotniczej w Anglii i będąc w Khanakinie odszukał mnie. Mogliśmy wspólnie spędzić kilka dni i porozmawiać. Okazało się, że mama została skierowana do Tanganiki do obozu dla rodzin cywilnych. A więc zostaliśmy rozsypani po świecie i nie wiemy, kiedy znów zbierzemy się i będziemy razem. Wiem, że im się nic nie stanie i na pewno przeżyją, ale ja jestem przygotowany na najgorsze, na "mięso armatnie" i na prawdę nie wiem jaki los mnie czeka. Brat po krótkim pobycie wyjechał, a ja w dalszym ciągu przygotowywałem się do roli żołnierza.

Zajęcia wojskowe rozpoczynały się od pobudki o godz. 6⁰⁰ odśpiewaniem na apelu porannym "Kiedy ranne wstają zorze". Następnie mycie, śniadanie i od 7⁰⁰ do 10⁰⁰ zajęcia ćwiczebne. Od 10⁰⁰ do 16⁰⁰ przerwa tropikalna. Kolacja o godz. 19⁰⁰ i apel wieczorny o godz. 21⁰⁰, z odśpiewaniem modlitwy wieczornej o następującej treści:

O Panie, któryś jest w niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,

Wołamy z cudzych stron do Ciebie,

O polski-dach, o polską broń.

Ref. O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,

Do wolnej Polski nampowrócić daj,

By stał się twierdzą nowej siły

Nasz dom, nasz dom.

O Boże, usłysz skargi nasze

O usłysz nasz tułaczy śpiew

Znad Wisły, Warty, Niemna, Buga,

Męczeńska do cię płynie krew.

Ref. O Boże, skrusz ten miecz...

Były to dla nas piękne słowa, mówiące o naszej dalekiej kochanej Ojczyźnie. Z piersi wyrwały się westchnienia za temi, co pozostali w kraju i pieśń ta roznosiła się echem chóralnego męskiego śpiewu we wszystkich stacjonujących ^{tu} jednostkach wojskowych. Przyjemnie jest podróżować i zwiedzać nieznanne kraje, mając to przekonanie, że w każdej chwili jest możliwość powrotu na "Ojczyzny łono". A tutaj się jest tylko tułaczem i marzycielem.

3. W OCHRONIE SZYBOW NAFTOWYCH.

Pewnego dnia otrzymujemy rozkaz wymarszu. Zwijamy namioty i ładujemy je na samochody ciężarowe, a sami sadowimy się na ciągniki dziełek ppanc. wraz z całym sprzętem i wyposażeniem bojowym. Wyjeżdżamy kolumną samochodową całego pułku do miejscowości Kirkuk w okolicy Bagdadu - Mosulu. Jak się później okazało naszym zadaniem była osłona rafinerii ropy naftowej przed desantem niemieckim. Kirkuk jest stolicą irackiego zagłębia naftowego, gdzie znajdują się potężne rafinerie, skąd nafta odprowadzana jest rurociągami przez Syrię, Liban, Jordanię i Palestynę do portów Morza Śródziemnego. W tym czasie eksploatacja złóż naftowych w Iraku należała

do Anglo-Irackiego Towarzystwa Naftowego, które było faktycznym władcą Iraku. Czerpało ono olbrzymie zyski, szczególnie w okresie wojny. A tymczasem obywatele Iraku - gospodarze tych ziem - żyli w zacołaniu i nędzy. Nasz tutaj pobyt służył do zabezpieczenia brytyjskich interesów powiązanych z tym Towarzystwem, które zapewne dostarczało paliwa wojskom brytyjskim. Nafta dla imperium brytyjskiego była tym, czym jest krew dla żywego organizmu. W okolicach naszego obozu i na ćwiczeniach terenowych widziało się ognie pęfometrowej wysokości palącego się gazu ziemnego. Gaz ten wydobywał się bezpośrednio z wypalanej słońcem i spękanej ziemi. Płonął tygodniami i miesiącami świadcząc o ropodajnym bogactwie tych terenów. Te ogniste pochodnie, szczególnie w nocy, robiły dziwne wrażenie.

W pierwszej połowie 1943 roku otrzymaliśmy nowy sprzęt i nowoczesne uzbrojenie. Były to działa ppanc. o średnicy ^{dziata} 17 ~~17~~. ^{76 mm} W stosunku do dział poprzednich wyglądały bardziej imponująco i miały większą siłę przebijania. Szkolenie nie ustawało ani na chwilę. Korpus miał być całkowicie zmotoryzowany, to też na gwałt, szkolono kierowców. Irak wydał mi się krajem smutnym, słabo zaludnionym i o niskiej kulturze. Wielkie obszary tego kraju wyglądały jak powierzchnia księżyca. Jechało się wąską drogą prowadzącą przez pustynny kraj, dziki i bezludny, pokryty pagórkami i jakby skalistymi kraterami. Jednak same okolice Kirkuku były przyjemniejsze ze względu na częstsze opady deszczu, a tym samym i więcej zieleni. Widać tutaj było więcej ludności tubylczej, do czego w pewnym stopniu przyczyniała się obecność naszego wojska, gdzie stały miasteczka namiotów zamieszkałe przez nasze oddziały.

W tym okresie, to jest w pierwszej połowie 1943 roku część Iraku, w której stacjonowały polskie dywizje, była jednym wielkim obozem i placem ćwiczeń. Rejon Mosul-Kirkuk był zgrupowa-

niem całego ^{Drupego} ~~II~~ Korpusu, którego dowódcą był nadal gen. Władysław Anders.

Wiosenne upały dawały się nam we znaki i słońce prażyło niemilosiernie. Już w kwietniu nadeszło gorące lato, a z nim zaczęły szterzyć się znów choroby. Duży wysiłek włożony w szkolenie wojska oraz upały spowodowały pogorszenie się stanu zdrowia wojska. Powróciła epidemia malarii, chorób jelitowo-żółtkowych, porażen słonecznych, na które w sumie chorowało blisko 8 tys. żołnierzy. Los nie był łaskawy dla żołnierza polskiego marzącego o jaknajszybszym wyruszeniu do walki z nieprzyjacielem na kontynencie europejskim, skąd było ^{by} już blisko do kraju..

W czasie trwania godzin tropikalnych wyjeżdżaliśmy samochodami nad rzekę Tygrys. Pomimo suszy rzeka była pokaźnych rozmiarów, lecz jej woda miała mulisty kolor. Z rozkoszą pluskaliśmy się w tej wodzie, a gdy ogarniało nas zmęczenie odpoczywaliśmy na piasku pod osłoną namiotowego płótna. Stawialiśmy obok siebie dwa samochody w odległości 4-5 metrów i między nimi rozpinaliśmy namioty, które chroniły nas przed żarem palącego słońca. Między nami krążyli Arabowie i ich dzieci sprzedające za grosze "aranczi". Korzystaliśmy z ich usług i kupowaliśmy te smaczne i soczyste owoce. Wojsko odpoczywało i nabierało siły. Ale z nudów szukaliśmy jakiegoś rozrywkowego zajęcia. Otóż rzeką przepływały tratwy sporządzone z grubej siatki wewnątrz której znajdowały się arbuzy. Arabowie przewozili te owoce transportem rzeczonym do Bagdadu. Był to bardzo racjonalny sposób, gdyż przewóz był bezpłatny a owoc zanurzony w wodzie był świeży i nie wysychał na palącym słońcu. Każdy Arab który przepływał w godzinach naszego tropikalnego odpoczynku obowiązkowo musiał postradać kilka arbuzów. Nie czyniono tego złośliwie, lecz z nudów dla zabawy. Gdy rzeką nadpływała trat-

wa kilku żołnierzy podpływało otaczając ją ze wszystkich stron a jeden z nich przecinał nożem kilka oczek siatki, z której wysuwały się arbuzy. Arab nie mógł dać sobie rady i nie pomagało wzywanie Allacha i opędzanie się od żołnierzy którzy na jego krzyki w ogóle nie reagowali. Przy okazji zdobywaliśmy kilka pysznych soczystych owoców, które w tym upale nie były rzeczą do pogardzenia. Obserwujący z brzegu całe to widowisko mieli wiele uciechy a śmiech dla wojska zawsze jest potrzebny.

Najgorszą plagą w tym regionie były skorpiony i komary roznoszące zarazki malarii. Przed komarami chroniły nas moskity w postaci ^{gęstej} siatki rozciągniętej w namiotach nad każdym posłaniem. Jednak spanie w nocy pod tą siatką było nie do wytrzymania. Moczyliśmy je w wodzie, żeby było lżej oddychać lecz niewiele to pomagało, gdyż siatka szybko wysychała. Otrzymywaliśmy dodatek odżywczy w postaci skondensowanego mleka, sucharów i owoców. Obowiązkowo łykaliśmy pigułki przeciw malarii, ale to mało skutkowało - wojsko i tak masowo chorowało na febro-trzęsącą chorobę. W tych upałach ciało wydawało nadmierną ilość potu wraz z dużą zawartością soli. Noszone przez nas koszule tropikalne z przewiewnego materiału wyglądały jak pancerze sztywne od soli. Codziennie musiały być prane, ale za to z suszeniem nie było kłopotu, gdy po upraniu w rękę można było je wysuszyć i spowrotem ubrać żeby chronić ciało przed lejącymi się z nieba promieniami słonecznymi. W kantynach do picia można było kupić wodę z lodem, ale znowu lód źle wpływał na żołądek i następowała reakcja w postaci biegunki. Wodę przechowywaliśmy w płóci- nych workach uszytych z gęstej i nieprzepuszczającej ~~wod-~~ tkaniny, które w czasie jazdy samochodem wywieszona na zewnątrz samochodu były chłodzone powietrzem i w ten spo-

sób woda nadawała się do picia. Ale i tak była wstrętna, bo czuć ją było materiałem z worka i chlorem. Wody niechlorowane pić nie było wolno.

Poza normalnymi zajęciami i ćwiczeniami pełniliśmy wartę przy rafineriach znajdujących się w pobliżu naszego miejsca zakwaterowania. Służba wartownicza trwała 24 godziny a wartownicy zmieniali się co dwie godziny, a w wyjątkowych upałach zwłaszcza w czasie godzin tropikalnych, co godzinę. Nerwy wartowników były stale napięte, gdyż w tym rejonie działała piąta kolumna niemiecka a wielu Arabów pracowało na jej usługach. W początkowej fazie służby, gdy żołnierze nie zdawali sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, znajdowano rano wartowników z poderżniętymi gardłami. Trzeba przyznać, że Arabowie poruszali się po pustyni cicho jak koty i skradali się niezauważani i podstępni. Zazwyczaj jeden z nich kierował uwagę wartownika w inne miejsce, a drugi podczołgawszy się wykonywał skok z tyłu i jednym cięciem noża pozbawiał go życia a następnie zabierał mu broń. Nic dziwnego, że w tych warunkach nastąpiła zmiana regulaminu zezwalająca wartownikowi na użycie broni palnej już po pierwszym ostrzeżeniu. Nie zawsze to jednak pomagało i w związku z tym po godzinie dwudziestej drugiej strzelano już bez ostrzeżenia. Specjalistami w nożownictwie ^{i kradzieży} byli Kurdowie. Wypadków ^{zaginięć} ~~kradzieży~~ broni małowkalibrowej, a nawet działek artyleryjskich, które ^{znikły} ~~ginęły~~ najczęściej w nocy, było sporo. Złodziej podchodził cichutko, zakładał linkę do zaczepu działa a drugi ^{kułec} ~~był~~ ucze pionowy ^{de} osła. Na oczach wartownika działko samo odjeżdżało z miejsca swego postoju, ku jego zdumieniu. Z tych powodów noce wartownicze były koszmarne i niebezpieczne.

Nie odczuwałem już skutków poprzednio przebytych chorób i nękała mnie jedynie trzęsawka malaryczna, tak zresztą

jak wielu innych kolegów. Byłem młody i liczyłem zaledwie dziewiętnaście lat a szkoła życia, jaką przegżyłem w Kraju Raczyńska ze mnie dobrego żołnierza. Za wyróżnienia w zajęciach i opanowaniu regulaminów wojskowych dowódca skierował mnie do szkoły podoficerskiej przy naszym pułku. W szkole podoficerskiej byli sami żołnierze - pistolety, jak nas nazywano. Owszem, dostawaliśmy w kość, lecz co to znaczy dla nas młodych i chętnych do wszystkiego. Wiemy jedno, że poznajemy tajniki wiedzy wojskowej, która wkrótce przyda się nam na polu walki. Szkoła trwała trzy miesiące a jej zakończenie nastąpiło uroczystie w obecności dowódcy pułku. Otrzymałem awans na bombardiera i cieszyłem się z otrzymanego jednego paska. Fakt ten miał miejsce 8 maja 1943 roku i tak się składało, że był to dzień moich imienin...

Po części oficjalnej wraz z moim serdecznym przyjacielem bombardierem Suszakiem opuściliśmy uroczystość zakończenia szkoły i udaliśmy się do namiotu na tradycyjną lampkę wina. Jak się łatwo domyslić doliczono się, że nas nie ma na uroczystości i na drugi dzień obydwaj zostaliśmy przedstawieni do raportu ~~karnego~~ przed oblicze samego "Iwana Groźnego", czyli kapitana Wołyniaka. Rozmowa trwała krótko i wcale nie uwzględniono mojej uroczystości imienionowej. Za samowolne opuszczenie terenu szkoły otrzymaliśmy po trzy godziny stójki pod karabinem, do tego w samo południe i w pełnym rynsztunku, czyli z plecakiem ze wszystkimi akcesoriami wojskowymi, z chlebakiem, maską, ładownicą i hełmem na głowie. Do tego pozycja na "Bacznosc" i karabin na ramieniu. Praktycznie do plecaka trzeba było spakować wszystko, co żołnierz posiadał łącznie z płaszczem, kocami, menażką, manierką etc. Przed przystąpieniem do odbycia kary należało zgłosić się u oficera służbowego, który najpierw dokładnie sprawdzał zawartość wy

magane go wyposażenia, aby żołnierzowi nie było zbyt źle. W razie stwierdzenia braku odsyłano go do uzupełnienia i ponownie musiał się meldować do odbycia kary. Starano się więc zabrać komplet wyposażenia za pierwszym razem, aby nie powtarzać ponownego meldowania się i rozbebeszania całego ekwipunku. Ukaranym koledzy zawsze pomagali spakować się do takiej ceremonii, ale i tak nie było pewne, czy czegoś się nie zapomniało. Gdy kontrola wypadła pozytywnie oficer służbowy stawiał delikwenta przed swym namiotem twarzą do słońca i nie spuszczał niego oka. Za jakiegokolwiek poruszenie przerywano karę i rozpoczynano czas stójki liczyć od nowa. Każda stójka trwała jedną godzinę i musiałem zaliczyć takie trzy, aby stało się zadość woli dowódcy dywizjonu. Najgorzej było na "Baczność" utrzymać karabin w pozycji "Na ramię broń". Ale od czego ma żołnierz głowę na karku. Nie tylko po to, żeby się na niej legły wszystkie myśli, ale żeby kiedy trzeba myślała. No i wymyśliła haczyk z drutu który doczepiano do pasa i na nim zawieszano pas karabinu. Pasował on idealnie do haczyka, tak że karabin znajdował się w pozycji regulaminowej i nikt nie widział, że wisi on na pasie i tylko lekko przytrzymywany jest ręką, aby nie spadł z ramienia. Stojąc tak przez godzinę w pełnym rynsztunku na słońcu w godzinach tropikalnych nie wszyscy żołnierze wytrzymali to obciążenie i mdleli. Ja tę pierwszą karę przeszedłem i wytrzymałem.

5 lipca 1943 roku dotarła do nas wiadomość o tragicznej śmierci Naczelnego Wodza gen. broni Władysława Sikorskiego. W katastrofie lotniczej pod Gibraltarem zginęła wówczas córka generała ppor. Zofia Leśniewska, jego adiutant - por. mar. Ponikowski, sekretarz - Kułakowski, gen. Klimecki, szef sztabu płk Marecki, płk brytyjski i członek parlamentu - Cozart, członek Izby Gmin Whitley, kurier polski Gralewski.

Uratował się jedynie czeski pilot - Prhala. Funkcję Naczelnego Wodza przejął tymczasowo historyk i naukowiec - gen. Merian Kukiel. Następnie naczelne dowództwo objął gen. Kazimierz Sosnkowski. Tragiczna śmierć gen. Sikorskiego była poważnym ciosem nie tylko dla dowództwa, ale również dla samych szeregowych żołnierzy.

Pewnego dnia dostaję silnych bóli brzucha. Wije się i jęczę. Lekarz rozpoznaje zapalenie wyrostka robaczkowego. Karafka pogotowia wiezie mnie natychmiast do szpitala polowego, który znajduje się na pustyni w okolicach Bagdadu. Sale szpitalne znajdują się pod namiotami. W jednym mieści się dwudziestu pacjentów. Na sąsiednim łóżku leży obok mnie por. Hryniewiecki z pułku ułanów. Będzie miał operację na jabłko kolana, które zostało rozbite podczas gry w piłkę nożną. Kiedy przywieziono go po operacji był jeszcze pod wpływie narkozy krzyczał. Wydawał jakieś komendy, wydając rozkazy, żeby rzucać granaty na atakujących Niemców. Granaty nie trafiają do celu. Wyzywa żołnierzy od safanduków. Maraz krzyczy - "O, tak! Dobrze!" i na tym kończy swój występ przychodząc do pełnej przytomności umysłowej. Gdy później opowiadaliśmy mu cały przebieg tej akcji bojowej, mówił że były to autentyczne przeżycia z kampanii wrześniowej, w której uczestniczył.

Przyszła też kolej i na moją operację. Wiozą mnie wózkiem na salę operacyjną. Następnie układają na stole i mocują pasami tułów oraz lewą rękę. Jestem przygotowany do zabiegu. W lewą rękę robią mi zastrzyk z narkozy. Staram się zrobić im na złość i nie zasnąć, ale to mi się nie udaje. Zespół chirurgów pod kierownictwem płk. Sokołowskiego zrobił swoje a ja zdążyłem tylko przed zaśnięciem powiedzieć - "Panie majorze, ja śpię!". Zdążyłem jedynie usłyszeć słowa docierające gdzieś jakby z zaświatów - "Spij, spij!"

Po operacji spałem na sali prawie cztery godziny, ale w śnie narkotycznym zrywałem się z łóżka krzycząc, że szef podaje komendę "Rosejść się!" Siostry bandażują mnie do łóżka i czuwają, abym się nie zerwał z tych pęt. Dopiero po jakimś czasie łagodny jak baranek proszę, aby mnie odwiązano i czuję że jestem przytomny. Po czterech dniach leżenia i zwilżania ust bandażem nawiniętym na widelec otrzymuję posiłki w płynie i zalecają mi rozpoczęcie chodzenia. Dobrze powiedzieć: chodzić, kiedy mi wydaje się że w miejscu cięcia wszystko jak by boleśnie się odrywa. i zachwilę tym otworem wyleci na zewnątrz. Ale jak się później okazało było to tylko uczucie strachu. Po dziesięciu dniach wróciłem do macierzystej jednostki meldując się z brakiem wyrostka robaczkowego.

NA "ZIEMI
ŚWIĘTEJ".

W sierpniu 1943 roku dociera do nas tym razem przyjemna wiadomość, że nasz pułk zmienia miejsce postoju i opuszcza cuchnący ropą Kirkuk. Jedziemy na teren Palestyny. Wśród żołnierzy duże ożywienie. W końcu jedziemy tam, gdzie przed ponad tysiącem ^{iu}dziewięćset laty żył i przebywał Jezus Chrystus. A więc zwijamy namioty, pakujemy manele i samochody załadowane tym wszystkim, co wojsku jest potrzebne. Ruszamy przez Bagdad i Jordanię do innego świata jakim ma być Palestyna. Wygląda tak, jak byśmy uciekali z tego pustynnego kraju i palącego niemilosierdzie słońca. Zegnamy mijane wielkie rzeki Iraku - Eufrat i Tygrys, które wolno toczyły swe żółte fale wśród rzadko spotykanej tu zieleni, jakichś gajów palmowych, krzaków i zarośli.

Następnego dnia wjechaliśmy w najszczerzy pustynny obszar. Bez przerwy, godzinę za godziną, toczyły się wozy wśród jednostannej, płowej przestrzeni, przeciętej jedynie wąskim czarnym paskiem asfaltu. Na odcinku stukilkudziesięciu kilometrów nie minęliśmy żadnej wioski, lichej osady, a nawet po jedynym czasie Znużony takim monotonnym widokiem wzrok

ulegał złudzeniu fatamorgany. Niejeden raz człowiek mógłby przysiąc, że kilkaset metrów dalej widział kołyszące się fale pięknego jeziora. Ale to tylko piasek.

Nareszcie przekraczamy granicę Transjordanii. Nie widać żadnego posterunku granicznego, flagi, ani szlabanu, żadnej tablicy z barwami państwowymi. Rozstaliśmy się więc z naszymi małymi malcami, arabskimi wołającymi "bakszysz", "aranczi" lub "Bolonia". Przekraczając rzekę Jordan widzimy ją jako strugę. Dalej jedziemy wśród pofalowanego terenu i uprawnych pól. Wśród tych pól i ogrodów dostrzegam młode ^{dziełaczyny} ~~żydówkę~~ pracujące w krótkich majteczkach przy uprawie roślin. Nagle naszym oczom ukazało się coś, czego czego dotychczas nie spotykaliśmy - sztuczne nawodnienia. Między zielonymi zagonami leżały równo poukładane przewody wodociągowe ze stojącymi pionowo prysznicami siejącymi życiodajnym rozpylonym strumieniem wody. Zraszając teren kręciły się wkoło swej osi stale i rytmicznie, nie pozwalając na pozostawienie gdzieś suchego skrawka ziemi w zasięgu ich działania. Były to gospodarstwa rolne zwane "kibucami" prowadzone wyłącznie przez lud żydowski. Gospodarstwa te były zorganizowane na wzór kołchozów poznanych przez nas w Rosji, lecz bez porównania posiadały wzorową organizację pracy i o niebo wyższą kulturę rolną. Widzimy tu inny świat i zupełnie innych ludzi pracujących na tych wspaniałych i nowoczesnych gospodarstwach. Tutaj znękomicie wygrywano batalię z suchym klimatem a stawką były zielone jarzyny. Im bardziej zbliżaliśmy się w kierunku Morza Śródziemnego, tym częściej wzdłuż drogi zaczęły ciągnąć się gaje pomarańczowe pełne owoców na swych niskich drzewach. Gajów tych nie ogradzały żadne płoty, najwyżej szeroki pas pewnej odmiany kaktusów lub kolczastych krzewów. Dzięki swoim igiełkom posiadały moc odstraszającą większą niż u

nas kolczaste druty.

Wreszcie mijamy Rechowot i w odległości około 10 km zatrzymujemy się obok nieogrodzonego gaju pomarańczowego. Bajka z tysiąca i jednej nocy. Takie to kolorowe i piękne. Inny klimat i zupełnie inny świat. Czuliśmy nawet powiew morza. W mijanych miasteczkach i osadach widzimy europejskie stroje, dzieci jak laleczki. Gdzie się podziały te jarmułki widziane w Polsce gdzie pejsy i chałaty? Tutaj jest wszystko inne nie pasujące nam do wyobrażeń z okresu przedwojennego, gdzie Żyda poznawała się po jego odmiennym ubiorze i cebulowym zapachu. Zrozumieliśmy, że prawdziwych Żydów z naszych czasów, tutaj dawno już nie ma i trudno będzie spotkać podobnych naszym Ickom i Mośkom.

Z usług sąsiada, właściciela sadu pomarańczowego, korzystaliśmy przy każdej okazji. Zresztą wystarczyło wyciągnąć rękę, aby sięgnąć po świeży, soczysty i pachnący owoc. Kupowaliśmy te wspaniałe owoce całymi workami za grosze. Wkrótce jednak znudziło się nam obieranie skórek i kupowaliśmy w kioskach sok pomarańczowy wyciskany ^{cz}automatem. ^{cz}Guliśmy się tutaj wspaniale, bo klimat łagodniejszy niż w Iraku i inne warunki do życia, inne otoczenie.

Po kilku dniach pobytu zorganizowaliśmy jednodniową wycieczkę do świętego miasta, jakim jest Jerozolima. Zabrałem się z pierwszą wycieczką, gdyż pragnąłem jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie przebywał Chrystus. Auto po mnięciu Rehowodu pięło się systematycznie w górę. Wkrótce poza nami zostały piękne ogrody, gaje cytrusowe i figowe. Na gołych zboczach gór pojawiły się oliwki i pnącza winogron. Drzewa oliwne do złudzenia przypominały mi wierzby. Od czasu do czasu mijałyśmy stojące przy szosie strażnice, coś w rodzaju twierdz, gdzie mieściły się posterunki angielskie. I wreszcie wyczekiwana Jero-

zolima. Cały dzień jeździliśmy i zwiedzaliśmy, klękaliśmy i składaliśmy modły. Trzyma nas jakieś napięcie wewnętrzne. Przeżywamy to w powadze duchowej. Zwiedzamy Górę Oliwną, Golgotę, Bazylikę Konania ze szklaną kopułą osłaniającą miejsce gdzie stał krzyż z ciałem Chrystusa. Do tej kopuły idzie się na kolanach całując szklaną osłonę. Dalej trasa prowadzi do Bazyliki Grobu Pańskiego, i wyjazd do oddalonej okilka kilometrów betlejemskiej Bazyliki narodzenia. Do tego jeszcze wiele jest miejsc otoczonych kultem religijnym, takich jak osiem drzewek oliwnych, zachowanych podobno od czasów Chrystusa. Jest też chusta Świętej Weroniki, która starła pot z czoła Jezusa uginającego się pod ciężarem krzyża. Teraz tę chustę z niejasnym odbiciem oblicza Zbawiciela oglądamy przez szkła gabloty, oczywiście za sporą opłatą. Trzeba też śmiało powiedzieć, że z tego historycznego podłoża uczuć religijnych wytrysło wielkie źródło dochodów dla miejscowej ludności i przeróżnych zakonów. Cały czas trzymam rękę w kieszeni i między jednym paciorkiem a drugim obliczam ile jeszcze grosza zostało mi ze skromnego żołnierskiego żołdu, a na atrakcyjne zakupy aż oczy "grały". Niektóre jednak zabytki są własnością mahometan, jak na przykład jeden dom, w którego podziemiach odbyła się ponoć Ostatnia Wieczerza Pańska. Właściciel, Arab, jak ostrzegwał nas przewodnik jest zaciekle wrogiem świata chrześcijańskiego. Jednak za niebagatelną kwotę wpuszcza "niewiernych" do swego domu. Trzeba się tylko powstrzymać od wszelkiej demonstracji religijnej przyklękania itp. Podobno teren, na którym stoi Bazylika Grobu Pańskiego należy do jakiegoś szczepu wyznawców Mahometa. I tu zawsze w kościelnym przedsionku siedzi ktoś z rodziny właściciela i pobiera opłaty wstępu oraz sprzedaje cięgie jak spaghetti świeczki, które są obowiązkowym rekwizytem

przy odbywaniu pielgrzymki. Pilnie kroczyłem i szeroko otwierałem oczy i serce, ale ciągle byłem tylko baczny obserwator. Nic nie odczułem z religijnej ekstazy. Byłem jakiś obcy i niespójny wewnętrznie. Powiedzmy krótko. Wszystkie te oglądane pamiątki pozostawiły mnie wewnętrznie rozczarowanym. Na pewno miał na to wpływ ograniczony czas zwiedzania i duża ilość zabytków kultury chrześcijańskiej. Wszystko to takie wspaniałe i bogato zdobione. Wysokie figury naturalnej wielkości, obliczone zapewne na czyjeś uczucia. Ta tłusta lala leżąca w żłobku z banalnym uśmiechem to nie dla nas wychowanych widokiem - Jezus malusieńki, leży nagusieńki i płacze". Zresztą, jak można w sobie wzbudzić uczucia religijne, kiedy się jest popędzonym przez przewodników, gdy objaśnienia naszego polskiego przewodnika przygłuszały słowa przewodników francuskich czy angielskich. Depczący nam po piętach żołnierze o twarzach białych, czarnych, miedzianych czy złotych groziły odpadnięciem od naszej grupy. Ow pośpiech uwidaczniał się nawet w ceremoniach kościelnych, gdzie odprawiający mszę ksiądz katolicki spieszył się, aby ustąpić miejsca innemu, bo w zakrystii czeka już inny kapłan, jeszcze innego obrządku. I tak w kółko - wyliczono czas na wykonanie modłów. A więc w tej atmosferze dwupracjowego nie sposób odnaleźć nastroju podniosłego uczucia zbliżającego do Boga. Zresztą bizantyjskie lampy zawieszane w nieprawdopodobnych ilościach nie zastępują żywych kwiatów spotykanych często w naszych kościołach. Surowej ciszy gotyckich kościołów nie zaćmiają owe bazyliki-skanseny, przepełnione gwarem wycieczek.

(Urwałem się od grupy wycieczkowej i dokonałem zakupu złotego jerozolimskiego krzyżyka za 5 funtów szterlingów i parę brązowych butów, abym mógł ładnie wyglądać, gdy wyruszę na wycieczkę indywidualną. Krzyżyk wysłałem do Tanganiki mamie,

Obecnie nosi

go córka, aby pamiętała, gdzie byłem i co przeżyłem.

W nocy wracamy do naszego miejsca zakwaterowania znużeni i wyczerpani - fizycznie, psychicznie, bo z uczuciem rozczarowania i niedosytu.

Głównym naszym zajęciem są przede wszystkim ćwiczenia bojowe na nowo otrzymanym w Iraku sprzęcie. Pełnimy również służbę wartowniczą. W ramach normalnego toku życia wojskowego istnieje możliwość otrzymania kilkudniowej przepustki do Tel-Awihu. Skorzystałem z tej okazji i wraz z dwoma kolegami wybraliśmy się na wycieczkę, aby na własną rękę zwiedzić to miasto. Jak się okazało warto było, bo Tel-Awiv objawił się nam jako na wskroś piękne i przestrzenne miasto ulokowane nad brzegiem Morza Śródziemnego. To nie to, co stara i ciasna Jerozolima o kamiennych murach i brukowanych ulicach. Ogromne budynki otoczone pasmami zieleni z szerokimi asfaltowymi ulicami. Jest co podziwiać i czym zachwycać się. Piękne i bogate wystawy sklepowe. Wszędzie czystość, ład i porządek. Ku naszemu zaskoczeniu na każdym kroku możemy porozumiewać się po polsku. Co za wygoda. W każdym sklepie, restauracji, czy hotelu możemy mówić ojczystym językiem. W razie jakichś trudności wołano zaraz po sąsiada lub znajomego, który umożliwił nam kontakt. Uprzejmość tych ludzi mogła świecić przykładem.

Zatrzymaliśmy się w hotelu położonym przy nadmorskim bulwarze blisko plaży. Ach, co za wspaniały widok - półnogie plażowiczki i świeże morskie powietrze. Obok piękne szerokie ulice tonące w zieleni palm i soczystego kwiecia. Wszystko to razem tworzy ładną kompozycję zieleni zlanej z błękitem morza i nieba. Wzdłuż ulic nowoczesne i wysokie kamienice czysto i schludnie utrzymane. Gdzie tu porównywać polskie dzielnice żydowskie - zaniedbane, brudne i cuchnące. Najbardziej

spodobał mi się bulwar biegnący kilometrami wzdłuż ciepłego Morza Śródziemnego ze wspaniałą plażą o złosistym i czystym piasku. Jedyn słowem jesteśmy w innym świecie niż dotychczas. Świecie czystym i zadbanym, pomimo tylu turystów w mundurach.

Wieczorem idziemy do kabaretu prowadzonego przez żydowskich aktorów z programem dla polskich żołnierzy. Tu naturalnie wszystko po polsku - "Czerwone jabłuszko", "Szła dziewczeczka do laseczka" i "Ułani, ułani malowane dzieci". Czuliśmy się tu jak w Teatrze Narodowym w Warszawie. Najbardziej wpadali w oko Żydzi z Polski sprzedający na ulicy różne pamiątki i upominki. Całym ich kramem była skrzynka uwieszona na sznurkach za szyję. Tęsknili również za Polską i stale nas nagabywali - "Skąd pan rodem?", a gdy dowiedział się, że spotkał krajana z Białegostoku, to bardzo się radował i zaznaczał, iż on też pochodzi z tego miasta oraz opowiadał jak dobrze w Polsce żyło mu się i powodziło. Tutaj musi on być handlarzem-żebrakiem a to żaden "giszeft". Żyd ten nie był zachwycony "ziemią obiecaną", gdyż tutaj trzeba było ciężko pracować a z tego małego interesu mógł ledwie przeżyć. Wielu Żydów mówiło nam, że zbierają pieniądze nie na poszerzenie swoich interesów, lecz na bilet powrotny do Polski. Twierdzili, że w kraju będą prędzej od nas, bo nie wiadomo gdzie los pokieruje

je nami w czasie wojny. Byli to Żydzi emigranci z przed 1939 roku. Jednak między nimi byli też i tacy, którzy przeszli dobrą szkołę życia na tej "nieludzkiej ziemi", gdzie poznali smek obozów i bata. Zostali więc na tej wymarzonej i zagospodarowanej nowocześnie "ziemi świętej". Jak się później przekonaliśmy w kibucach pracowały różne narodowości, ale nie spotykało się Żydów z Polski. Oni raczej zajmowali się handlem, obojętnie na jaką skalę, ale nie pracowali fizycznie. Tęsknili i marzyli tylko o tych dawnych czasach w przedwojennej Polsce.

Z pierwszego kilkudniowego urlopu wróciliśmy do pułku. zadowoleni i szczęśliwi. Trudno jednak wracać do ciężkiej służby po tak atrakcyjnym wypoczynku mając świadomość tego, że obok życia płynie tak uroczo. Nic dziwnego, że wśród żołnierzy szerzyła się dezercja, zwłaszcza tych pochodzenia żydowskiego. Dezercerowali oni do armii żydowskiej i przedostawali się ~~oni~~ do bojowych grup żydowskich organizowanych przez syjonistów do walki z Arabami. Tylko z naszego dywizjonu zdezercerowało pięciu Żydów. Pozostał tylko jeden, który był pisarzem w kancelarii dywizjonowej. Nikt ich nie poszukiwał i najprawdopodobniej było to ciche porozumienie z dowództwem armii polskiej, by nie przeszkadzać w tej dezercji, ~~nie~~ nie poszukiwać uciekinierów żydowskiego pochodzenia.

Jesienią urządzono nam wielkie manewry na pustyni w okolicy Gazy. Brały w nich udział wszystkie polskie jednostki wojskowe wchodzące w skład drugiego korpusu. ^{W tym} również nasz pułk. Ganialiśmy po tej falistej i skalistej pustyni nie wiedząc po co i dlaczego. W dzień było gorąco, ale noce były chłodne i trzeba było ubierać płaszcze sukienne. Wojsko z różnych oddziałów wymieszane było jak groch z kapustą. Ale tak widocznie miało być, aby przyzwyczajać żołnierza do dużego zgrupowania i orientowania się w walce na niby z pozorowanym wrogiem. Jedynie rozjemcy z białymi opaskami na rękawach odróżniali się od nas i udawali bardzo ważnych sędziów tego pozorowanego ale bojowego spotkania.

Z wielkim animuszem i pełną werwą wjeżdżaliśmy i zajmowaliśmy stanowiska bojowe. Prowadziliśmy udawany ogień z wszystkimi szykanami i komendami. Zamki luf trzaskały a dowódcy wołali - "Ognia!". Następnie zmienialiśmy stanowiska bojowe w zależności od rozwoju sytuacji - idąc do przodu lub cofając się do tyłu. Ciągłki na pełnych obrotach, my na nich ucze-
pieni tylko ~~ciągłki~~ na nierównym terenie skakały jak odbija-

na piłeczkę. Pewnego razu w nocy nasz dowódca baterii pomylił drogi i wpadliśmy bez boju w ręce nieprzyjaciela. Było nam przykro, że taki los nas spotkał. Mieliśmy przynajmniej spokój i nie trzeba już było zajmować kolejnych stanowisk bojowych i uganianie się po tej bezdrożnej pustyni. Mogliśmy sobie przez kilka dni odpocząć w towarzystwie pozorowanego nieprzyjaciela. Co prawda dowódca baterii otrzymał później naganę za nieumiejętne prowadzenie pododdziału podczas ćwiczeń i przejście bez boju w ręce nieprzyjaciela, ale szeregowego żołnierza zbytnio to nie interesowało. Przejmował się o tyle, żeby w walce frontowej nie zdarzył się podobny przypadek.

15. W CIENIU PIRAMID. Po ćwiczeniach żegnamy miłą nam Palestynę i wyruszamy w tułaczącą drogę do Egiptu. Wiemy, że zostaniemy znów przebrojeni. Tym razem mamy otrzymać działa przeciwpancerne wmontowane w czołgi marki Sherman /30 ton/. Radość rozpięra piersi z powodu przydziału tak wspaniałego sprzętu, ale cieszy również to, że jedziemy do centrum wyszkolenia broni pancernej w Almazie, który leży w pobliżu lotniska Heliopolis na przedmieściach Kairu.

Ośrodek szkoleniowy prowadzony jest przez instruktorów angielskich. Mieszkamy w namiotach, ale zamiast czołgów mamy daleko swoje potężne siedemnastofuntowe działa przeciwpancerne. Zajęcia odbywały się od godziny 7⁰⁰ do 16⁰⁰ a następnie mogliśmy wychodzić na przepustki do godziny 24⁰⁰. Na podbój Kairu wyruszaliśmy codziennie. W tym celu ubieraliśmy mundury wyjściowe z wykładanymi klapami "bateldresu". Spodnie prasowały się same pod kocem, na którym spaliśmy a więc kancik trzymał się na stała. Pod szyją zielony krawacik a na nogach brązowe pantofle. Mundur ćwiczebny był z kołnierzem półstojącym, zapinany pod szyją. Do tego na nogi zakładało się trzewiki sznurowane a na nie bvezentowe szpinacze. Idąc na przepustkę dbaliśmy o to, aby

beret koloru czarnego leżał zawsze z fasonem lekko na boku
prawego ucha. Te czarne berety były naszą dumą, gdyż nosiła je
tylko broń pancerna i kawaleria zmotoryzowana. Na klapach mundu-
rów mieliśmy trójkąty rozpoznawcze w rodzaju proporczyków zie-
lono-pomarańczowych. Pozostałe formacje nosiły berety zielone
a komandosi czerwone. Nasz pułk podlegał bezpośrednio pod roz-
kazy dowódcy II Korpusu Polskiego gen. dyw. Władysława Andersa.
Na lewym rękawie munduru nosiliśmy Syrenki a na prawym tarczę
z krzyżem oznaczającym przynależność do ósmej armii brytyjs-
kiej. Trzecia dywizja nosiła jako znak rozpoznawczy "świerk"
^{pasta}~~biała~~ dywizja - "żubra" a broń pancerna - "ramię pancerne".
W górnej części rękawa nosiliśmy napis "Poland". Każdy pułk
miał też swoje odznaki pułkowe noszone w klapach mundurów. Tak
oznakowani mogliśmy łatwo się rozpoznawać.

Na piechotę patrzyliśmy z góry, czując że jesteśmy od nich
lepsi - nawet pod względem wyglądu zewnętrznego. Przydomek "za-
jaca" mówił, że piechur jest od nas gorszy i traktowany musiał
być per noga. Poza tym byłem dumny, że nosiłem jeden pasek - za-
ny belką i w ewidencji nie figurowałem jako starszy strzelec
lecz jako bombardier i to było coś. Przyjętą również, że w na-
szej armii honory na ulicy oddawano od majora wzwyż. Nie było
to regułą i nigdzie w regulaminie nie było to zapisane, ale
taki zwyczaj stosowaliśmy. Żołnierz musiał mieć fason i żadna
kajza garnizonowa nie była wypuszczana do miasta na przepust-
kę. Do umundurowania wyjściowego, obowiązywał pas parciany i sp-
nacze malowane na biało. Najlepszym sposobem była pasta lub
proszek do mycia zębów rozcieńczane skondensowanym mlekiem.
Pasy malowane pastą bieliły mundur, natomiast na malowanych
farbą pękała powierzchnia. Ale faktem jest, że nigdy służba
angielska przy bramie wyjściowej do "campu" nie miała zas-
trzeżeń do polskiego umundurowania. Nie przeszkadzało im też

Na codzień szkolono nas i zapoznawano z taktyką walki przy użyciu broni pancernej, z którą mieliśmy współpracować w zwalczaniu punktów oporu nieprzyjaciela i niszczyć działa przeciwpancerne swoim ogniem artyleryjskim. Szkoliliśmy się na Schermanach bez górnych włączów i odkrytym wierzchem wieżyczki. Do ćwiczeń mieliśmy kilka takich czołgów szkoleniowych, lecz ćwiczyliśmy także i przy naszych działkach przeciwpancernych. Oprócz tego ^{Szkoliliśmy się} ~~ćwiczyliśmy~~ również na torze przeszkód dla wyrobienia odpowiedniej kondycji fizycznej. A więc skakaliśmy przez rowy wypełnione wodą, pokonywaliśmy mury i płoty oraz biegaliśmy po kłocach z drzewa i skakaliśmy za pomocą wiszących lin. Nie wszystkie przeszkody były łatwe do pokonania i nieraz mieliśmy dużo radości z tych, co znaleźli się w rowie z wodą lub bezwładni zawisli na ścianie przeszkód. Trzeba jednak powiedzieć, że w naszym gronie byli też żołnierze liczący sobie czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat, dla których sforsowanie takich przeszkód napotykało na wiele trudności. Dla nas, w większości mających lat od dziewiętnastu do dwudziestu pięciu, nie stanowiło to żadnych problemów. Była to dla nas zwykła zabawa, którą dawno już opanowaliśmy będąc jeszcze w Iraku. Niestety, w wojsku nie ma wyboru i trzeba ćwiczyć to, co każą przełożeni, dawno już opanowane działoczożyny - również.

Za to po godzinie szesnastej każdy wybierał się na przepustkę według własnego uznania. Dzięki temu już przez pierwsze dni zwiedziłem najważniejsze zabytki Kairu i okolic. Zwiedziłem piramidę Cheopsa i widziałem pusty sarkofag faraona. Przyjeżdżałem się z bliska Sfinksowi, który patrzy zamysłony gdzieś w nieskończoność. W Gizech obejrzałem pięć piramid i zwiedziłem też labirynt oraz widziałem słynne mumie egipskie. Wrażeń było wiele.

Do najciekawszych należała piramida Cheopsa, która podobnie jak pozostałe jest nie tylko pamiątką potęgi ówczesnych władców Egiptu, ale także pomnikiem ucisku i śmierci tysięcy niewolników budujących w tajemniczy sposób te budowle. Piramidy są przede wszystkim dowodem potęgi dawnej wiedzy i nauki. To jakby wykuta w kamieniu księga wiedzy, którą starożytni Egipcjanie chcieli przekazać potomnym. Na przykład podzielenie długości boku tej piramidy przez połowę jej wysokości daje dokładność do piątego miejsca po przecinku, którą to umiejętność posiadaliśmy dopiero w XVIII wieku. Boki podstawy tej piramidy wskazują dokładnie wschód-zachód północ i południe. Główny jej korytarz biegnący w głąb komory głównej jest skierowany prostopadłe do osi naszej kuli ziemskiej a wysokość tej piramidy pomnożona przez milion daje dokładnie wagę kuli ziemskiej. Nie są to rzeczy przypadkowe i świadczą o poziomie wiedzy w starożytnym Egipcie. Wybierając się na te ciekawe wycieczki notowałem sobie ciekawsze spostrzeżenia, bo było ich tak dużo iż łatwo ulatywały z pamięci.

W innej piramidzie idąc płataniną korytarzy dochodziło się do grobowca, w którym znajdowali się faraonowie i ich rodziny zachowane w całości przez zabalsamowanie. W labiryntach korytarzy nie wolno było chodzić samemu, lecz wyłącznie z przewodnikiem. Ta płatanina korytarzy bardzo podobnych do siebie rozchodziła się w różnych kierunkach i łatwo było zejść ze szlaku i zaginać, co często się zdarzało. Była to pułapka na zachłannych złodzieji skarbów faraonów, których dzielnie strzegł wspomniany przeze mnie już Sfinks. Przy nim właśnie na wielbłądach robiliśmy sobie zdjęcia pamiątkowe. Te poczciwe i atrakcyjne zwierzęta zwane okrętami pustyni z obojętną miną pozwalały do zdjęć trzymając na swym grzbiecie wojaka w polskim mundurze.

Następną naszą atrakcją był sam Kair. Czas wolny spędziliśmy często w towarzystwie kilku amerykańskich pilotów polskiego pochodzenia, którzy sąsiedowali z nami na lotnisku w Heliopolis. Wspólnie odwiedzaliśmy nocne lokale i byliśmy także zapraszani do kabaretu przeznaczonego wyłącznie dla armii amerykańskiej. W ich towarzystwie mogliśmy wejść swobodnie i także pić na ich rachunek. Zamawiali najczęściej różne wódki z gatunków "łyskęczy". W trakcie popijania rozwiązywały się nam języki. My opowiadaliśmy o Polsce, oni mówili "mój ojciec polski, a matka czeski", ale wcale to nam nie przeszkadzało. Czuliśmy się w tym towarzystwie jak bratanki i "do szabli i do szklanki".

Gdy już dobrze mieliśmy w czubie udawaliśmy się do kabaretu angielskiego z nastawieniem, aby trochę porozrabiać. My, Polacy, nie lubiliśmy Anglików, za to nasi polscy Amerykanie wprost ich nienawidzili. W wesołym nastroju i z góry ustalonym planem działania wkraczaliśmy na salę zabaw rozrywkowych. Były to specjalne lokale dla armii i wyżynkien trunkowym i roznegliżowanymi arabskimi "madame". Te "córy Koryntu" miały zabawiać żołnierzy i naciągać ich na alkohol z którego właściciel wypłacał im jakiś procent od obrotu. One nie piły alkoholu tylko tzw. "saidę" - coś w rodzaju oranżady. My jako naród waleczny z rodu Zagłoby zaczynaliśmy drakę, a do naszych przyjaciół amerykańskich należało wykończanie uciekinierów angielskich i organizowanie środków lokomocji w celu ucieczki z miejsca zagrożenia.

Najczęściej zaczynało robić się gorąco, gdy rozgrzanemu Anglikowi zabieraliśmy jego "madame". Dlatego szukaliśmy takiej miłej pary "gołąbków" z dziewczyną na kolanach. Zazwyczaj, gdy zabieraliśmy taką "girl" do naszego towarzystwa rozwścieczony Anglik przyzwyczajony do rzucania mięsem mówił "you're fucken Polish". Nam można było powiedzieć ukry-

stko, tylko nie to. Wówczas wkraczali Amerykanie i tłumaczyli, że obrażono Polaków, a to kulturalne słowo odnosi się do niego - "fuken English". Na resztę nie trzeba było długo czekać. Anglikowi wymierzano tęgiego sierpowego i zaczęła się bijatyka. W obronie Anglika stają jego koledzy wbijając pijanym głosem "coman boks". Połtacy ^{byli} bardzo skłonni boksu - więc nie trzeba dwa razy powtarzać. Idą w ruch na angielskie głowy krzesła, stoliki i nogi wyłamane z tych mebli. Dziewczyny na sali piszczą i uciekają do swoich ^{po} pokoi. My jesteśmy górą i dzielimy "polskim boksem" na lewo i na prawo, grzmocąc tych którzy tego boksu pragnęli. Anglicy wzdając, że to nie przelewki uciekają do drzwi wyjściowych. Tu czekają na nich Amerykanie i częstują twardeymi przedmiotami ^{mi} tych, którzy chcą ucieknąć z pola walki i uniknąć guza. Sala jest duża, więc widok jest wspaniały - jedno kłębowisko walczących, fruwające krzesła i lekkie stoliki z dykty.

W takich przypadkach krew musiała się połać i cierpieć na ^{ty} głowy Anglików, którzy nie znali polskiego boksu. Właściciel lokalu zawiadomił komendę miasta. Przybywała żandarmeria. Jednak zastawała rozbity lokal i poturbowanych angielskich żołnierzy, którzy zawsze zeznawali, że pobili ich Polacy w czarnych beretach. Bądź mądry i dowiedz się teraz, którzy to są? W czarnych beretach chodziło pół II-go Korpusu Polskiego. Nas żandarmeria nigdy nie mogła ująć, ⁶⁰ ~~80~~ ^{gdz} kończyła się bijatyka, Amerykanie uruchamiali już środki transportu, które odwoziły nas szybko w bezpieczne miejsce. Były to najczęściej zatrzymane tramwaje lub przypadkowo przejeżdżające samochody ciężarowe. W ten sposób nie było śladów po winowajcach a ztraty właścicielowi lokalu pokrywała komenda miasta. W ten chwalebny sposób do rze wyszkolone wojsko szukało upustu krwi w awanturach specjalnie aranżowanych bijatykach. ~~A my nie mieliśmy na~~

Poszkodowani Anglicy przeprowadzili dochodzenie i ustalili, że "bohaterami" nocnych rozróbek są żołnierze 7 pułku artylerii przeciwpancernej stacjonujący w Heliopolis, posiadający stałe przepustki. Dowództwo angielskie doszło też do wniosku, że Polacy są już na tyle dobrze wyszkoleni, aby mogli opuścić centrum szkolenia a swoje umiejętności wykazać w walce na froncie. W ciągu 24 godzin otrzymaliśmy polecenie zwinienia namiotów i udenia się do pustynnego obozu w Qassasin ^{leżącego} w pobliżu Port Saidu. Po krótkim postoju w Qassasin przyszedł rozkaz o wyjeździe drogą morską do Europy.

16. WITAJ EUROPO!

W Port Saidzie objuczeni bagażami podchodzimy do nabrzeża portowego i naraz wybuchaw wielką radość - okazuje się, że zostajemy zaokrętowani na naszego dziadka pasażerskiego, jakim jest "Batory". Dokąd mamy popłynąć owiane jest wielką tajemnicą wojskową, ale wierzymy, że naszym kochanym "Batorym" dotrzemy szczęśliwie do miejsca przeznaczenia, ~~gdzieś na kontynencie Europy~~. Z komunikatów dowiadujemy się, że wojska alianckie zajęły Sycylię i wylądowały w południowych Włoszech. Podobno nowy front ma być utworzony w Grecji lub Francji, a może nawet we Włoszech. Nam jest wszystko jedno - ważne, że nareszcie weźmiemy się za bary ze znieprawionymi Niemcami i policzymy się z nimi za to wszystko, co przeżyliśmy i ^{ucie-} ~~uyc-~~ rpieliśmy idąc drogą okrężną do Polski. Najważniejsze, że zbliżamy się do kraju i będziemy coraz bliżej rodzinnego domu. Czy wszyscy dotrzemy do celu? Los każdego z nas jest wielką niewiadomą.

Z wypchanymi plecakami, chlebakami i bronią osobistą wchodzimy na tę naszą "Arkę Noego". Całą noc na statku ruch i pełno wojska różnych narodowości - są Anglicy, Polacy a ^{tak} ~~ta~~ że dużo Hindusów. Nas umieszczono w pomieszczeniu magazynowym na rufie ^{uzbrojonej} wieszono hamaki i w ten sposób znalazło

się dużo miejsca dla wojska. Spimy w ubraniach, gdyż obowiązuje ostre pogotowie. Rano, gdy tylko zawitał świt usłyszeliśmy dudnienie potężnych silników statku i wyczuwamy, że zaczynamy płynąć. Modlimy się, gdyż rozumiemy iż skończyła się zabawa w wojsko. Niebawem zacznie się krwawy bój na śmierć i życie.

Otrzymujemy zezwolenie wyjścia na pokład. Widok jest oszałamiający - jak okiem sięgnąć wokół nas pełno statków. Jesteśmy na pełnym morzu. Nad nami dumnie i majestatycznie unoszą się uwiązane na linach balony zaporowe, które sterują nad statkami jak potężne zepełiny nadmuchane gazem. Nasz statek posiada kilka takich bezzałogowych pojazdów. Wokół nas krążą okręty wojenne zapewniając ochronę przed okrętami wroga. Nie widać okrętów podwodnych, ale mówi się, że są i krążą między statkami. Podziwiamy, jaka w tym konwoju panuje harmonia i organizacja. Bez przerwy podawana jest sygnalizacja świetlna i flagowa. Jesteśmy dumnie widząc tak potężny konwój wojska złożony z tak wielkiej ilości jednostek pływających, ale i ogarnia nas strach, że w wypadku nieprzyjaciela możemy być narażeni na wielkie niebezpieczeństwo. Zdajemy sobie przecież sprawę, iż wszystkie statki naszpikowane są ludźmi i amunicją.

Na pokładzie "Batorego" są zamontowane na dziobie i rufie działa artyleryjskie i ciężkie przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Obsługa pełni na nich służbę i czuwa nad naszym bezpieczeństwem. Okręty te wyszły z różnych portów, głównie z Port Saidu i Aleksandrii, a następnie połączyły się w konwój.

Kiedy nacieszyliśmy się widokiem tej pięknej armady udaliśmy się na zwiedzanie statku. Nie ma kabin pasażerskich z podziałem na klasy. Transatlantyk w pełni przygotowany do przewożenia wojska, którego wszędzie jest pełno.

Zauważyliśmy, że nie płyniemy w linii prostej, lecz co pewn^o czas, jak za pociągnięciem sznurka, wszystkie statki zmieniają kurs. Było to wykonywane celowo dla zmylenia przeciwnik^a i zdeinformowania go, dokąd płynie konwój.

Pewnego dnia zaczynamy odczuwać lekkie kołysanie, które powoli zaczyna przeradzać się w wielkie przechyły. Miski^a jedzeniem spadają ze stołów. Jest tak poważna burza i ^{sztorm} ~~sztorm~~ że trudno utrzymać się na nogach. Przecież to styczeń 1944 roku, a sztormy w tym czasie nie są rzadkością. Choroba morska występuje masowo i wojsko leży pokotem. Najgorzej wyglądało wątle wojsko hinduskie. Leżeli na pokładach owinięci^a koce i zabrudzeni nieczystościami. Nie mieli już czym ^{cał} zwrócić i wymiotując żółcią wyglądali jak zwierzęta zubożone na swe otoczenie.

Ja również chorowałem i nic nie jadłem. Ulokowałem się na tratwach ratunkowych i leżałem obojętny na wszystko. Gdy ~~pró~~ ^{pró}bowaliśmy wejść do mesy i poczułem zapach jedzenia to wystąpiło mi, abym zamiast do Włoch jechał do "Rygi".

Pogoda sztormowa trwała dobę i szybko wypogodziło się. Przestało nawet huścić. Dociera do nas wiadomość, że przepłynęliśmy w pobliżu Krety i widać tę wyspę w dalekich zarysach. W tym czasie była ona zajęta przez Niemców. W pewnym momencie rozległy się rozległy się głosy dział armatnich kierujących ogień na mijaną wyspę. Konwój był już bezpieczny a ostrzeliwując Kretę dawał znać wojskom niemieckim, że szczęśliwie dociera do miejsca przeznaczenia.

Zawijamy do portu włoskiego Toranto położonego w bucie wyspy. Wyładujemy się na ląd i żegnamy naszego kochanego "Patorego", który szczęśliwie dotransportował nas do celu podróży. Po pobycie na Bliskim Wschodzie i przyzwyczajeniu do widoku ^{widok} ~~widok~~ ^{wydm i piasków oraz skalistego gruntu tu jest inaczej}

widamy dużo zieleni i zupełnie inny świat. Inne domy i inne otoczenie. Nie żebrzących Arabiątek i wołających o jałmużnę. Nie da się ukryć, że przekroczyliśmy próg Europy. Wkrótce dojdzie do spotkania z naszym zniemawionym wrogiem. Będziemy mogli pomścić naszą klęskę wrześniwą i tę tułaczkę po świecie w nędzy i niedostatku. Te nasze choroby i cierpienia muszą zostać skwitowane walką. Liczą na nas wszyscy i czekają na nasz powrót do Polski. Jesteśmy dobrze uzbrojeni i wyszkoleni a najważniejsze, że coraz bliżej swojej Ojczyzny.

Cały czas towarzyszyła nam piosenka i w drodze usianej gęsto mogiłami śpiewaliśmy tak:

Wrócimy tam, dokąd każdy dziś tęskni i marzy

Wrócimy tam wszyscy, razem młodzi starzy

Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany

Wrócimy tam, gdzie nasz kraj, gdzie nasz dom kochany.

Słowa tej pieśni marszowej śpiewaliśmy idąc przez Rosję, Iran, Irak, Palestynę i Egipt. Nie patrzyliśmy na żadne kombinacje polityczne i nie było innych poglądów, jak tylko walka z wrogiem i wyzwolenie kraju. Wierzyliśmy w to, że wrócimy z bronią w rękę do Wolnej i Niepodległej Polski. Przeżyliśmy różne ciężkie chwile, ale najboleśniejszym ciosem była dla nas śmierć naszego drogiego nam Wodza - generała Władysława Sikorskiego. Płakaliśmy po nim wszyscy rozpoczynając od szeregowca a kończąc na oficerach.

Tu w Toronto po wyładowaniu ze statku widzimy nędzę potowej ludności i zniszczenia dokonane przez wojnę. Uboga dzieciarnia, jak na wschodzie prosi - "signore pane, signore sigarette, signore cioccolatta". Widać, że głód zrobił swoje. Naród ten załamał się w ogniu wojny i pod wpływem nędzy. Wojsko włoskie, kiedyś za Musoliniego tak butne, teraz przedstawia stan plakany. "Wszyscy czekają na to, co rzuci litościwy przybysz. A nie tak dawno Musolini z balkonu Piazza

Venete w Rzymie stwierdził, że "Polonia e finalmente liquidata/Polska ostatecznie przestała istnieć/. Tereż polski żołnierz lituje się nad losem Włochów i dzieli się swoim chlebem, papierosami i czekoladą. Wszędzie słyhać te same słowa - "grazja^e singore", "Dio ricompensa, singore"/dziękuję panie, niech Bóg panu wynagrodzi/. Nieraz otrzymywano propozycję, od kilkunastletnich pętaków, którzy w zamian za papierosy lub czekoladę bez żadnego skrępowania zapraszali do swych sióstr a nieraz i matek.

W krótkim czasie otrzymaliśmy nowy sprzęt, którym były czołgi dostosowane do walki z bronią pancerną typu "Sherman". Kaliber dział 75 mm i pociski o dużej sile przebijania pancerza. Wieżyczkę posiadały otwartą a klapy znajdowały się nad stanowiskami kierowcy i radiotelegrafisty. Szybko przystąpiliśmy do szkolenia. Imponowały mi czołgi, ale jeszcze większą chęcią pałałem do motocykla, a tym samym do funkcji gońcy cywizjonu. Wkrótce moje marzenia spełniły się i otrzymałem motocykl typu "Royal 350". Początkowo miałem duże trudności z opanowaniem techniki jazdy. Gdy poczułem się pewniej spróbowałem sprawdzić jego osiągi i zobaczyć tzw. nitkę. Skończyło się niebezpieczną wywrotką i licznymi obdarciami na kolanach i łokciach, nie mówiąc już o dziurach w mundurze. Nie próbowałem więcej takich sztuczek i miałem niezłą nauzkę.

Po przyspieszonym kursie szkolenia na nowym sprzęcie zaczęliśmy naszym pułkiem, któryx składał się z 60 czołgów, posuwać się szosą nr/6 na północ Włoch. Po prawej stronie mieliśmy Morze Adriatyckie a po lewej pagórkowate wzgórza Apenin. My, jako motocykliści, pełniliśmy służbę na czele kolumny a naszą dwunastką dowodził por. Czajkowski. Kolejno zajmowaliśmy posterunki na skrzyżowaniach i gdy kolumna^{nr 5} minęła przedzieraliśmy się do przodu, aby zajmować kolejne stanowiska ruchu. W marszu przejeżdżaliśmy przez częściowo

zniszczone miasteczka i wioski. Przebywaliśmy rzeczki i potoczki spływające z gór. W marszu bez chwili wytchnienia przekraczaliśmy wpływ napotykaną rzekę nie czekając na budowę mostów, chociaż saperzy stawiali je bardzo szybko. Przekraczając rzekę Sangro zgasł mi motocykl i trzeba było pchać go własnymi siłami brnąc po pas w wodzie. Nie było czasu na wylewanie wody z butów, czy suszenie mundurów. Trzeba było jak najszybciej przeć naprzód. Pomimo bezgranicznego wyczerpania

Jadący przede mną por. Czajkowski tak był zmęczony, że w pewnym momencie zasnął, zjechał do rowu, przewrócił się i spał do

Była to pierwsza zaprawa bojowa. Szykowaliśmy się do walki i bardzo nam się śpieszyło. Nie wiedzieliśmy, że ten pośpiech prowadzi nas pod Monte Cassino. Przyjechaliśmy w bezludny górzysty teren i rozbiliśmy namioty w okolicy Capmobasso - Venafro. Mieliśmy pełne ręce roboty z czyszczeniem i konserwowaniem ciężkiego sprzętu bojowego. Nasz dowódca dywizjonu mówił, że czołg musi tak błyszczeć jak psu jajka. No i pucowaliśmy je a następnie spryskiwaliśmy ropą i wycieraliśmy do sucha.

MOJE
MONTE CASSINO.

W pierwszych dniach maja 1944 roku wytypowano tych, którzy wezmą udział w bitwie o Monte Cassino. Na bezpośrednią linię frontu nie została skierowana artyleria przeciwpancerna i przeciwlotnicza, gdyż nie przewidywano jej do użycia w górach. Postanowiono wykorzystać nas jako jednostkę wspomagającą. Byłem dumny, że znalazłem się między tymi, co pójdą w bój.

Monte Cassino było kluczową pozycją operu niemieckiego w tym rejonie. U podnóża góry klasztornej rozciągała się dolina rzeki Liri przecięta szosą nr 6, która biegła z południa na północ. Była to droga do Rzymu i znajdowała się pod ostrzałem z klasztoru. Wokół niego znajdowały się dwie fortyfikacje skalne. Pierwsza z nich nazywała się "linią Gustawa" a druga położona nieco w głąb - "linią Hitlera".

Wieczorem zbiórka tych, którzy idą ^{na bitwę} pod Monte Cassino. Następnie msza polowa. Karolan pułkowy udziela błogosławieństwa oraz udziela zbiorowego rozgrzeszenia. Głos zabiera dowódca pułku płk Dołęga-Cieszkowski, który nie posiadał daru przemawiania do żołnierzy. Nazywaliśmy go "gienierał", gdyż służył w armii carskiej nabawił się ruskiego akcentu. Żołnierz lub mowę krótką i ciętą, a on mówił jak stara baba. Do żołnierzy umiał przemawiać ^{jedynie} generał Anders, za co był przez nich lubiany.

W nocy załadowaliśmy się na samochody i różnymi górskimi wertepami dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia, gdzie

dalej musieliśmy iść pieszo wąską drogą osłoniętą siatką maskowniczą. Droga w tym wąskim wąwozie nosiła nazwę Inferno czyli piekło. Dla utwardzenia nawierzchni wyłożono stalowe siatki ^{z góry siatki} maskownicze, przetykane trawą i gałązkami, dla osłony przed obserwacją ~~z góry~~. Wąwóz i droga do Venafro były ostrzeliwane, dlatego też co paręset metrów przy drodze wisiały ^{ty} tablice z napisami "Droga ostrzeliwana", "Nieprzyjaciel obserwuje", "Nie daj się zabić". Na drodze, tej panował duży ^{ruch} ruch. Mimo silnego ostrzału artylerii niemieckiej polska i angielska żandarmeria regulująca ruch zachowywała się wyjątkowo spokojnie, jakby to była ulica Marszałkowska w Warszawie a nie pole walki. Dwa samochody "willis" nie mogły się na tej drodze wyminąć i punkty ruchu puszczały je tylko w jedną stronę. Samochody te zamiast numerów pułkowych miały ~~wymalowane~~ tablice z namalowanymi diabłami z widłami. Ale też i jeździli po tej wąskiej drodze jak diabły.

"Nie bądź głupi i nie daj się zabić!"
Tablica ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ mówiła wiele, ale my obciążeni plecakami, w których były płaszcze i koce, oraz chlebami i ładownicami wypełnionymi amunicją, na plecach karabiny ^{lub} pistolet automatyczny, w rękach jednoosobowe namioty nie zwracaliśmy na nią uwagi i żartowaliśmy z niej.

Ulokowano nas na zboczu góry u wylotu do wąwozu rzeki ^{Rapido} Rapid. Z drugiej strony góry widoczny był klasztor dominujący ^{nad} miasteczkiem Cassino. Pod nami w skarpie drogi Inferno ulokowano magazyn z amunicją i beczkami z benzyną. Magazyn ten był pod ostrzałem artylerii niemieckiej, a my siedzieliśmy na tym "wulkanie".

Wykopaliśmy płytkie dołki a nad nimi ustawiliśmy w cień krzewów i drzew swoje namiociki, które chroniły nas przed deszczem i słońcem ale nie służyły do spania nocnego. W nocy po cichutku schodziliśmy w dół drogi i w dolinie rzeki Rapid kopaliśmy stanowiska dla dział artyleryjskich. Następnie maskowaliśmy je za pomocą gałęzi i przed nastaniem świtu wracaliśmy do naszego punktu wyjściowego. W tych stanowiska wprowadzano działa i maskowano siatkami maskującymi. Były tak pięknie ukryte, że nawet z bliska nie można było ich ~~zobaczyć~~ zauważyć. Po wykonaniu tego zadania przesunięto nas nieco dalej przed działa i kopaliśmy wgłębienia umożliwiające nam ochronę przed niemieckimi pociskami.

Naszym zadaniem podczas walki będzie stawianie zasłony dymnej w celu osłony artylerii. Otrzymaaliśmy do tego zadania 10 kg świece dymnej. W mroku nocy nie było nic widać, ale gdy księżyc wychylił się spoza chmur widać było ogromne pasmo górskie, które będzie zdobywane przez polskich żołnierzy. Widoczny był też dumny a zarazem groźny klasztor, który szturmowały już wojska różnych narodów bez powodzenia. Teraz szansę otrzymują Polacy... Dotychczas górę próbowali zdobywać dywizje amerykańskie, angielskie, nowozelandzkie, francuskie i hinduskie. Cofały się nie mogąc przełamać niemieckiej obrony. Lotnictwo i artyleria nie czyniły większych szkód obrońcom, którzy na czas nawały ogniowej schodzili do głębokich i dobrze zabezpieczonych schronów. Z chwilą pojawienia się piechoty przebiegali

do naziemnych żelbetonowych bunkrów i razili ogniem broni ręcznej, maszynowej i artylerii nacierającego przeciwnika. Zmagania te trwały już od stycznia 1944 roku. W czasie tych walk klasztor doszczętnie zniszczono zamieniając w gruzy klasztor benedyktynów, zabytek sztuki sakralnej i kultury średniowiecza, jak również samo miasteczko Cassino.

Nadszedł dzień 3 maja i kończyłem dwadzieścia lat a 8 maja miałem mieć imieniny. Wezwał mnie do siebie por. Ginter, który był dowódcą naszej grupy i poczęstował mnie lampką rumu. Mój dowódca baterii por. Fryderyk Mendera pozostał w miejscu postoju pułku i zginął tragicznie w czasie nauki jazdy przygnieciony pojazdem gąsienicowym zwanym "karjers". Była to maleńka tankietka przeznaczona do celów rozpoznawczych. W kilka dni przed ofensywą zostałem wysłany z meldunkiem do dowództwa Drugiego Korpusu. Znajdowało się ono na tyłach w Venafro. Przydzielono mi "willisa" wraz z kierowcą i pojechaliśmy. Przy tej wąskiej drodze Inferno na zboczu góry znajdował się wysunięty szpital polowy z wielkim wyłożonym czerwonym krzyżem. Był to punkt pierwszej pomocy dla rannych żołnierzy z pierwszej linii frontu. W tę stronę przejechaliśmy spokojnie, lecz gdy wracaliśmy na drodze zauważyłem uciekających i kryjących się za skały polskich żołnierzy. W popłochu krzyczeli, że niemiecka artyleria ostrzeliwuje ten dobrze widoczny punkt sanitarny. Pociski rwały się ze wszystkich stron. My na pełnych obrotach przejechaliśmy ostrzeliwany szpital i ukryliśmy się za skałą osłaniającą nas od strony niemieckiej. Gdy się zorientowałem, że przed nami znajdują^{cy} się magazyn amunicyjny został trafiony i płonie, nie zastanawiając się krzyknąłem na kierowcę - "jedziemy". Wskoczyliśmy do "willisa" i za tą skałą, za którą się kryliśmy, widzimy stojący również "willis" trafiony pociskiem a w nim bezwładnie wiszące ciało żołnierza ze spuszczoneymi rękami.

rękoma, po których spływała krew. Byłem pod dużym wrażeniem tego śmiertelnego przypadku i nie mogłem się z tym pogodzić, że żołnierz ten przed chwilą żył a za sekundę był już martwy. Było to moje pierwsze zetknięcie ze śmiercią w warunkach bojowych.

Jedziemy dalej na pełnym gazie, aby jak najszybciej przedrzeć się przez płonący magazyn amunicyjny. Pociski karabinowe brzęczą jak muchy i nie wiadomo w jakim lecą kierunku. Beczki z benzyną płoną jak pochodnie, fruwią do góry, a nasi żołnierze nie bacząc na niebezpieczeństwo wytaczają je i spychają w dół drogi, aby tylko dalej od miejsca zagrożenia. Istne piekło na ziemi, jak zresztą mówi sama nazwa - Inferno.

Rozkaz jednak wykonałem i byłem z siebie dumny. Udało mi się. A przecież mogło być znacznie gorzej. Po tym incydencie zrywałem się jednak w nocy i krzychałem coś będąc pod wpływem wrażeń i przeżyć z poprzedniego dnia. A przecież jeszcze nie tak dawno byłem obojętny wobec otaczającej mnie śmierci. Leżałem obok ludzi masowo umierających natyfus plamisty a tutaj... ten żołnierz w "willisie" też chciał walczyć dla Polski i był już jej tak blisko.

Od kilku dni pracuje radiostacja niemiecka "Wanda", która nadaje audycje w języku polskim. Zaczyna się najpierw "Marszem Pierwszej Brygady" a potem przekazują krótkie wiadomości przeplatane muzyką nie podając żadnej propagandy. Robota subtelna, wyrefinowana, koronkowa, w której nie poruszając tematów wojny spikerka zachęca Polaków żeby przeszli na stronę niemiecką zapewniając, iż natychmiast umożliwią nawiązanie kontaktów z rodziną w Polsce i zapewnią powrót do domu. Mówią też, że strona niemiecka otrzymała rozkaz udzielania pomocy wszystkim tym, którzy podadzą hasło "Do domu!". Odczytywane są też listy rodzin poszukujące krewnych na terenie Włoch. Cały program pomysłany był tak, aby polski żołnierz łapał się na słuchaniu polskiej muzyki i wierzył w to, co mówią. Robota plugawa, ale bez sukcesu.

punkty oporu żyją i zieją ogniem.

My z chwilą rozpoczęcia ognia nie mamy czasu na refleksje. Wyskakujemy ze swoich stanowisk, chwytamy walcowate ^{świe} świece i drżącymi rękoma staramy się je zapalać. Owszem palą się i dymią, ale wygląda na to, że za mocno świecą do momentu zapalenia się materiału dymnego. Przewracamy je do góry dnem aby przyspieszyć ich zapłon. Zapalona świeca dymi i nie widać już ognia, który przecież demaskuje. Idzie dobrze. Nie słyszemy już przejmującego huku dział i nie widzimy łuny wokół nas. Jesteśmy jak w transie. Musimy zapalić jak największą ilość świec, żeby całą dolinę wypełnić mlekiem dymnym. Biegamy jak automaty wykonując bez przerwy jedną i tę samą czynność, świeca, zapałka, wywrotka świecy. I tak w kółko...

Po pewnym czasie dolina wypełnia się białym słodkawym dymem. Naraz za naszymi plecami rozlega się huk dział ukrytej i zamaskowanej artylerii, która włącza się do ogólnej palby. Jesteśmy przed lufami ziejącymi śmiertcionośnym ogniem. Ręce już nam opadają, ale mleka w dolinie jest coraz więcej.

Koledzy, którzy nie brali udziału w tej walce, a byli oddaleni od tego miejsca o 30 km opowiadali, że o godz. 23⁰⁰ nad horyzontem, gdzie znajdował się front zajaśniała łuna. Prawie równocześnie nadszedł odgłos jakby potężnego westchnienia, od którego drgnęła ziemia. Potem słychać już było tylko grzmot przy niegasnącej łunie. Trwało to do pierwszej w nocy a potem ogień ustał jak nożem uciął. Wśród żołnierzy przeszedł szmer "Teraz poszli nasi - daj im Boże szczęście!" Jak się później okazało przerwanie ognia było błędem, gdyż umożliwiło Niemcom obsadzenie naziemnych bunkrów i stawianie skutecznego oporu naszej nacierającej piechocie.

Z nastaniem switu nie widzimy nic w tym słodkawym mleku ale nadal palimy świece i zadymiamy dolinę. Później dowiedzieli

liśmy się, że oddziały, biorące udział w natarciu przeklinały ten słodki i dokuczliwy dym. Nie zasatanawiali się jednak na tym, iż dla artylerii i transportu był on jedynym ratunkiem. Osłaniał przed bezpośrednim wglądem wroga w ruch naszego wojska. Obserwatorzy niemieccy siedzący na stanowiskach kierowania ogniem nie orientowali się w sytuacji i położeniu naszej artylerii, która była milcząca do chwili nadejścia uderzenia. Nawała ogniowa skończyła się i ogień artyleryjski nieprzyjaciela też zmalął.

My jednak wciąż dymiliśmy przez całe trzy dni. Nie spaliśmy i nie odpoczywaliśmy. Cały czas byliśmy zatrudnieni przy ^{tej czynności} zedymieniu. Po trzech dniach przerwano dymienie, a my zakwaterowaliśmy w budynku popuszczonym przez Włochów. W dniu 18 maja ogłoszono, że linia obrony wraz z pasmem wzgórz została zdobyta a na gruzach klasztoru zawieszono biało-czerwony sztandar.

Wyszliśmy na drogę, którą wracały nasze wykrwawione oddziały. Szli pojedynczo i grupami, nie ogoleni, znurzeni i wykończeni tym ciężkim bojem. Narzekali na dowódców, że ich oszukano. Mówiono, iż Niemców powyciągamy jak szczury z tych bunkrów. W bitwie okazało się, że wojska niemieckie były uzbrojone po zęby, że miały silne umocnienia, które trzeba było zdobywać z wielkim trudem. Mówili też o tych, którzy zostali tam i nigdy nie wrócą. Opowiadali, że to nie była bitwa, lecz piekło i rzeź. Dostali się w ogień artylerii. Niemcy kryli się w nie dostępnych bunkrach zaminowanych wokół, a pod prawie każdym kamieniem były miny pułapki.

Bitwa pod Monte Cassino trwała pięć miesięcy i kosztowała aliantów 120 tysięcy ludzi - poległych, rannych i zaginionych. Drugi Korpus stracił 924 zabitych, 345 zaginionych oraz 2930 rannych. Stanowiło to 9 proc. stanu osobowego.

"Był to dzień sławy dla Polski" - powiedział po bitwie generał Aleksander zwracając się do polskich żołnierzy podczas ceremonii dekoracyjnej - "kiedy zdobyliście tę warowną fortecę, którą sami Niemcy uważali za niemożliwą do zdobycia. W tak ciężkim boju musiały być ofiary i było to nieuniknione. Droga nadal sunęła powoli i ostrożnie sanitarki z rannymi a wśród nich "willisy" dostosowane do przewozu rannych bezpośrednio z pola walki. Patrzyliśmy z pogardą na prowadzonych jeńców niemieckich. Byli bezradni i pokorni. Szli z opuszczonymi głowami a nam zaciskały się pięści. To byli bezpośredni winowajcy, którzy wyrządzili nam tyle krzywdy. Tylu naszych żołnierzy poległo. A ilu jeszcze odda życie zanim dojdziemy do Polski?

Napatrzyliśmy się na skutki walki i wróciliśmy do miejsca swojego zakwaterowania. Nad nami wznosiły się góry zdobyte i pokonane. Wydawało się, że jest już po wszystkim. Niespodziewanie rankiem 19 maja w pobliżu naszego budynku zaczęły rwać się pociski artyleryjskie. Raz pocisk upadł z przodu a potem z tyłu budynku. Naraz w naszym lokum zrobiło się ciemno od tynkowego pyłu. Jednak, kiedy spojrzeliśmy w górę ujrzeliśmy otwór, przez który widać było błękitne włoskie niebo. Akurat w tym czasie spożywalismy spokojne śniadanie. Nie bacząc na nic wyskoczyliśmy z budynku do schronu w piwnicy.

Okazało się później, że na najwyższym ^{szczyście} pasmie górskim Monte Cairo nie zlikwidowano stanowiska obserwatorów niemieckich. My ~~kręciliśmy się~~ ^{chodziliśmy} cały czas koło naszego zakwaterowania nie czując zagrożenia. Obserwator niemiecki widząc, że kręci się jakieś wojsko uznał to za punkt dowodzenia i położył na nim ogień. Kiedy trafił w budynek przestał strzelać, uznał bowiem że wszyscy musieli zginąć. Tymczasem my mieliśmy szczęście, bo pocisk był wyposażony w zapalnik z natychmiastowym skut-

tkiem. Uderzył w dach i eksplodować jeszcze na suficie nie wyrządzając nam żadnej krzywdy. Gdyby był z zapalnikiem opóźnionym, to eksplozja nastąpiła by w środku i nie zostałoby po nas śladu.

Od tego czasu jeden z naszych kolegów spał zawsze ^{schronie} w ~~schronie~~ ~~schronie~~. Kiedyś dla kawału, gdy spał, rzuciliśmy koło wejścia do tego schronu zaczepny granat z ebonitu. Na ten huk śpiących wyskoczył jak z procy nie wiedząc, co się dzieje. Więcej takich żartów nie robiliśmy. Ale sytuacji żartobliwych na wojnie zdarzało się wiele. Kiedyś jeden z naszych kolegów wybrał się na czereśnie. Gdy siedział na drzewie i zjadał owoce ~~gałką~~ ~~kiśocił~~ pośliznął się i spadając z drzewa zaczepił spodniami o gałąź rozrywając je na pół. Wyglądał tak, jakby miał spódnicę. Na dodatek w żywe oczy złgał, że dostał się pod obszar artyllerii i to odłamek wybuchającego pocisku rozerwał mu spodnie. Śmieliśmy się do łez, nie tylko na jego widok, ale z nonsensownej opowieści, bo żaden artylerzysta nie strzelałby z działa do pojedynczego żołnierza.

Po kilku dniach od zakończenia bitwy poszliśmy z kolegami obejrzeć pole walki. Miasteczko Cassino było kupą gruzów. Nie było nawet śladów po ulicach. Wszystko zasypane i martwe. Spośród ruin wзираły niemieckie schrony połączone między sobą podziemnymi tunelami. Natrafiliśmy tam na kilka ciał amerykańskich żołnierzy, których nikt jeszcze nie pochował od czasu pierwszego natarcia. Były w fazie rozkładu. Tylko zęby sterczały im na wierzchu. Była to ziemia niczyja. Wszędzie tylko czyhały miny i śmierć. Widok ten był straszny a potęgował go odór rozkładających się ciał, ludzi i mułów. Wracając z tej wstrząsającej wycieczki wszędzie napotykaliliśmy obraz wojennych żniw
W jednym z niemieckich bunkrów

~~krów~~ znaleźliśmy dużą ilość konserw. Wzięliśmy tyle, ile udało się nam udźwignąć. Po drodze ~~część~~ oddaliśmy ^{je} mieszkańcom tego regionu, którzy powoli wracali do swych zrujnowanych domów, a raczej piwnic, bo tyle zostało po bitwie. Bardzo dziękowali nam za tę pomoc, bo oprócz resztek ścian, nic w tych domach nie było. Przeklinali Niemców i Mussoliniego, którzy wyrządzili im tyle krzywdy. Pomyślałem wówczas o nich - "biedny naród", ale co my mieliśmy powiedzieć, którzy do swego ^{wodunnego} domu jeszcze nie doszliśmy i nie odebraliśmy pełnej zapłaty za swoje krzywdy. Już tyle wytłukliśmy się po świecie a teraz jeszcze nasza krew wsiąka w włoską ziemię, od której maki kwitną bardziej czerwono. Dla nich to już koniec wojny. A ilu naszych nie dojdzie do swojej Ojczyzny?

Po kilku dniach opuszczamy nasze czasowe miejsce zakwaterowania i wracamy do pułku. Przystępujemy do dalszych codziennych zajęć jakby zapominając to, co widzieliśmy i przeżyliśmy. Wiemy, że walka nie jest jeszcze zakończona i były to dopiero nasze pierwsze kroki bojowe. Wierzymy w swój wspaniały sprzęt bojowy i przyjdzie czas, że nie będziemy palić świec dymnych, lecz zagrzmimy z naszych dział przeciwpancernych. Nasz pułk jest jednostką specjalną i podlega bezpośrednio dowódcy korpusu. I chociaż nie wszyscy braliśmy udział w bezpośredniej walce z wrogiem, nałożone na nas zadanie wykonaliśmy bardzo dobrze. Byliśmy z tej oceny dumni. Tym bardziej, że w szturmie na Monte Cassino uczestniczyły najlepiej wyszkolone polskie oddziały znające już swój fach, bojowy. W poprzednich natarciach nie udało się zdobyć Monte Cassino ani wojskom amerykańskim, ani francuskim, ani hinduskim i nowozelandzkim, a dokonali tej sztuki Polacy. Armia polska okryła się chwałą.

KIETRONEK ANKONA.

Pułk opuszcza swoje miejsce postoju i przenosimy się do Porto Recanati w okolicy Loretto. Ja zostaję zdjęty z motocykla i otrzymuję przydział do czołgu na stanowisko celo-

wniczego. Lubiłem strzelać, ale tylko z czołgu, gdyż z broni małowkalibrowej nie szło mi najlepiej. Widocznie dowództwo doszło do wniosku, że taki talent jak ja nie może marnować się na motocyklu. Było mi to na rękę, bo wiedziałem, że będę mógł nareszcie wziąć bezpośredni udział w walce i grzać Niemców, jak w kaczy kuper.

Pewnego dnia lotnictwo niemieckie przeprowadziło nalot na Loretto i jedna z bomb spadła na katedrę z cudownym obrazem Matki Boskiej Loretańskiej. To co oglądaliśmy potem w środku przechodziło ludzkie pojęcie. Otóż spadająca bomba na ten kościół wybuchła wewnątrz niszcząc całkowicie ołtarz niemiecki. Obok stał polski ołtarz, który nic nie ucierpiał ^{z powodu} na tej eksplozji, jak zresztą ołtarze innych narodowości. Oglądaliśmy to miejsce z wielkim wzruszeniem i wszyscy podkreślaliśmy jedno - chyba tylko cud mógł sprawić, że niemiecka bomba zniszczyła ołtarz niemiecki nie uszkadzając innych.

W Loretto, a właściwie Porto Recanati długo miejsca nie zagrzailiśmy. Ruszyliśmy na północ w kierunku Ankony znajdującej się w rękach niemieckich. Nocą zajęliśmy miejscowość Monte della Crescia. Mówi się, że stąd wyruszymy w bój o zdobycie ważnego śluzowaliantów portu, jakim jest Ancona. I rzeczywiście dowództwo Korpusu postanowiło okrążyć to miasto i zmusić Niemców do opuszczenia portu bez walki, ~~lub~~ (najtańszym kosztem). Nocami cały czas przegrupowywano czołgi spod Loretto pod Monte della Crescia, które było kluczowym punktem oporu niemieckiej obrony w tym rejonie. Działania rozpoczęły się pozorowaniem przygotowań do natarcia na odcinku w kierunku do Adriatyku. W związku z tym całą poprzedzającą noc przed faktycznym natarciem czołgi szumiały na niskich biegach. Skoncentrowano tu kariery, grzmiała artyleria a o świcie

poszło w ruch zadymianie przedpola. Tymczasem główne natarcie w dniu 17 lipca 1944 roku ruszyło w zupełnie innym kierunku, tam gdzie nas się najmniej spodziewano. Było to uderzenie pancerne czołgów, które sforsowały rzekę Mussone i wdarły się na stanowiska niemieckie w Case Nuove. Wieczorem osiągnęły już Aguglianę. Obrona niemiecka przygotowana przede wszystkim na linię szosy nr 16 nie wytrzymała uderzenie na skrzydło. Pancerniacy kontynuowali okrążenie ^{ale} /gdy nadeszła noc Niemcom udało się wyjść z ~~owroka~~ /Podczas natarcia własnym oczom nie wierzyliśmy widząc taką masę ^{naszego} /czołgów. Szły gęstą ławą i była ich niezliczona ilość. Między nami były też czołgi angielskie, a pośród tej masy żelaza biegła z tyłu piechota. Niemcy wystraszeni masowo poddawali się do niewoli. My ich nie braliśmy, tylko rękami machaliśmy, aby przechodzili do tyłu. Wiedzieliśmy że nasza piechota szybko się nimi zajmie i odstawi do obozu. Naszym zadaniem było iść naprzód i baczyć pilnie, aby niemieckie czołgi nie wdarły się w pole naszego natarcia. Nie napotykamy prawie na żaden poważniejszy opór i posuwamy się dalej całą ławą czołgów. Jak taka horda mrówek przechodzimy przez Polverigi-Agugliano-Falconare. Był to wspaniały marsz broni pancernej i tutaj nie było żadnej wątpliwości, że jesteśmy potęgą, która musi wygrać tę bitwę i wojnę. To nie było Monte Cassino, gdzie Niemcy siedzieli ukryci jak szczury. Tu było inne spotkanie i inna siła uderzenia wojsk polskich. Włosi płacząc witali nas i znów klęli na wodzów faszyzmu. Na pewno wśród pocziwych ludzi kryli się faszyści udając patriotów, ale to nie było już nasze zmartwienie.

Ankona została zdobyta 18 lipca o godz. 14⁰⁰ kosztem 496 poległych żołnierzy, 1789 rannych i 139 zaginionych. Jak widać nie obeszło się bez wielu ofiar zwłaszcza wśród żołnierzy piechoty. W 1939 roku wysoki stopień zmotoryzowania pozwolił

Niemcom z marszu pokonać konną armię polską. Tutaj we Włoszech była już inna taktyka walki. Widzieliśmy żołnierzy niemieckich cofających się pieszo w pyle dróg, w nieustannym szumie samolotów, zarośniętych i brudnych, w nieprzydatnych o tej porze zimowych mundurach. Byli często obdarci i głodni. Wlekli się na konnych furgonach, taszczyli ciężkimi na biedkach a w zaprzęgnięte armaty ciągnęły czasem woły a nawet krowy. Tak wyglądała armia, która chciała podbić świat. Straty nieprzyjaciela w ludziach i sprzęcie były bardzo wysokie. Do niewoli trafiło ponad trzy tysiące jeńców, w tym 24 oficerów, a wśród nich dowódca pułku piechoty odznaczony Żelaznym Krzyżem przez marszałka Kesserlinga.

W rozkazie pochwalnym dowódcy 8 Armii gen. Leese skierowanym do żołnierzy 2 Korpusu Polskiego czytaliśmy: "...wasz ruch oskrzydlający wykonany został po mistrzowsku i wsparty silnym naciskiem na skrzydło Pułku Ułanów Karpackich. W wyniku tego manewru Niemcy zostali zmyleni, jeżeli chodzi o kierunek waszego głównego natarcia. Posiadanie Ancony ma ogromne znaczenie dla naszego zaopatrzenia."

Po zdobyciu Ancony dowódca Pułku Ułanów Karpackich ~~gen. Anders~~ wysłał meldunek do dowódcy Korpusu gen. Andersa następującej treści: "Melduję, że w dniu 18 lipca 1944 roku o godz. 14⁰⁰ po przełamaniu oporu niemieckiego w miejscowości Tavernelle wzięciu 55 jeńców, wkroczyła moja szpica pod dowództwem ppor. Krugłowskiego do m. Ankona. O godz. 14³⁰ wjechałem do miasta osobiście witany przez rozentuzgasmowaną ludność cywilną. Cały mój samochód był zasypany kwiatami, kobiety rzucały mi się na szyję; kierowcę całowano po rękach". Tak witano wojsko polskie wkraczające do Ankony. Dla uczczenia pamięci żołnierzy polskich walczących o wyzwolenie tego miasta ufundowano tablicę pamiątkową, na której napisano:

"18 lipca 1944 roku przez tę bramę Św. Stefana zwycięskie oddziały Korpusu Polskiego wkroczyły do Ankony.

Ku pamięci tych dzielnych żołnierzy, którzy walczyli i umierali za swoją i naszą Ojczyznę, przyczyniając się do wyzwoleni Włoch z ucisku Nazi-Faszystowskiego Rada Miejska Ankony położyła tę tablicę w 30 rocznicę historycznej daty - 18 lipca 1974".

Jest to piękny akt wdzięczności. Nie zdążyłem odwiedzić samej Ankony, gdyż zostaliśmy od razu skierowani do zdobywania niemieckich umocnień na tak zwanej linii "Gotów", silnie obsadzonej przez Niemców a ułożonej między rzekami Missa-Cesano - Metauro.

Nasza bateria została przydzielona na odcinek zajmowany przez grupę włoską gen. Badoglio. Posiadali uzbrojenie i umundurowanie jakie nosili za Mussoliniego. Daleko odbiegała od naszego nowoczesnego uzbrojenia. Byli to jednak żołnierze weseli, rozśpiewani i bardzo przywiązani do Polaków. Nie mieli tyko zaufania do Anglików, gdyż na jednym odcinku bojowym Anglicy pozostawili ich na łaskę losu a sami wycofali się. Włosi bali się Niemców aż do przesady o czym przekonaliśmy się wkrótce na własne oczy.

Byliśmy usytuowani na pierwszej linii a piechota włoska ubezpieczała nas. W odległym od nas o 5km miasteczku znajdowali się Niemcy. Na domiar złego Włosi mówili, że jest to miejscowość zamieszkała przez faszystów Mussoliniego, w której urodził się sam "duce". Od czasu do czasu prowadziliśmy ogień nękający, gdyż miasteczko oddzielała od nas dolina za której było ono widoczne jak na dłoni. W ciągu dnia Włosi siedzieli blisko nas i ubezpieczali jak należy. Nocą jednak wycofywali się aż o 2-3 km pozostawiając nas bez osłony. Musieliśmy sami ubezpieczać swoje czołgi, a oni z gitarami w ręku śpiewali sobie daleko i wesoło bawili się. Cały czas mówili, że jak

wojska niemieckie zaatakują, oni będą musieli się wycofać, aby nie wpaść w ich ręce. Za to w dzień byli bardzo serdeczni i przyjacielscy. Chodzili z nami do pobliskich gospodarstw. Kazali dla nas piec kury i gęsi oraz częstować winem. Nie było tłumaczenia. Gdy nie skutkowało prośba wyciągali broń, zabijali drób i nakazywali jego szybkie upieczenie.

Beliśmy się, że Niemcy rozszyfrują nasze pozycje, bo nasz dowódca dywizjonu będąc raz dobrze na rauszu kazał otworzyć ogień z czołgów w kierunku Niemców. Kilka dni później zajęliśmy owe miasteczko o nazwie Predapio i rzeczywiście włoscy faszyci nie zamierzali łatwo się poddać. Lali na włoskich żołnierzy gorącą wodę z okien i strzelali zza węgła. Niemcy wycofali się a oni dalej stawiali opór. Zginął w tym mieście syn generała Badoglio w stopniu porucznika. Ucierpiała przez to wszystko ludność miasteczka, gdyż winien nie winien, wszyscy byli traktowani jak faszyci. Tych najbardziej agresywnych rozstrzelali Włosi bez sądu, w tym nawet jedną kobietę za współpracę z Niemcami. Nas, aby ugościć wynieśli jedzenie i picie na ulicę. Piliśmy więc i bawiliśmy się wspólnie z wszystkimi, którzy cieszyli się z klęski faszystów.

Linia Gotów została całkowicie pokonana przez jednostki 2 Korpusu. Niemcy stracili 400 zabitych, 1200 rannych a do niewoli zostało wziętych 700 jeńców. Zdobyto 24 czołgi i 40 dział. Straty polskie łącznie z rannymi wyniosły 335 osób. 22 sierpnia oddziały 2 Korpusu zapanowały nad brzegiem brzeki Metauro. Od tego momentu zaczęły się przegrupowania sił 8 Armii. Nas skierowano na wypoczynek do miejscowości Arecco.

Przybywają do naszych jednostek żołnierze z armii niemieckiej wzięci do niewoli przez wojska alianckie. Byli to pomocnicy i słuzacy przymusowo wcieleni do niemieckiego wojska. Gdy dostali się do niewoli poczuli się Polakami i wyrazili

chęć walki przeciwko Niemcom. Okazali się zdyscyplinowanymi żołnierzami znającymi swój fach wojskowy. Musieliśmy ich tylko zapoznać z naszymi regulaminami i posiadanym sprzętem wojskowym. W miejscu postoju dużo czasu poświęciliśmy na ostre strzelanie z czołgów do celów ustawionych w górach. Strzelanie w moim wykonaniu dokuczało kolegom ustawiającym beczki, które stanowiły cel. Po moich strzałach białe beczki fruwały do góry i staczały się w dół. Oni musieli za każdym razem taszczyć je do góry i ustawiać je na nowo, klnąc ile wlezie na tych, co tak dobrze strzelają. Jak już wcześniej wspomniałem strzelanie z grubej rury nie sprawiało mi trudności i wiedziałem, że jak grzmotną do dużego celu, to zniszczę czołg albo grupę żołnierzy wroga.

W tym czasie nie tylko ćwiczyliśmy i uzupełnialiśmy sprawność bojową, ale także wyjeżdżaliśmy na dwudniowe wycieczki do Rzymu. Niemcy po upadku linii Hitlera musieli opuścić stolicę Włoch i można ją było zwiedzać bez obaw. Największe wrażenie wywarło na mnie Koloseum. Z zewnątrz wygląda jak ruina, ale gdy wejdzie się do środka i wstąpi na arenę, następnie popatrzy na wnęki skąd wypuszczano dzikie zwierzęta zaczyna pracować wyobraźnia. Przed oczyma staje obraz rozszarganych chrześcijan z powieści Sienkiewicza "Quovadis". Dla chrześcijanina największe znaczenie ma jednak państwo watykańskie z Bazyliką Świętego Piotra. Ogrom i piękno tej budowli aż przytłacza a dzieła Michała Anioła i innych włoskich artystów urzekają swoim urokiem.

W Rzymie byłem dwa razy i dwukrotnie korzystałem z audjencji u Papieża Piusa XII. Jeden raz był niesiony na tronie przez straż przyboczną. Drugi raz wszedł do sali bocznymi drzwiami. Był to szczupły i niski mężczyzna o bardzo miłym wyglądzie. Gdy przyjmował grupę polskich żołnierzy powitał

nas w języku polskim - "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" a następnie przemawiał po włosku. Na zakończenie audjencji pożegnał nas znów polskimi słowami - "Z Bogiem do Polski! Zwiedziliśmy ^{też} muzeum watykańskie mieszczące przeogromne skarby w postaci arrasów, obrazów, rzeźb, przedmiotów wykonanych ze złota. Na mnie ten przepych wywarł przykre wrażenie. Przecież to nie tak chciał Chrystus. Był ^{oh} człowiekiem ubogim, chodził boso i obracał się wśród biednych. Tutaj widzimy przepych i bogactwo. Komu to potrzebne? Kto to zdobył i za jaką cenę? Jakimi przybyło to drogami?

We Włoszech zwiedzałem nie tylko Rzym ale i inne ^{miejscowości} miasta, które okazały się nie mniej piękne od wiecznego miasta. Wszędzie pełno pomników i rzeźb. Całe więc Włochy wartę są podziwu. Włosi mówią o swym kraju "Dziardino di Europa" i faktycznie nie mylą się nazywając swój kraj ogrodem Europy. Rzeczywiście piękny to kraj składający się z krzykliwego, lecz rozśpiewanego narodu. Sami Włosi byli dla Polaków życzliwi i uprzejmi. Zapraszali nas na wino własnej produkcji i częstowali czym mieli. Ale największą sympatię okazywały nam włoskie "signioriny" a my przecież byliśmy młodzi i jak to się mówi - chłopcy z fasonem. To dodawało nam animuszu i jestem pewien że nie jednej Włoszce podbił serce "soldato Polako".

Nie wdawaliśmy się w poważne amory, gdyż nasze serce tęskniły za tymi, co zostali w kraju. A my byliśmy już tak blisko Polski. Musimy prać Niemców i jak legiony Dąbrowskiego chcemy wrócić "z ziemi włoskiej do Polski". Nikt, kto nie był tułaczem, kto nie wiedział, czy i kiedy wróci, czy po powrocie zastanie swoich krewnych, nie zrozumie uznać jakich doznawaliśmy. Byliśmy małą częścią narodu rozrzuconego po świecie, który utracił swój kraj. Wierzyliśmy jednak, że nasza ofiara nie pójdzie na marne i modliliśmy się gorąco podkreślając szczególnie słowo - "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie".

W ramach cyklu wycieczek po Włoszech zwiedziłem również Neapol i podziwiałem starego dymiącego Wezuwiusza a pod nim ruiny prastarej Pompei, które niegdyś będąc fragmentem starożytnego miasta zostały zniszczone przez wulkan. Niedaleko tego cennego zabytku cwani handlarze prezentowali skrycie na niewielką opłatę obrazki pornograficzne. Jeszcze później siedmiodniowy urlop przeznaczyłem na zwiedzenie Florencji. Oprócz podziwu dla artystów i złotników florenckich z tego miasta wywoziłem pewną przygodę. W trakcie spaceru po mieście poznaliśmy z kolegą żołnierzy nowozelandzkich. Najpierw znajomość pogłębilismy sporą ilością wypitego alkoholu a następnie grubo po północy na ulicy w centrum miasta rozegralismy sobie braterski mecz piłki nożnej. Temu niecodziennemu wydarzeniu przyglądała się spora grupa miejscowych kibiców, którzy zapewne mieli sporo uciechy oglądając takie widowisko. Po meczu, którego nie pamiętam, jaki był wynik, przekonywaliśmy Włochów o słuszności naszego wybryku mówiąc - "AcCo? Nie wolno nam? Przecież walczymy ramię w ramię za wolność waszą i naszą".

Zimowaliśmy na kwaterach prywatnych w Arecco zarekwirowanych na potrzeby wojska. Mieliśmy ciepło i wygodnie. Naszej gospodyni dostarczaliśmy fasowany prowiant a ona przyrządzała nam posiłki. Obie strony były zadowolone, bo z tego prowiantu jedzenia straczało dla wszystkich.

MARSZ NA BOŁONIĘ. W marcu wracamy na front. Zajmujemy pozycje w okolicach Faenzy w kierunku na Bolonię. Przez całą zimę front stał w miejscu a wojsko ograniczało się jedynie do wzajemnego ostrzału artyleryjskiego, co miało chyba oznaczać że nadal tu jesteśmy i trzymamy wciąż linię frontu. Wczesną wiosną Niemcy rozbudowali swe pozycje obronne za rzeką Senio mając nadzieję skutecznie oprzeć się na jej rozlewiskach. Błotne

topiele niezliczonych rzeczulek opóźniały wojskom alianckim marsz na północ. Nieprzyjaciel zepchnięty za rzekę Senio pozwolił oddziałom 2 Korpusu zatrzymać się na zajętych terenach i cierpliwie czekać lepszej pogody. Owo czekanie trwało bardzo długo - od grudnia 1944 do kwietnia 1945 roku. W tym czasie jednostki polskie, jak zresztą inne jednostki alianckie, prowadziły jedynie wojnę pozycyjną.

Naszym zadaniem było osłaniać piechotę a w nocy prowadzić ogień nękający strzelając z czołgów ogniem przenośnym. Ustawiliśmy lufę działa pod wskazanym kątem przykładając kątomierz do nasady zamku i oddawaliśmy kilka strzałów pociskami rozpryskowymi i ponownie sprawdzaliśmy kąt pochylenia lufy. Nie wierzyliśmy w skuteczność tego ostrzału i żartowaliśmy sobie twierdząc, że strzelamy Panu Bogu w okno. I chyba tak było, bo czołg po wystrzale wykonywał ruch wahadłowy i za każdym razem zmieniał położenie lufy. Strzelanie ma sens, jeśli cel jest widoczny przez lunetę celowniczą a kolejne wystrzały ~~do skutku~~ korygowane. Ale cóż, rozkaz był rozkazem. Tyle, że brak bezpośredniego kontaktu z nieprzyjacielem powodował straszną nudę i zniechęcenie wojska.

Pewnego razu, ktoś wpadł na pomysł, aby naszymi trzydziestotonowymi czołgami wyjechać przed linię frontu i trochę postrzelać do "Fryców". Nocą, na małych obrotach, tak że było tylko słychać klekotanie gąsiennic wjechalismy do ogrodu między drzewa oliwne i oddaliśmy dwadzieścia wystrzałów, nie wiadomo do czego i do kogo. Tak na oślep. Podczas tej brawurowej, lecz bezsensownej fanfaronady nasz czołg natrafił na grząski grunt i niespodziewanie ugrzązł po samą wieżyczkę. Nie mogliśmy ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Pozostałe trzy czołgi wycofały się na uprzednio zajmowane pozycje a my uwiązani w grząskiej mazi zostaliśmy na pasie frontowym

rozdzielającym wojska nasze i niemieckie. Nad nami zawisł księżyc i oświetla nas jak uliczna latarnia. Żyjemy podszyci strachem, że Niemcy lada moment zauważą nasz czołg i zechcą go zniszczyć. Nie mamy żadnej osłony w postaci piechoty, postanawiamy stworzyć własną ochronę z załogi czołgu. Efekty przychodzą szybko. Znajdujemy w pobliżu ustawioną w pęczkach wysoką trzcinę, którą maskujemy widoczną część czołgu. Następnie wymontowujemy z czołgu ręczny karabin maszynowy, zabieramy z niego broń osobistą, amunicję i granaty i organizujemy wokół czołgu stanowiska ogniowe, które również maskujemy trzcina. Gdy nastał świt wycofaliśmy się o 50 metrów wstecz chroniąc się w zabudowaniach jakiegoś gospodarstwa i nasz czołg zostawiając na pastwę losu. Cały dzień siedzieliśmy tam jak trusie i nocą znów powróciliśmy do swej zguby, która tak głęboko zapadła się w grunt, że z ziemi można było bezpośrednio wejść do wieżyczki. Nie dostarczono nam żywności musieliśmy się więc dobrać do żelaznych porcji. Były tam suchary, konserwy mięsne, herbata i czekolada. Tak przyczajeni trwaliśmy tak przez kilka dni bez nadziei na pomyślny rozwój sytuacji. Byliśmy przyczajeni do wałki w terenie górzystym a tu wokół sama równina. Teren dobrze widoczny. Nareszcie którejś nocy słyszymy z tyłu warkot silnika i znajome klekotanie gąsiennic. Przychodzą do nas z pomocą dwa czołgi z brygady pancernej dostowane do jazdy po rozmokłym terenie. Mają założone na gąsiennice metalowe łapy zwiększające szerokość powierzchni jezdnej. Zaczepiają naszego topielca stalowymi linami, my uruchamiamy silnik w czołgu i na pełnych obrotach chcemy wyjechać z bagna, a tu nic. Nie ruszyliśmy ^{gł}gnawet z miejsca. Tymczasem ^{ustyszała} dojrzała nas artyleria niemiecka i dalejże nas ostrzeliwać. Na szczęście pociski padają daleko i nie czynią nam krzywdy. Przybyły ofi-

cer nie traci jednak głowy i nakazuje jak najszybciej naciąć drzew oliwnych i z nich umocnić drogę, jak to czyniono na Polesiu. Artyleria niemiecka strzela coraz bliżej. Widać już blyskający ogień rozrywanych niedaleko pocisków. W pewnym momencie przestraszyłem się, bo gwizd pocisku wskazywał, że wybuch nastąpi bardzo blisko. Rzuciłem się w głęboką koleinę czołgu, lecz wybuch nastąpił tuż za nami. Widząc to porucznik mówi do mnie: "Nie bój się, to jeszcze nie dla nas!". Zrobiło mi się różniej. Dokładamy jeszcze trochę drzew pod gąsiennice czołgu i na komendę porucznika całą mocą silników ruszamy do przodu. Powoli, powolutku wyjeżdżamy z bagna i po drodze ułożonej z oliwek wracamy wychodząc cali z opresji. W jednostce emocji co niemiara.

Po dwutygodniowym pobycie na linii frontu zostaliśmy wycofani na tyły i zakwaterowani w małym miasteczku Faenzie. Tutaj uroczyście spędziliśmy Święta Wielkanocne nie zapominając oczywiście o poniedziałkowym Smigusie-Dyngusie. W drugiej połowie kwietnia wracamy na linię frontu w okolice miejscowości Gajena. Zgrupowano tu broń pancerną, artylerię i oddział piechoty. Było tak ciasno, że trudno się zorientować, gdzie stacjonuje dana jednostka. Groch z kapustą. Między nami stoja też potężne pięćdziesięciotonowe "Churchile" - czołgi huzarów angielskich. Posiadają urządzenia specjalne i silne uzbrojenie. Stoja też "Skorpiony", które mają przed sobą umocowane bębny obrotowe z ciężkimi łańcuchami służące do niszczenia min. Kilka takich czołgów potrafiło bardzo szybko utorować drogę przez pola minowe. Wojsko nazywało te czołgi "cepakami". "Krokodyle" natomiast wyposażone są w olbrzymie miotacze ognia, którymi potrafią podpalać wszystko na odległość do stu metrów, nie wyłączając żelbetonowych bunkrów.

Na naszej drodze stoja siły niemieckie złożone z ~~pięć~~

1. i 4 Dywizji Spadochronowej i 26 Dywizji Pancерnej. Jeżeli je przełamamy, a 5 Armia amerykańska, która działa od zachodu wykona swoje zadanie, to skrzydła brytyjskie zamkną Niemców w wielkim kotle, z którego nie będzie wyjścia. Niemcy są dobrze uzbrojeni i starannie ufortyfikowani, zwłaszcza na rzekach Senio i Santerno. Na każdy pluton spadochroniarzy przypadają trzy "szpadały"/ckm-y/, jeden "offeurohr" do zwalczania bron pancерnej i jeden strzelec wyborowy wyposażony w karabin z lunetą. Wszystko to okopane w wałach przeciwpowodziowych o wysokości 6-7 metrów i szerokości drogi. W tych wałach Niemcy wybudowali schrony i stanowiska ogniowe skierowane na rzekę. Ognie ze strzelnic wychodzących na lustro wodne były tak powiązane, że nawet szczer nie przemknąłby się przez rzekę.

Był piękny, kwietniowy poranek i wszyscy czuliśmy, że coś zacznie się dziać. Nagle słyszymy szum silników a powietrze zaczyna drgać od huku nadlatujących samolotów. Nadleciały eskadry bombowców i niebo wypełniło się ~~wrogimi~~ srebrnymi ptakami, które dumnie płynęły - eskadra za eskadrą. Widok wspaniały. Naraz zagotowało się. Artyleria przeciwlotnicza strzela pociskami dymnymi i wskazuje samolotom linię frontu. Posypały się bomby. Przez jakiś czas słychać tylko jeden łoskot rwących się pocisków i bomb. Tumany kurzu przysłaniają widoczność. Kiedy bombowce przeszły całą ławą i zniknęły gdzieś w sieni dali nadleciały samoloty myśliwskie zwinne jak jastrzębie i szybkie jak strzała. Pikuja kolejno w dół i strzelają z karabinów maszynowych. Gdy lotnictwo wykonało swe zadania włączyła się artyleria i grzmoci aż dudni. My z czołgami jesteśmy między liniami artylerii, a huk i łoskot pocisków oszalał nas. Znajdujemy się w piekle ognia artyleryjskiego. Gotowi siedzimy w czołgach. W pewnym momencie pada rozkaz i ruszamy do przodu. Ze wszystkich stron suną potężne stalowe rumaki, a za

nimi biegnie piechota. Jedynym słowem - piekło na ziemi. Wzniesiony pył i huk dział wskazują, że zaczęło się na dobre. Cała masa Niemców idzie do niewoli. Wielu z nich nie wytrzymuje psychicznie i dostaje pomieszania zmysłów. Uradowani i upojeni tym widokiem przemy do przodu nie napotykając na żaden opór nieprzyjaciela. Po pewnym czasie zagęszczenie wojsk maleje i wszystko nagie rozplywa się w terenie. Wygląda na to, że wróg przepadł gdzieś. Ale to tylko złudzenie. Gdzieś tam małe grupy Niemców próbują stawiać opór. Niektórzy Niemcy wzięci nawet do niewoli nadal są butni i udają niepokonanych. Przykładem jeden młody oficer niemiecki. Ubrany w dopasowany mundur i błyszczące buty z cholewami nie chce z nikim rozmawiać i żąda dostarczenia go do sztabu dowództwa. Swoją postawą budzi w nas nienawiść i z chęcią nauczylibyśmy go mówić. Ale są Niemcy, którzy mają dość wojny i Hitlera. Poddają się i zadowoleni są, że trafiają do niewoli. My jedziemy dalej. Nasza bateria będąca w odwodzie posuwała się wciąż za linią frontu. W nocy dowódca dywizjonu przysłał do nas jeńca niemieckiego ~~z rozkazem~~ ~~z rozkazem~~. Ci, którzy znali niemiecki wzięli go na spytki i okazało się, że jest on Austriakiem. Mówi o swym szczęściu z powodu dostania się do niewoli i nawet nie wie, co może go spaść. Powtarza tylko w kółko - "Hitler kaput!". Pokazuje też zdjęcia swych dwóch kilkuletnich dzieci karmiących gołębie. Nie mieliśmy sumienia wykonać tego rozkazu. Daliśmy Niemcowi papierosów i pierwszym lepszym "willisem" odesłaliśmy go na tyły frontowe. Widząc miłą postawę wśród żołnierzy niemieckich czuliśmy, że wojna wisi już na włosku.

Następnego dnia naszą baterię z odwodu przydzielono do wsparcia piechoty przy niszczeniu niemieckich punktów oporu. Meldujemy się na pierwszej linii i od razu dostajemy zada-

nie. Mamy zniszczyć budynek, z którego idzie silny ogień broni maszynowej. Czekaemy na sygnał kryjąc się z czołgami wśród zabudowań. Niedaleko stoi stodoła, w której schroniły się rodziny włoskie z Bolonii. Ludzie widząc nasze czołgi krzyczą: "Tedesko kaput!". Czują również koniec niemieckiej potęgi.

Do akcji ruszamy całą baterią, to jest w cztery czołgi bojowe i jeden lekki, w którym znajduje się dowódca por. Obolek. Idziemy bez wsparcia ⁱ piechoty, co dla czołgów jest samobójstwem. Do wskazanego punktu oporu jest około pięćset metrów. Jedziemy przez ogrody oliwkowo-winogronowe. Mamy rozkaz oddać po 15 pocisków, jeden pancerny i jeden granat. Zbliżając się na odległość 150 metrów od celu widzę, że otwór ^{lunety} ~~lufy~~ jest zasłonięty. Nie namyślając wyskoczyłem z czołgu i okazało się, że jadąc przez ogród obciągnęliśmy siatkę maskowniczą, która zakryła światło ^{lunety} ~~lufy~~. Drut grodowy, na którym rosły winorośla zerwał nam też antenę. Jednym ruchem odciągnąłem siatkę i szybko wskoczyłem do czołgu, gdyż koledzy rozpoczęli już ostrzał obiektu. Włączamy się do kanonady. Obok budynku, który stanowi cel, pali się stóg słomy a dym niesie się na dom. Salwy są celne. Widzimy jak samochód niemiecki z działkiem przeciwpancernym ucieka przed naszą nawałą. Nie możemy go sięgnąć ze względu na zasłaniające teren zarośla i krzewy. Po wykonaniu zadania wracamy na swoje pozycje wyjściowe. Dopiero wieczorem piechota szturmuje budynek i wyciąga resztki Niemców z piwnic.

Następnego dnia udajemy się na inny odcinek frontu. Tutaj piechota również dostała silny ogień z punktu oporu usytuowanego w willi z czerwonej cegły oddalonej od naszych oddziałów o jakieś 800 metrów. Znowu rozkaz oddania po 20 pocisków w cel co drugi granat. Zajeżdżamy na stanowiska i grzejemy w willę. Mamy wystrzelić baterią, bagatelka - 80 pocisków. Już jednak po serii kilku wystrzałów celu nie widać, gdyż czerwona chmurka całkowicie go zasłania. Nie przerywamy ognia. Kiedy opadł

tumany pyłu, dymu i unoszącego się gruzu okazało się, że z całego budynku zostały tylko dwie boczne ściany, które jakimś cudem nie ucierpiały od naszych pocisków. Gniazdo oporu wroga zostało zlikwidowane. Upojeni skuteczną akcją wracamy do dywizjonu i czekamy na dalsze rozkazy. Przy okazji dowiadujemy się, że przy forsowaniu rzeki Senio jeden z naszych czołgów zsunął się z mostu nożycowego i zawisł na nim uczepony gąsiennicą. Załoga wyskoczyła w fale rzeki. Niemiecka artyleria ostrzeliwała to przejście i zginął jeden z naszych kolegów kan. Dudzisz trafiony odłamkiem pocisku. Był to starszy mężczyzna, który grosza nie zmarnował. Oszczędzał z zamiarem dowiezienia swych oszczędności rodzinie, która czekała na niego w kraju. Wszystko przepadło i ktoś bez sumienia "zaopiekował" się uciętym złotem i nic nie zostało dla nieszczęsnej rodziny. My młodzi, wychodziliśmy z założeniem, że dziś żyjesz, a jutro gnijesz i nie czyniliśmy żadnych zapasów. Poza tym fantazja młodzieńcza robiła swoje i nikt z nas nie utrzymał grosza przy duszy.

Nasz oddział nie doszedł do Bolonii. Nas wycofano do tyłu a do miasta wjechały inne jednostki. My swoje zadanie wykonaliśmy i zluzowały nas wojska angielskie. A Niemcy tak wieli, że trudno było ich dopędzić. Nie stawiali już prawie żadnego poważniejszego oporu. Część z nich odeszła za Pad bez jednej armaty, bez jednego wozu. W sumie po tygodniu walk nic nie zostało z tej potęgi niemieckiej na naszym odcinku.

W wydanym po bitwie rozkazie specjalnym marszałka Aleksandra znalazły się następujące słowa: "Jestem dumny z Korpusu Polskiego i nie ma w całej armii innego wojska, z którego byłbym tak dumny jak z Was polscy żołnierze. Gratuluję Wam i dziękuję za wspaniałe sukcesy oraz za pomoc we wspaniałym zwycięstwie. Oddaję Wam cześć".

Dodam tylko, że w kampanii włoskiej wojska 2 Korpusu Polskiego wzięły do niewoli 5.400 jeńców oraz zdobyły 45 czołgów 15 samochodów pancernych, 250 dział oraz ponad 2200 sztuk broni maszynowej, nie licząc samochodów, motocykli i lekkiej broni piechoty. Liczby te nie obejmują żołnierzy niemieckich, którzy zginęli z rąk polskich, ani sprzętu niemieckiego zniszczonego w tych bitwach. Przykładowo pod Monte Cassino cały sprzęt niemiecki uległ zupełnemu zniszczeniu wraz z obsadami poszczególnych gniazd oporu.

Ogólne straty polskie w bitwie o Bolonię wyniosły 249 poległych, 1219 rannych i 12 zaginionych. A całkowite straty 2 Korpusu w walkach włoskich w latach 1944-45 wyniosły 2301 zabitych, 8543 rannych, w tym 809 oficerów.

Straty niemieckie na południe od Padu w walkach przeciwko wojskom alianckim wyniosły 32.000 zabitych i 35.000 jeńców. Na trasie marszu bojowego 2 Korpusu doliczono się ok. 2000 poległych żołnierzy wroga.

Staliśmy w polu nie rozbijając namiotów, gdyż wyczekiwaliśmy na dalsze rozkazy. Niespodziewanie, wieczorem 2 maja 1945 roku radio nadaje wiadomość o zakończeniu wojny we Włoszech. Niemcy tracąc swe wojska postanowili skapitulować. Początkowo nie dowierzamy, że to prawda, ale radość panuje nieograniczona. Wojsko całuje się i szaleje z radości. Na niebie widzimy czerwone smugi - to strzelają na wiwat pociskami świetlnymi. Nie możemy być gorsi. Wskakujemy do czołgów i strzelamy z ciężkiego karabinu maszynowego używanego zazwyczaj do zwalczania samolotów. Strzelano z każdego czołgu i nikt nie zabronił nam tego czynić. Pozostali żołnierze strzelali z automatów więc całe niebo pokryte zostało niezliczoną ilością ognistych światełek i smug. Strzelano również z rakiet i wszystkiego z czego dało się okazać radość z zakończenia wojny, która z jednej strony okazała się wstrętą ze względu

na ogrom nieszczęść i ofiar, a z drugiej przyniosła chwałę oręża polskiego i zemstę za wszystkie nasze cierpienia. Płakaliśmy ze szczęścia i nikt tej nocy nie zmrzyzył oka. Święciliśmy zwycięstwo wyciągając z czołgów kanistry z winem. A jeszcze uroczystej świętowaliśmy dzień następny, to jest dzień 3 Maja, który jest naszym świętem narodowym i także dniem moich kolejnych - dwudziestych pierwszych urodzin.

Po kilku dniach spokojnego postoju, jeden z naszych żołnierzy, a był nim ten bohater spod Monte Cassino, któremu Niemcy przestrelili portki, chciał popisać się przed ludnością włoską i pokazać swoje bohaterstwo. Otóż w pobliżu budynku zamieszkałego przez Włochów znalazł minę przeciwczołgową zwaną "telermią". Postanowił więc w sposób spektakularny rozprawić się z niewypałem i pokazać swe mistrzostwo żołnierskie. W tym celu obsypał minę prochem a następnie podpalił. Jak łatwo się domyślić mina natychmiast wybuchła a z naszego lekkomyślnego bohatera nie było co nawet zbierać. Smutny to przypadek ludzkiej głupoty, zwłaszcza wówczas, gdy nastąpiło zakończenie działań wojennych. Wśród Niemców byli też fanatycy, którzy nie chcieli pogodzić się z decyzją o bezwzględnej kapitulacji. Właśnie następnego dnia po ogłoszeniu zakończenia wojny we Włoszech jakiś dwukadłubowy samolot niemiecki bardzo niskim lotem zaatakował kolumnę wojska zdążającą do wolnej już Bolonii. Co prawda nikomu nie stała się krzywda ale popłochu było co niemiara.

20. BOHATEROWIE
SA ZMECZENI.

Po wszystkim jedziemy do środkowych Włoch i kwaterujemy w pomieszczeniach przyklasztornych a następnie przenosimy się do nowowypudowanej ~~szkoły~~, lecz nie wykończonych szkoły. Było to miasteczko San Severino w pobliżu Loretto i Porto Recanati. Stare i znane nam miejsca z poprzedniego postoju. W San Severino kwaterujemy dość długo i zaczynamy się niecierpli-

wieć. Zakończyła się wojna. Każdy chciałby wracać jak najszybciej do domu. A tu nie wiadomo jaki nas czeka los. Chodzą tylko pogłoski, że dla nas wojna jeszcze nie zakończona i będziemy musieli ^{jeszcze} powalczyć z nim wrócimy do kraju. Ludzie byli wzburzeni, bo wszyscy tej tułaczki mieli już dosyć. Część żołnierzy zapisuje się na wyjazd do Polski, ale nasze władze patrzą na nich jakimś niełaskawym okiem. Koledzy mają im za złe, że nie chcą wracać razem z bronią w ręku. Aby uspokoić atmosferę wśród żołnierzy nasze władze urządzają w szkole mechanicznej kurs zawodu ślusarza. Początkowo nawet chodziłem na ten kurs, lecz takie przygotowanie do cywila wcale mi nie imponowało i przestałem na niego uczęszczać. Wielu z nas boli to, że Ojczyzna jest już wyzwolona od Niemców, a my nadal tułamy się na obcej ziemi. Trwa spore zamieszanie. Jedni przychodzą, inni odchodzą. Trafiają do nas żołnierze kampanii wrześniowej zwolnieni z niewoli niemieckiej, uczestnicy powstania warszawskiego itp. Są oszołomieni i zdumieni widząc nasze nowoczesne uzbrojenie i ładne umundurowanie. To zdecydowanie ich przyciąga.

W czerwcu pod Loretto urządzono defiladę wojsk pancernych 2 Korpusu Polskiego, którą odbierał sam marszałek Aleksander w obecności generała Andersa. Była to wspaniała uroczystość, w której brały udział same czołgi. Wyczuwaliśmy, że to jest ostatnia nasza defilada a równocześnie pożegnanie z bronią. Marszałek Aleksander jako dowódca 8 Armii żegnając nas oznajmił, że wyjeżdża do Kanady, jako pełnomocnik rządu angielskiego. Był to oficer średniego wzrostu, szczupły. Stał w długich brązowych butach. Defilowaliśmy przed nim jadąc równo czwórkami i tylko było słychać szum silników i klekotanie gąsiennic. Były tutaj wszystkie nasze pułki pancerne, które stanowiły wówczas wielką siłę bojową. Inaczej jednak jest na

defiladzie, gdzie serce radość rozpięra, a inaczej jest, kiedy siedzi się zakuty w tę pancerną trumnę podczas działań wojennych.

Po defiladzie wróciliśmy na miejsce postoju. Jako że byłem również gościem motocyklowym widziałem w dowództwie 2 Korpusu samego Churchila. Rzeczywiście był gruby, niewysoki i łysy ze swym tradycyjnym cygarem w ustach. W czasie trwania walk widziałem parokrotnie generała Andersa. Jeździł samochodem pancernym. Ubrany był w kombinezon i niczym nie odróżniał się od zwykłego żołnierza.

W San Severino byłem dekorowany Krzyżem Walecznych, Medalem Wojska Polskiego, Pamiątkowym Krzyżem Monte Cassino, Gwiazdą Italii, Gwiazdą Angielską za wojnę oraz Medalem Angielskim za wojnę w latach 1939-1945. Otrzymałem też stopień kaprała. Szczyciłem się nosząc teraz dwie belki. W dodatku otrzymałem awans na dowódcę czołgu.

Szkoliłem teraz oficerów wracających z niewoli niemieckiej. Nasz dowódca dywizjonu kpt. Wołyniak, czyli Iwan Groźny, pożegnał nas i zapisał się na wyjazd do Polski. Dowódców baterii przeniesiono do nowo formowanych jednostek, z czego najwięcej do 2 Dywizji Pancерnej. Przyszli do nas nowi oficerowie - na dowódcę dywizjonu kapitan, a na dowódców baterii porucznicy. Wszyscy z obozów niemieckich. Zaczęły się tarcia i niesnaski. Oni nie znali nic innego jak tylko dyscyplinę sprzed 1939 roku, którą za wszelką cenę chcieli wprowadzić wśród żołnierzy frontowych przyzwyczajonych do koleżeńskich stosunków z kadrą oficerską. Szanowaliśmy swoich dawnych oficerów ^{choć} byliśmy z nimi na stopie koleżeńskiej, ^{natomiast} i nie mogliśmy w żaden sposób pogodzić się z nowymi układami. Wszystkich, którzy zapisali się na wyjazd do Polski zgrupowano w oddzielnym obozie i odizolowano ich od jednostek macierzystych. Wytwarzano wokół nich atmosferę nieufności.

My jako żołnierze pełniliśmy teraz warty przy magazynach żywnościowych i w kółko czyściliśmy swe stalowe rumaki. Od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy na tak zwane próby silników ładując na czołg beczkę ropy, za którą za miastem otrzymywaliśmy od Włochów beczkę wina. Ludność miejscowa kupowała zresztą od nas wszystko. Handel kwitł a my piłwiśmy, bawiliśmy się na całego.

W takim stanie rzeczy zastał mnie 8 maj 1946 roku/te majowe daty przeplatały się w moim wojennym życiorysie ważnymi wydarzeniami/. Teraz w tę pierwszą rocznicę zakończenia wojny jakby na cześć moich urodzin i imienin wyjeżdżam na urlop do miejscowości Komo położonej we włoskich Alpach niedaleko granicy szwajcarskiej. Koledzy naszym zwyczajem złożyli się na moje urlopowe wydatki i zebrała się dosyć pokaźna sumka lirów. Czyniono to tradycyjnie co dawało możliwość atrakcyjnego spędzenia urlopu. Jednak przed wyjazdem, aby uczcić imieniny, poszliśmy w gronie kolegów do restauracji, aby tradycji stało się zadość. W restauracji mieliśmy znajomą kelnerkę, która odstąpiła nam na libację pokój i nawet alkohol wraz z posiłkami dostarczała nam na górę. Czuliśmy się jak u siebie w domu i piliśmy wyłącznie szanpana. Szło to nam tak dobrze, że opróżniliśmy ładnych kilkanaście butelek tego smakowitego trunku. A że nie czuliśmy zbyt wiele w głowie wydawało się nam, że jesteśmy trzeźwi. Dopiero próba opuszczenia tego lokalu pokazała, że nie byliśmy wstanie zrobić kroku. W gościnnym pokoju spaliśmy do rana.

Następnego dnia jak gdyby nic wyjechałem do Komo na czter-nastodniowy wypoczynek. Piękna to miejscowość położona w Alpach nad uroczym jeziorem. Przed wojną zjeżdżała tu sama śmietanka z całego świata. Teraz miejsce tej śmietanki zajęło zasłużone wojsko. Mieszkaliśmy tam w hotelach i pałacach. W budynku, w którym przyszło mi zamieszkać przed wojną abywali sami.

Niemcy. Nazywał się "Belweder", co przypominało mi nazwą Warszawy. Usytuowany był nad brzegiem jeziora, które też nazywało się Komo. Położone malowniczo wśród wysokich gór jezioro miało blisko 50 km długości i było dosyć głębokie - od 600 do 1000 metrów. Zbocza górskie porośnięte były obficie rosnącym kolorowym kwieciem i wyglądało to jak różnokolorowy dywan rozścielony na zboczach gór. Wokół jeziora biegła jezdnia asfaltowa a na jezirze pływały gondole dla turystów. Widoki, bajeczne a do tego majowa przyroda w pełni życia.

Mieszkaliśmy w pokojach dwuosobowych i spaliśmy w puchowych piernatach. Obsługa była na zawołanie i zlecaliśmy nawet pranie bielizny i prasowanie spodni. Buty codziennie wystawiane na korytarz były czyszczone przez "krasnoludki". Czyż można wyobrazić sobie lepsze warunki do wypoczynku po latach cierpień, chorób i wyrzeczeń. Czuliśmy teraz wagę naszej ofiary i cenę zwycięstwa. Włosi chyba również zdawali sobie sprawę, że wyzwolenie spod faszyzmu stwarzało przed nimi nowe perspektywy życiowe. My delektowaliśmy się luksusem. Na dole była jadalnia, do której schodziliśmy o wyznaczonych godzinach. Posiłki bardzo smaczne a do każdego wino. Wypożyczaliśmy za kilka lirów rowery i jeździliśmy na przejażdżki turystyczne trasą wzdłuż jeziora. Czas był jednak nieubłagany i trzeba było pożegnać te miłe pielesze i wracać do macierzystej jednostki.

Tutaj nadal ćwiczenia i pucowanie czołgów. Natomiast jesienią 1945 roku ma być ^{miejsca na} wyświęcenie cmentarza pod Monte Cassino. Jestem oddelegowany na tę uroczystość. W godzinach wieczornych jeden z oficerów na uroczystym capstrzyku czyta po kolei nazwiska żołnierzy poległych w walce o Monte Cassino a kompania honorowa jednogłośnie odpowiada - "Poległ na polu chwały!". Przykre to wrażenie, kiedy słucha się wyczytane 1.054 nazwisko

żołnierzy i oficerów spoczywających w tych marmurowych grobach położonych u stóp klasztoru. Złożyli swe życie w ofierze i nigdy już nie wrócą z nami na "Ojczyzny łono". Naraz na zboczach gór wokół klasztoru wybuchają pociski ... nie to tylko dynamit i petardy ^z rzucone przez saperów. Na chwilę jakby ożyły wspomnienia z pamiętnego wydarzenia. Stoimy zamyśleni dumając o losie wezwanych do apelu. Każdy z nas mógł pozostać na zawsze w tym miejscu. Od wybuchu petard zapalają się martwe krzewy i zarośla, które były świadkiem tego krwawego boju. Uroczystość trwa do późnych godzin nocnych.

Na drugi dzień jest odprawiana uroczysta msza święta którą celebduje naczelnny duszpasterz armii polskiej ~~kardynał August Hlond~~. ~~Msza święta rozpoczyna się na przeciwleg-~~
^{Miasteczko} ~~ku stoku gdzie~~ Monte Cassino poniżej klasztoru, ~~który został~~ leży w gruzach. Widać wyrwy po gęsto padających pociskach. Tylko bunkry pozostały nienaruszone; choć pokonane. Teren nadal jeszcze nie rozminowany i groźny. W uroczystej mszy biorą udział osobistości niemal z całego świata. Z naszej strony obecny jest ~~generał Karol~~ ~~generał Karol~~ ~~generał Karol~~ ~~jako naczelnny~~
~~na terenach~~ ~~rozciągających~~ ~~na zachodzie~~ a także generał Władysław Anders jako dowódca korpusu biorącego udział w bitwie pod Monte Cassino. ^{Obecnie} ~~Ca~~ cementarz jest pokaźnych rozmiarów. Przy każdym grobie stoją w szeregu marmurowe tablice z nazwiskami 117 oficerów i 937 poległych żołnierzy. Na nielicznych pisze tylko - "nieznany". Przed tymi szeregami grobów zamieszczono w płycie marmurowej znicz usytuowany w środku Krzyża Wirtuti Militari a po boku napis: "Przechodniu powiedz Polsce żeśmy polegli wierni jej służbie". Ale jest jeszcze jeden napis, który mocno ściska ^{serce} nam żołnierzom biorącym udział w tej bitwie:

ciało włoskiej ziemi
 duszę Bogu
 serca Polsce ...

Udjechaliśmy pogrążeni w głębokim zamyśleniu do swoich macierzystych jednostek a oni zostali, by strzec tego co zdobyli za cenę własnego życia.

Niebawem przychodzi rozkaz, aby posiadany ciężki sprzęt przekazać do składnicy złomu. Z bólem serca żegnaliśmy się z naszymi wspaniałymi stalowymi rumakami i samochodami wszelkiego typu. W składnicy aparaty tlenowe tną je na kawałki i niszczą tak pielęgnowane przez nas pancerne cacka. Dowódca dywizjonu poleca przed zdaniem czołgów i samochodów wypompować paliwo, które u Włochów zamieniamy tradycyjnie na wino i żegnamy uroczyście ziemię włoską. Niestety nie jedziemy jeszcze do Polski. Czeka nas jeszcze Anglia. A tak apropos sprzedaży paliwa była to zwykła kradzież i nadużycie, które w razie donosu mogłoby być potraktowane bardzo surowo. Zwłaszcza teraz kiedy pozbawiono nas naszego oręża staliśmy się grupą niby to żołnierzy, lecz mało kto chciałby ^{wrócić} ~~wrócić~~ pod uwagę. Dotarło nareszcie do naszej świadomości, że dla nas wojna się już skończyła i karta dziejów wojennych została zamknięta. Pozostało jedynie rozczarowanie, bo przecież mieliśmy wrócić do Ojczyzny z bronią w ręku i z pełnym wyposażeniem bojowym jak Legiony Dąbrowskiego. Po raz drugi doznajemy uczucia krzywdy. Zostaliśmy wykozystani i oszukani, jak w tym angielskim przysłowiu - "Murzyn zrobił swoje - Murzyn może odejść". Ale jest jeszcze nadzieja, bo do Anglii jedziemy jeszcze z bronią małokalibrową i w młodych zapalonych głowach tkwi jeszcze odrobina nadziei, że "wrócimy tam wszyscy razem, młodzi i starzy", jak śpiewaliśmy w swojej pieśni idąc daleką drogą do Ojczyzny.

Żołnierz coraz częściej zaczyna myśleć o tym, co go czeka po tak ciężkich trudach w dalekim kraju. Propaganda podejmuje, że ci co pojechali do Polski zostali aresztowani i wysłani na "białe niedźwiedzie". Byliśmy tam i nie mamy zamiaru tam wrócić. Każdy jednak zadaje sobie pytanie: "Co dalej?". Na razie

poddajemy się żywiołowi i decydujemy się na wyjazd do Anglii. Likwidujemy więc obóz i żegnamy z żalem i wewnętrzną rozterką, tę przepiękną ziemię włoską, która pochłonęła tyle ofiar w walce z Niemcami. Ale jeszcze więcej ofiar pozostało na "Nieludzkiej Ziemi", gdzie ludzie nie ginęli od kuli wroga, a od ciężko przebytych chorób, głodu, brudu i wycieńczenia.

W. NIEGOSCINNA WYSPA.

Zostajemy zaokrętowani na brytyjski okręt wojenny w Neapolu i płyniemy do Anglii. Mijamy Gibraltar a następnie zawijamy do Glasgow. Tam przesiadamy do pociągów i dojeżdżamy do naszego "campu" gdzieś w środkowej Anglii. Jesteśmy trochę rozczarowani angielskimi widokami. Wszystko smutne i ponure. Gdzie im do słonecznej i rozśpiewanej Italii. Gdzie to niebo błękitne? Tutaj chmury i ciągły dym unoszący się nad ziemią zwany smogiem. Prawdziwa jesienna nagielska pogoda przeplatana deszczem. Ale i w naszych żołnierskich sercach panowały również jesiennie nastroje. Kolejny raz dotarło do nas, że w bezpowrotną przeszłość odeszła bohaterska historia 2 Korpusu. Skończyły się walki i zwycięstwa a także nadzieje na szybki powrót do kraju i do swoich bliskich. Nadzieja na powrót do Ojczyzny z bronią w ręku pozostała jedynie nie spełnionym marzeniem. Co robią teraz obrońcy i wyzwoliciele? We Włoszech obsypywano nas kwiatami i nazywano "liberatori". Tutaj w obcej Anglii byliśmy bezbronną i bezradną gromadą zagubionych ludzi szukający pomocy i opieki u obcych. Do tego porównanie wesołych i rozśpiewanych Włochów do ponurych i milczących Anglików nie nastawionych do nas przyjaźnie wywoływało i pogłębiało uczucie rozczarowania. Na ulicy spotykają nas i pytają "dlaczego jemy chleb angielski" i nie wracamy do swojej Polski. A przecież nie tak dawno, bo półtora roku temu zachłystywali się bohaterstwem tak dzielnie walczących Polaków i tak obficie przelewających krew na wys

tych frontach - na lądzie, morzu i powietrzu.

Napisałem do brata, który nadal uczył się w angielskiej szkole lotniczej, aby przyjechał do mnie i odwiedził po tak ~~stugim wzstaniu i abysmy razem wyruszyli na~~ podbój Anglii. Brat znał angielski, w ten sposób wszystkie drzwi stały dla nas otworem. ~~Sprzykrzyły mi się~~ ~~te drzwi stały otwarte dla nas otworem.~~ Sprzykrzyły mi się barokowe koszary na opuszczonym lotnisku wojskowym. Jedziemy do miasta w ośmiosobowej grupie, aby zażyć angielskiego powietrza i spróbować słynnej angielskiej Whisky. Najpierw udajemy się do restauracji, aby coś zjeść. Kelner obsłużył nas i podał zamówiony posiłek, ale o wódce nie ma mowy, gdyż w tych latach wódki w restauracjach nie podawano. Po poufnej rozmowie z kelnerem brat wytargował butelkę dzinu. Nie samokowało to ^{nam} ~~na~~ bo należało to pić z sokiem i smakiem przypominało jałowiec. W końcu nalewaliśmy to do szklanek i piliśmy spod stołu jak naszą czystą. Po tym niezbyt udanym początku kierujemy swe kroki do baru z postanowieniem, żeby dobrze oblać nasz pobyt w tym kraju. W barze, owszem, jest trochę wódki, ale jak dla nas stanowczo za mało. ~~Chcemy~~ ^{Chcemy} podawać piwo. ~~nie chcemy~~ ^{Odwołiamy}. Niech je sobie piją te angielskie snoby. My musimy napić się czegoś mocniejszego, żeby choć trochę zakręciło się w głowie. Anglicy z pomocą brata próbują z nami rozmawiać, lecz my nie mamy na to ochoty i opuszczamy bar w poszukiwaniu wódki. W kolejnym barze wypijamy znów resztki wódki i nareszcie ~~zaczynamy~~ ^{namy} mieć trochę w czubie i zaczynamy się czuć swojo. Poprawiają się nam humory i zapominamy o żalu do tych wstrętnych Anglików, którzy wyportkowali nas na cacy. Chce nam się pić i maszerujemy dalej. Kiedy wchodzimy do następnego wodopoju jest już godzina 21⁰⁰ a bary czynne są tylko do 22⁰⁰. Zostało mało czasu i na dodatek nie ma już wódki. Barman oferuje nam kiepskiej jakości wino. Każemy napełnić 6 szklanek wina na próbę a jeden z kolegów wypija je naraz jak kompot oświadczając, że nadaje się to do

picia. Obserwujący to zdarzenie Anglicy wprost oniemieli z wrażeń. Nie wierzyli własnym oczom, że w takim stanie, jak weszliśmy można na raz wypić taką dużą ilość wina. Zaintersowani tym wyczynem zaczęli stawiać nam dalsze kolejki, aby przekonać się ile wypijemy. Okazało się, że poszły wszystkie butelki i kiedy dobiła godzina 22⁰⁰ nie było już co pić. Ku wielkiej radości nas i samych Anglików nadal dzielnie trzymaliśmy się na nogach a oni zgodnie z umową opłacili suty rachunek. Na dworcu oczekując na nasz pociąg siadamy na wózek bagażowy i śpiewamy rżewną polską pieśń o bohaterach spod Monte Cassino a potem coś o włoskich signiorinach. Przybiegł dyżurny ruchu z interwencją, ale kiedy brat mu wyperswadował, że są to bohaterowie spod Monte Cassino, którzy walczyli za jego wolność a teraz nie mają gdzie wracać i tułają się po świecie, Anglik zrozumiał i przepaszającym gestem wycofał się do swej dyżurki. Kiedy nadjechał pociąg i wstąpiliśmy do wagonu w wesółych humorach braci-szek zawisał nad oknem i "jechał" w ^{określonym} kierunku. Kiedy wysiedliśmy na stacji musieliśmy przez 3 km nieść na rękach naszego bohatera. Podziwialiśmy jego młode siły, że i tak dzielnie dotrzymywał nam kroku. My mieliśmy za sobą doświadczenia kairskie i z kampanii włoskiej, gdzie wino lało się strumieniami. Jeden z kolegów był raz tak pijany, że wino wlał do miednicy i wymył w nim nogi, bo myślał, że to woda. Gdy oprzytomniał i przekonał się, że to rzeczywiście wino nie namyślając wychylił całą miednicę, bo przecież nie mógł pozwolić, żeby wszystko się zmarnowało. Były to czasy miłe i okrutne.

Tak to powiataliśmy nieprzychylną nam Anglię. Po krótkim czasie zostajemy przekwaterowani do Walii. Nasze nowe kwatery to blaszaki, tak zwane beczki śmiechu w mieście Beumaris. Przychodzi też czas na rozbrojenie. To już trzeci akt żołnierskiej tragedii. Tego już mieliśmy dosyć. Żołnierz z kijem w ręku jest

tylko tułaczem na łaskawym chlebie. Władze jednak czuwają nad nami i próbują zorganizować coś na nasze potrzeby. Powstaje więc organizacja Polski Korpus Przynależności i Rozmieszczenia, w skrócie PKPR, co my nazywaliśmy trochę wulgarnie - "Po coś K... Podpisz Robotę". Wstępuje rozłam w tym zdyscyplinowanym wojsku. Jedni podpisują, wstępują do organizacji i przyuczają się do zawodu. Inni wybierają się na emigrację do Kanady, Brazylii, Australii, Peru, Chile i Bóg jeszcze wie gdzie. USA odpada, gdyż Polaków tam nie przyjmują. Widocznie mają dosyć kłopotów ze swoimi kowbojami, Murzynami i Indianami. Nie potrzebują polskich zabijaków. Trzecia grupa na podstawie listów od rodzin i nawoływania przez władze polskie decyduje się na powrót do kraju. Jest ich najwięcej i są uważani znów za ludzi niebezpiecznych dla otoczenia. Nazwano ich komunistami. Pomimo, że brat jest w Anglii a mama nadal przebywa w Afryce deklaruje się do grupy trzeciej. Była też jeszcze grupa czwarta - niezdecydowani. Z nimi był największy kłopot, bo Anglicy nie wiedzieli jak z nimi postąpić. Są w niej ludzie służący w armii niemieckiej, którzy przez władze angielskie nie są zaliczani do grupy kombatantów alianckich. Ich pragną skierować na teren Niemiec do oddziałów wartowniczych pilnujących angielskich obiektów wojskowych. A więc wojsko, które tak dzielnie trzymało się razem nagle znalazło się w rozsypce.

A przecież nadal czuwają nad nami panowie oficerowie, którym jak wszystkim grunt usuwa się spod nóg. Mogliby pełnić jakieś funkcje w tworzącej się nowej organizacji, ale oni też nie stanowią monolitu. Nasz dowódca dywizjonu nie upada na duchu. Organizuje nawet odprawy podoficerskie. Ale my mieliśmy dosyć tej zabawy w żołnierzyków papierowych i tej służby przy bramie z kijem w ręku oraz różnych aluzji pod naszym adresem. Nasz dowódca był niskiego wzrostu więc nazywaliśmy go "Łokietkiem."

Tenże mały wódz potrafił na zbiórkach wykrzykiwać pod naszym adresem: "Bohatrowie spod Monte Cassino, ja was nauczę dyscypliny i wprowadzę taką, jaka obowiązywała przed 1939 rokiem!" To zamiast mobilizować jeszcze bardziej zniechęcało.

Pewnego razu wraz z czterema innymi podoficerami z naszej baterii nie poszliśmy na tę odprawę podoficerską i udaliśmy się do miasta. Oczywiście następnego dnia musieliśmy stawić się do raportu karnego. Uzgodniliśmy wcześniej, że oni zaczną drakę dyskusyjną a ja ją zakończę niezbitymi faktami. Ale im założony plan nie powiódł się a ja musiałem wszystko to wyjewić, co nam wszystkim leżało na sercu. Zacząłem od tego, że wszyscy jesteśmy kapralami a według regulaminu angielskiego nie jesteśmy zaliczani do korpusu podoficerskiego. Na przykład nie korzystamy z kuchni podoficerskiej, do której tu mają prawo podoficerowie od stopnia plutonowego wzwyż. Chciałbym więc wiedzieć, jaki obowiązuje regulamin polski czy angielski? Otrzymałem odpowiedź, że jeden i drugi. Ja na to, że w wojsku musi obowiązywać tylko jeden regulamin. Inaczej być nie może. Ale już te słowa podziały na "wodza" jak płachta na byka. Cięższej otrzymali na gany ustne, a mnie oświadczył, że "odda w odpowiednie ręce". Na odchodne rzuciłem, że możemy pójść razem, mając na myśli sprzedane we Włoszech paliwo. W efekcie po kilku dniach zostałem przedstawiony do raportu karnego przed oblicze dowódcy pułku. Jest przy tym obecny łącznik angielski - major, który nie rozumiał po polsku. Przypuszczałem więc, że planowano oddać mnie w ręce Anglików. lub co najmniej pod sąd polowy. Ale, za co? Za nieobecność na odprawie podoficerskiej? Nie mieściło to mi się w głowie. Dowódca dywizjonu przedstawia mnie do raportu karnego za nieśubordynację. Pada pytanie, czy wiem za co jestem przedstawiony do tego raportu. Odpowiadam więc, że nie wiem, gdyż nie została wyjaśniona sprawa obowiązującego nas

regulaminu. Następnie naświetlam swój szlak bojowy i otrzymane wyróżnienia. Pułkownik sięga po mój uprzednio przygotowany zeszyt ewidencyjny i czyta same superlatywy. Widzę, że jest w rozterce. Rzucam odważnie, że panu kapitanowi może nie podoba się moja twarz. Na to kapitan, że ja nie uznaję stopnia oficerskiego i to zawężyło. Pułkownik spytał: "Słyszycie, co mówi o was wasz dowódca? Zostaniecie ukarani!". "Wszystko w mocy pana pułkownika" - odpowiedziałem i wyszedłem. Za kilka dni odczytano w rozkazie dziennym, że kapral Stanisław Swiderski zostaje ukarany 14-dniowym aresztem średnim za aroganckie odnoszenie się do starszego stopniem i nie wykonanie rozkazu. Wróciłem do "beczki śmiechu" i płacząc napisałem podanie, że wracam do Polski. Zaniósłem do kancelarii i wychodząc tak trzasnąłem drzwiami, że szyby wyleciały. "Wódz" oznajmił wówczas, że pozbył się komunisty. Nie rozumię tego do dziś, jak i wszyscy, którzy do Polski wracali, dla czego ^zchęć powrotu do kraju otrzymywało się taki epitet.

W areszcie odsiedziałem honorowo dwa tygodnie nie goląc się na znak protestu. Aresztem było pomieszczenie w starej stajni właściciela majątku. Drzwi były otwarte i nikt mnie nie pilnował. Wychodziłem tylko po posiłki do kuchni i cierpiełem w samotności. Gdy przyszło pożegnanie/^{jeszcze}~~przeniesione~~ mnie do obozu dla tych którzy wracają do Polski/ płakałem żegnając się z kolegami, a oni też wycierałi oczy. Czuliśmy, że widzimy się po raz ostatni. Tyle przeżyliśmy wspólnie frontowych radości i rozterek, tyle trudów i wyrzeczeń, wiele razy wspólnie nastawialiśmy karku i jak to doceniono.

Ale trudno. Podjąłem decyzję i basta. Ja wracam. Oni dalej nie wiedzą co począć, gdzie jeszcze los ich rzuci. Miałem już dość tej poniewierki. Obóz dla powracających do Polski leżał w okolicach Glasgow. W obozie tym nie było już ^ownań - jadę, nie jadę. Tu już nie podlegałem rządowi londyńskiemu, ale komendantem

był oficer angielski wraz z całym personelem administracyjnym. Z tego obozu wyczekiwania musieliśmy wyjeżdżać do Londynu, aby w ambasadzie "warszawskiego" rządu polskiego uzyskać dokumenty, że jesteśmy obywatelami polskimi zgłoszonymi do repatriacji. W attachacie wojskowym między pracownikami cywilnymi widzieliśmy rzeczywiście typowych z wyglądu i mowy Żydów, co nie dawało nam spokoju. Pewne wrażenie budzili też oficerowie ubrani w przedwojenne mundury w butach z długimi cholewami i w rogatywkach. Nasze oko odzwyczeiło się od widoku polskiego munduru gdyż występowaliśmy w mundurach angielskich. Z chwilą rejestracji przechodziliśmy formalnie pod opiekę rządu "warszawskiego" i zrywaliśmy więź z rządem "londyńskim", któremu podlegałem przez pięć lat.

W obozie przejściowym ^{otrzymujemy} ~~odbieramy~~ cywilne ubrania ze stuprocentowej wełny oraz krawat, koszule, kapelusz, skarpety, buty itp. Na otarcie łez otrzymujemy po 50 funtów. Zapisuję tę sumę na brata, który zostaje w Anglii i na pewno mu się przyda. Można za to było wówczas kupić 8 garniturów lub 15 par butów. Brat przyjechał do mnie pożegnać się, być może na zawsze. Uzgodniliśmy, że gdybym potrzebował to przysłał mi paczki towarowe w zamian za pozostawioną sumę. I zrobiłem słusznie, bo później w zniszczonej Ojczyźnie, w której wszystkiego brakowało, te paczki od brata były pożytecznym zastrzykiem. Ci co przywieźli do Polski funty otrzymali w zamian złotówki po bardzo niekorzystnym kursie.

Siedzimy w tym przejściowym obozie i rozmyślamy, jak powitają nas w kraju za to, że tak dzielnie walczyliśmy na różnych frontach z Niemcami. Straszono nas wciąż więzieniem i "białymi niedźwiedziami". A my mimo wszystko chcemy jechać do swojej ukochanej Ojczyzny. Mamy dość tułaczki na obcym chlebie.

2. "GOSCIENNY KRAJ!" Wreszcie jest wiadomość - wyjeżdżamy. Zostajemy zaokręgowani

na statek brytyjski płynący do Polski. Tu jesteśmy zaskoczeni pożegnaniem zorganizowanym przez władze brytyjskie. Szkocka orkiestra w kolorowych spódniczkach i z kobzami pod pachą ^{graje} gra Hymn Narodowy "Jeszcze Polska nie zginęła" a my na pokładzie w milczeniu bez żadnej komendy przyjmujemy posadkę na "Baczność". Po Mazurku Dąbrowskiego zostaje odegrany hymn angielski. A gdy rzucono cumy i statek zaczął powoli odbijać od kei usłyszeliśmy dźwięki melodii "Góralu, czy ci nie żal". Stoimy i płaczemy wzruszeni do ostateczności a łzy jak grochy same płyną po policzkach. Było to tak wzruszające, że nikt nawet przez chwilę nie żałował decyzji o powrocie do kraju, ani nie myślał o krzywdach wyrządzonych nam przez Anglików. Spłakani rozchodzimy się do kabin, aby nie patrzeć na tę niemłą wyspę, gdzie zostaliśmy potraktowani tak niegościnnie. Ale czy tylko przez samych brytyjczyków? Przy okazji warto wspomnieć o kontroli celnej, która miała miejsce przed wejściem na statek. Każdy z nas chciał w ramach swych możliwości przywieźć coś do kraju, dla siebie, dla znajomych lub rodziny. Z listów wiedzieliśmy, że w kraju brakuje twardej skóry na zelówki, kawy, pieprzu i takich tam różnych rzeczy ubraniowych. Więc każdy, za co mógł, to kupił to i owo. Często były to rzeczy używane, lecz w dobrym stanie. Celnicy angielscy starych szmat się nie czepiali, ale byli bardzo czuli na punkcie skóry. Ja ze swym przyjacielem Tadzikiem Hamesem kupiliśmy wspólnie walizę z twardej skóry i tego, się nie czepiano, gdyż była to waliza a nie skóra. Inni którzy zaopatrzyli się w tę nieszczęsną skórę przechodzili nie lada kłopoty. Anglicy byli bezwzględni. Przykro było patrzeć jak jeden z naszych żołnierzy w stopniu starszego sierżanta o siwych włosach płakał i prosił, aby mu tej skóry nie konfiskowano i pozwolono zabrać do Polski. Tłumaczył, że wraz z całą rodziną był na Syberii, a teraz oni w Polsce piszą, że

żyją w skrajnej nędzy. On to wiezie, aby ratować swych bliskich. Niestety. Anglicy byli twardzi i nie pomogły żadne tłumaczenia. Na nic zdały się łzy i prośby. Jednak to piękne pożegnanie zamazało nieco wrażenie, jakie pozostawili po sobie angielscy celnicy. Tu wyszła typowa angielska dusza. Stać ich na piękne choć kosztowne gesty, ale gdybys miał coś skorzystać, a oni mieli by stracić, nie odpuszczają nawet złamanego szeląga.

Na statku wojsko było z różnych formacji. Byli lotnicy i ^{maryn}narze, ale najwięcej było żołnierzy w zielonych "bateldresach". Wszyscy pomimo, że mieliśmy pełne wyposażenie cywilne, ubrani byliśmy w mundury. Zgodnie z zarządzeniem władz polskich zdemobilizowanie miało nastąpić dopiero w Polsce. Żołnierze, którzy przeszli naukę pracy w dalekich stepach syberyjskich lub w głębokich lasach północy byli raczej spokojni o swój los. Najbardziej przestraszeni byli ci, co dostali się różnymi drogami do Anglii lubna Środkowy Wschód. Nie wiadano, co z nami będzie i jak nas potraktuje ta nowa młoda ^{Władza} polska. Przypuszczaliśmy jednak, że gorzej jak na Syberii to chyba już nie będzie. Byliśmy starymi wyjadaczami, którzy wszy, głód i choroby, a więc to najgorsze, mają już za sobą. Więc czego tu się obawiać?

Po pięciu dniach podróży angielskim statkiem zawijamy do portu w Gdańsku. Na redzie podjeżdżają motorówką WOP-iści. Wsiadają na statek wraz z pilotem i doprowadzają nas do nabrzeża. Widzimy zupełnie inny obraz niż ten przy pożegnaniu w Anglii. Przy nabrzeżu tłum ludności cywilnej, którego wojsko z bronią w rękach nie dopuszcza w pobliże statku. Ludzie machają do nas rękami i coś pokrzykują. My odwzajemniamy się machając również ale nie wiemy o co chodzi. Widok żołnierzy w polskich mundurach z bagnetem na broń zmusza bądź co bądź do pewnego dystansu. To też pozwoliło szybko zorientować się w naszej sytuacji. ^{jak} się wita przestępców a nie żołnierzy tułaczy, którzy po siedm ^{iu}

lotach
(tuższej ponieważ wracają do utęsknionej Ojczyzny. Gdzie ten "Mazurek Dąbrowskiego" i "Góralu czy ci nie żal"? W tym momencie nie czuliśmy żalu, ale klamka zapadła i nie ma odwrotu. Za jakiś czas podstawiono wagony towarowe i załadowano nas, tak jak przed siedmioma laty, a dla ochrony do każdego wagonu przydzielono uzbrojonego żołnierza. Od razu poczuliśmy się swojsko i bezpiecznie. Zawieziono nas do obozu za Gdańskiem zwanego "Narvikiem". Tutaj ukazuje się naga prawda i rozczarowanie. Obóz ogrodzony jest wysokim kolczastym drutem a wokół krążą patrole wojskowe z bronią w ręku. Przyjemnie wygląda to wymarzone "Ojczyzny łono". Nie ma co. Take to nagroda za to, że nie chcieliśmy zostać za granicą.

2 maja 1947 roku. Mija siedem lat i trzy miesiące od momentu, kiedy nocą porwano mnie w sposób terrorystyczny i pod pozorem wyjazdu do ojca wywieziono mnie na Sybir. Tu na powitanie robią zdjęcia z przodu, z tyłu, z boku, jak przestępcy. A potem trwają kiludniowe przesłuchania każdego z osobna. Po tych powitalnych ceremoniach wydają zaświadczenia emigracyjne uprzedniające do bezpłatnej podróży do miejsca zamieszkania.

Ja nie mając nikogo z najbliższej rodziny w kraju pojechałem do Elku zatrzymując się na pewien czas u cioci po ojcu, a żony zabitego brata, którego ukatrupiono podczas naszego wywozu na Syberię. W czasie wojny wyszła ponownie za mąż za jednego z moich starszych kolegów - Józefa Organka. Wiedzieli, że przyjadę i codziennie wychodzili na dworzec wypatrując mojego powrotu. Po drodze w pociągu zarówno konduktor i pozostała ludność mówili nam, że popełniliśmy błąd wracając do kraju. Nie rozumieliśmy tego. Dla nas powrót był spełnieniem wszelkich dążeń i celem, za który przez lata narażyliśmy swoje życie.

10 czerwca na dworcu spotykają mnie w mundurze wojskowym w stopniu kaprala. Gdyby nie wiedzieli, że przyjeżdżam na pew-

no nie rozpoznali by mnie. Wyjechałem ,jako szesnastoletni wystraszony chłopak a wracam jako dwudziestotrzyletni młodzieniec - żołnierz w angielskim mundurze. Opowiadaniom i wspomnieniom nie ma końca. Mam o czym opowiadać, bo przeszedłem wiele, ale okazuje się, że oni również przeżyli ciężkie czasy i odczuli skutki okupacji, ~~o~~^o podwójny przemarsz frontu. Odpoczywam i oglądam gruzy zniszczonego Ełku. Jednak nie mam spokoju.

Po kilku dniach otrzymuję wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa i stawiam się na określoną godzinę. W pokoju oficer w stopniu porucznika przeprowadza ze mną "przyjacielską rozmowę". Dopytuje się jak tam było, dlaczego przyjechałem. Wypytuje o ^{tych} ~~tych~~ którzy zostali. Dlaczego nie wracają do kraju. Odpowiadam na pytania wstrzeźliwie. W końcu każdy robi to, co uważa za stosowne i trudno tłumaczyć czyjeś decyzje. Ja odpowiadam za swoje. Wówczas on wyjmuje z biurka formularz i zaczyna pisać mój życiorys. Po wypełnieniu danych osobistych wchodzi do pokoju inny oficer i mówi, że przesłuchujący ma zameldować się u szefa. Przed wyjściem otwiera biurko, wyciąga z niego naganę i oglądając go kładzie na pappecie okna pozostawiając mnie samego. Brzydko wygląda scena naiwnego polowania na moje zachowanie szukając głupiego, który chwyci za pistolet bez amunicji. Zresztą po co? Kiedy wraca i widzi, że podstęp nie udał się, mówi, że musi wyjechać do Białegostoku i każe mi przyjść znowu jutro. Odpowiadam, iż jutro nie mogę, gdyż wyjeżdżam do Grajewa, gdzie mam stawić się w RKU. Mam przyjść pojutrze.

Następnego dnia jestem w Grajewie. Tam załatwiają grzecznie, o nic nie pytają i tylko na podstawie dokumentów wpisują do książki z nagłówkiem "Powracający z armii Andersa". A więc wszystko już jasne. Tam uważano mnie za komunistę a tutaj za "andersowca". Ale nie przejąłem się tym zbytnio. Wsadziłem głęboko do kieszeni polską książeczkę wojskową z przeniesieniem do rezerwy ~~zrobiłem~~ sobie sprawę, że dla mnie jest to stan spoczynku u.

Po pięciu latach służby wojskowej mam już wojska dosyć. Odsłużyłem swoje z nawiązką. Pozostaje mi tylko załatwić formalności w UB i poszukać pracy. Ale kiedy następnego dnia melduję się w tym urzędzie znów odbywa się przesłuchanie i każą meldować się nazajutrz. Po kilku takich podejściach nie wytrzymałem i oznajmiłem, że nie po to przyjechałem do Polski, żeby codziennie odwiedzać Urząd Bezpieczeństwa i meldować się na przesłuchanie. Poprosiłem w związku z tym, aby mnie odesłano tam skąd przybyłem. Oświadczone, że otrzymam ponowne wezwanie na piśmie, ale termin jest nieokreślony. Owego wezwania nie otrzymałem do dnia dzisiejszego i wcale za tym nie tęsknię.

Załatwiłem sobie pracę w warsztatach naprawczych traktorów TOR w Elku. Po kilku miesiącach ożeniłem się ^{z kolegą z szkoły} i tak zakończyłem swoją drogę "tułacza", która ^{urwioną} kończyła mój szlak bojowy. Zaczynałem jako zesłaniec na dalekiej Syberii a kończyłem, jako polski żołnierz w angielskim mundurze, którego tak niegodnie powitano w kraju.

Powtórzę jeszcze raz słowa, które były naszym drogowskazem przez lata cierpień i tułaczkiej poniewierki i które stanowią motto naszego działania:

"Nikt, kto nie był tułaczem z daleka od własnego kraju, tułaczem, który nie wie, czy i kiedy wróci, a wracając - zastanie swych najbliższych przy życiu, nie zrozumie uczuć, jakich wtedy doznawaliśmy. Byliśmy częścią rozrzuconego po świecie narodu, który utracił swój kraj, lecz wierzyliśmy świecie, że nasza ofiara krwi nie może pójść na marne. Walczyliśmy i jedynie ustami naszymi wypowiedzieliśmy słowa - Ojczyznę Wolną Racz Nam Wrócić Panie".

Z tamtych lat pozostały jedynie wspomnienia i piosenki.

P.S. Przeżycia te opisałem w 40-tą rocznicę rozpoczęcia tej wędrówki wojennej i skończyłem 13 kwietnia 1980 roku po to, ^{żeby moje} dzieci i wnuki wiedzieli jaką musiałem zapłacić

cenę za to, że chciałem żyć w swoim rodzinnym kraju,

Proponuję aby zmieniono tytuł "Krew za krew" na
"Od śniegów Sybiru po Monte Cassino" lub "Walka o życie"
Opis zdjęć

1. Ojciec Stanisław Swiderski, syn Stanisław i Fabian oraz matka Anna
2. Ja jako uczeń gimnazjum Zeligmana (ślęczę pierwszy z lewej)
3. Rok 1939 z bratem Fabianem i matką, uczeń 3-iej kl. gimnazj.
4. Ojciec jako ofiara z Ostaszowa
5. Rodzinne spotkanie po opuszczeniu "Nieludzkiej ziemi" ja, matka i brat
6. Zdjęcie wykonane w Iraku - grupa starszych hancery
7. Moje zdjęcie wykonane w Iraku
8. Wiryto Należnego Wodra w Iraku
9. Przemówienie do żołnierzy w Iraku
10. Uzbrojenie pułku w działach p. panc. samobieżne
11. Koleżeńskie spotkanie
12. kapral Tadeusz Hames pamiątki z Egiptu
13. — " — przed oficer służbowy
14. D-ca pułku p. ptn. Antoni Dołgoc-Gieszkowski w ofsbie kpt. Koliński
15. Pny Wilkie w Italii 1945r. Moje zdjęcie
16. Moje zdjęcie z 1944r. jako bombardier
17. — " — z 1945r. jako kapral
18. Na wrobie wypoczynkowym w Como (Alpy) drugi z lewej
19. Moje zdjęcie z albumu pamiątkowego
20. Po 35 latach na cmentarzu Monte Cassino (sierpień 1981r)
21. 40-ta rocznica powstania pułku
22. Odeznania II-go Polskiego Korpusu

Przytoczę słowa gen. Andersa w swych wspomnieniach zawartych w książce "Bez ostatniego rozdziału"...Do końca życia nie zapomnę ich wyglądu. Ogromna część bez butów i koszul. Wszyscy właściwie w łachmanach, część w strzępach starych mundurów polskich, wychudli jak szkielety - ludzie cienie. Większość pokryta wrzodami wskutek awitaminozy. Ale ku zdumieniu towarzyszących mi bolszewików, wszyscy byli ogoleni. I, cóż za wspaniała żołnierska postawa. Serce mi się ścisnęło, gdy patrzyłem na tych nędzarzy i zapytałem w duchu, czy uda się z nich jeszcze zrobić wojsko i czy zdołają znieść oczekujące ich trudy wojenne. Odpowiedź zjawiła się natychmiast. Dość było popatrzeć na te błyszczące oczy, z których wзираła wola i wiara. Starzy żołnierze płakali jak dzieci podczas nabożeństwa, pierwszego po tych latach, a gdy zabrzmiała pieśń "Ojczyznę wolną racz' nam wrócić Panie" zdawało się, że otaczające losy odpowiadają nam stokrotnym echem. Pierwszy i daj Boże ostatni raz w życiu przyjąłem defiladę żołnierzy bez butów. Uparli się, że chcą maszerować. Chcą pokazać bolszewikom, że bosymi, poranionymi nogami potrafię na piasku wybić takt wojskowy, jako początek marszu do Polski".

Feliks Konarski /Ref-Ren/

- "Wiersze dla cudem uratowanych"

- Rosja, 1941.

Szli

Szli

Do wojska

Jeden za drugim, jeden za drugim

Szeregiem nie kończącym się, długim

Jak godziny męczarni,

Które za nimi zostały.

Szli

Do Armii...!

Stłoczyli się przed budynkiem białym

Jak stado spłoszonych zwierząt.

A każdy drżący, jak liść...

Czy mu wierzą, że chce iść?

Ze chce walczyć choćby z samym czartem!

To nic, że gnębi go cyngal!

Ale zginąć potrafi - gdy trzeba!!!

A jednocześnie usta pobladłe

Szepcą:

...Może pan ma...kawałek chleba?!

Już trzy dni nic nie jadłem...

Suchy, nie milknący kaszel...

I nagły okrzyk: "Patrzcie, Wojsko nasze!..."

Przemknął za drzwiami zielony mundur,

Tłum zakolysał się, stłoczył,

Zabłyśły zazdrością oczy,

Już wargi nie proszą o chleb...

Promień słońca nad głowami wystrzelił...!

Cisza.

I w ciszy stłumiony szept:

"Boże...żeby mnie tylko wzięli".

PROSBA STAREGO ŻOŁNIERZA

To było dawno temu,
Odległy czasu szmat.
Uwierzyć wprost nie sposób,
Że to czterdzieści lat.
Czterdzieści lat nadzieji
I niespełnionych snów.
I maj po raz czterdziesty
Za oknem kwietnie znów.

Są tacy, którzy proszą
O ten czy inny kwiat,
O gałąź bzu z Warszawy
Lub o szarotkę z Tatr,
O białą kiść jaśminu
Kwitnącą tu lub tam.
A ja do ciebie, synu,
Tę jedną prośbę mam:

Przywieź mi czerwony mak z Monte Cassino,
Póki jeszcze moje serce o tym śni,
Zanim tam i tu majowe dni przemiją
I rozwieją się wspomnienia tamtych dni...
Coraz szybciej mknie godzina za godziną,
Coraz mniej zostawia złudzeń mknący czas.
Przywieź mi czerwony mak z Monte Cassino -
Niech po latach go zobaczę jeszcze raz.

Feliks KONARSKI /Ref - Ren/



Nr. 12

WALCZYMY O WOLNOŚĆ POLSKĄ



No. 7



9/14

5.5 / 8.5

~~MS~~

MS

Nr. 3



Passatun 1911 pass

No. 20



1946r.

Nr. 18



No. 14



Nr. 13



Nr. 15



Od lewej Władysław Ściban
w środku ja

Nr. 11

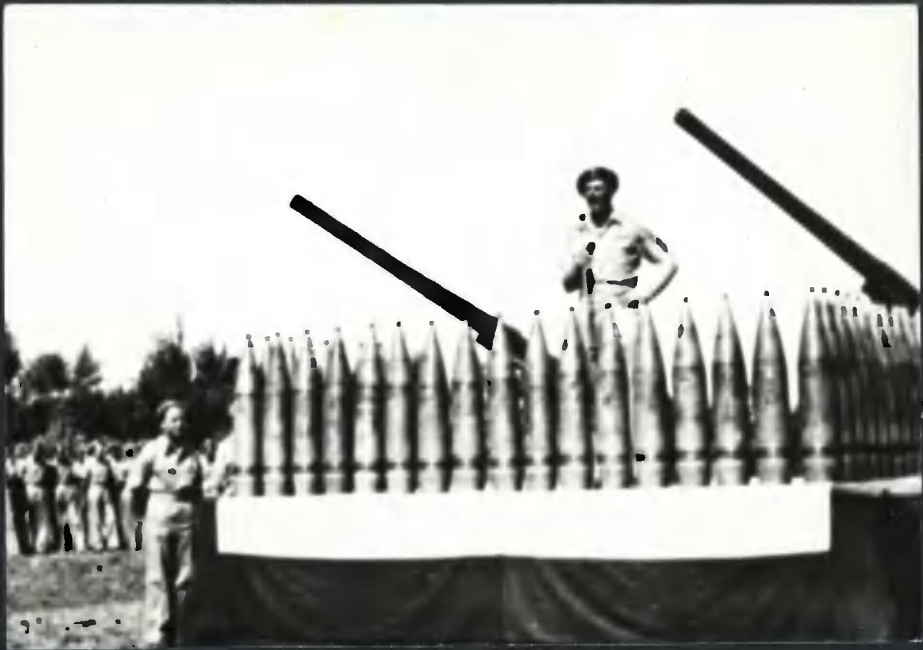


Griff Armeyleberholz
typ. "Schervon" (30 lot)

~~(17) 9~~
m

Nr. 10

(5.73)



plm. W. A. u. d. e. r. s.
anatomia of the eye
P. K. Dupin in Trevelyan

64.

Nr. 9

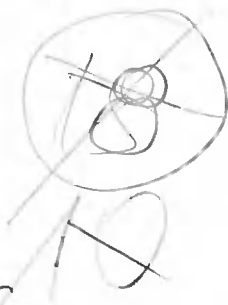


1:1

na speed



Latvian 7 putnu atpaka
II Latvian Stavimā vārds
parvārs kļūst par 2. līmeņa
drugi stāvā - 2. līmeņa
parvārs kļūst par 1. līmeņa
Arca Latvii Izglītības
Manto Latvian



Nr. 6



~~6~~ No 4

Anna S. ...
(mit ...)
Spolkowski System
- Stenogramm

in ... (2 ...)

...
...
...
...

15 ... 19...

8

S. 55

Nr. 5



gen. W. Si'wastai wjoo/ku

gen. W. Anders-

bisk. Rubine

Evak 1943

12

Nr. 8



No. 14

DROGA DO POLSKI

13-IV-1940 r.



10-VI-1949 r.

SYBERIA-IRAN-IRAK-PALESTYNA-EGIPT-
ITALIA-ANGLIA

No. 19



No. 2



Nov 1

Nov. 1



Nr 3 (3)

Stowżart
Szydowski

- 12/1900

leżący ~~przebywał~~
~~z~~

11 Działalność

zawodowa

w Medycynie

Nr. 4 s. 23



From the Swedish
history of the
10th century

10th century

10th century



Nr. 16



7 PUŁK

ARTYLERII PRZECIW PANCERNEJ

1942

40

1982

LECIE

No. 21



No. 22.